

- Pojawiły się superszczury — str. 2
- Niezwykły życiorys pewnego Greka — str. 5
- Wiceprezydent Lech Krowiranda prywatnie — str. 7
- Amerykanie też produkują buble — str. 13



Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 47 (1495) ROK XXIX

22 LISTOPADA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

Depresja w środku Polski

Rozmowa z docentem ZDZISŁAWEM PROCHOWSKIM
— dziekanem Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego
Uniwersytetu Łódzkiego

— Czy był pan zwolennikiem reformy podziału administracyjnego dokonanej w 1975 roku?

— Byłem. Podział administracyjny dokonany po pierwszej wojnie światowej traktowany był przez fachowców jako tymczasowy. W latach 1946-1947 postulowano utworzenie 31 województw. Likwidacja powiatów była nieuchronna. W takim kierunku poszedł podział administracyjny dokonany w 1968 roku w Rumunii i wcześniej w NRD. Reforma dokonana w Polsce w 1975 roku wydawała mi się rozwiązaniem nowoczesnym.

— Teraz już się panu takim nie wydaje?

— Nadal jest takim, aczkolwiek przy przeprowadzaniu tej reformy zrobiono kilka błędów. Po pierwsze — przeprowadzono reformę w sposób arbitralny i w atmosferze przypominającej zamach stanu.

— Zapewne dlatego, żeby uniknąć ciągących się w nieskończoność dyskusji, jaka gmina ma gdzie należeć. I dlatego, aby skutecznie rozbić ówczesne wojewódzkie układy.

— Dyskusji nie uniknięto. Nawet protestowały. A układy powstały nowe. Po drugie — reformy tej nie poprzedziły studia, w wyniku których powstałyby przekonujące kryteria, dlaczego dzielimy tak a nie inaczej. Wtedy nie byłoby też strachu przed dyskusją. Po trzecie — stworzono wadliwą koncepcję makroregionów. Miało być ich osiem i miały one być tylko pomocne przy planowaniu gospodarczym, a zatem nie nadano im charakteru jednostek koordynujących rozwój społeczno-gospodarczy makroregionu, a więc kilku województw naraz. Na przykład Łódź miała należeć do makroregionu centralnego razem z aglomeracją warszawską, co było widocznym nonsensem i w 1982 roku zostało zmienione.

— Łódź w ogóle nie najlepiej wyszła na tej reformie.

— Istniało pojęcie Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej. Projekt planu regionalnego z 1974 roku zakładał jeszcze, że ŁAM obejmie 2980 km kwadratowych, a powstałe w 1975 roku województwo łódzkie ma 1520 km kwadratowych. Nie o powierzchnię tylko chodzi, choć dwa inne województwa miejskie: krakowski i warszawski mają powierzchnię prawie dwa razy większą. Kadłubowy twór, jakim stało się województwo łódzkie miejskie ma poprzecinane naturalne więzy. Łódzkie tramwaje podmiejskie wjeżdżały do innych województw. W Tuszynie do piotrkowskiego, więc tam tramwaj zlikwidowano.

— Nie tylko z tego powodu, ale dlatego, że budowano dwupasmową drogę do trasy Warszawa — Katowice i nie bardzo było tam miejsce dla tramwajów.

— Do Łutomierska, który teraz leży w sieradzkim województwie, łódzki tramwaj podmiejski jeździ nadal.

— I przywozi z Łutomierska i okolic ludzi do pracy w Łodzi.

— Ale swoje sprawy urzędowe muszą oni jeździć i załatwiać w Sieradzu. Nie ulega wątpliwości, że takich naturalnie ukształtowanych powiązań poprzecinano więcej w wielu rejonach Polski. Na przykład, część województwa płockiego i skierniewickiego w naturalny sposób ciąży ku Warszawie. A województwa mają naturalny — co nie znaczy, że dobry — zwyczaj zamykania się w swoich sprawach wewnętrznych. W ostatnich latach można było spotkać karykaturalne nawet tego przykłady.

— Powiedział pan jednak, że jest to naturalne. Dlaczego?

— Dlatego, że władze wojewódzkie uważają się przede wszystkim za rzeczników interesów własnych mieszkańców i tych interesów starają się bronić w różny sposób. Po drugie — dlatego, że pragną w ten sposób potwierdzić własną tożsamość. Przecież nikt nie chce być tożsamością. A w kilku przypadkach, od 6 do 10 województw — różne są na ten temat zdania — są to twory sztuczne. Tym bardziej będą one zamykały się we własnych sprawach, aby tym silniej potwierdzić potrzebę istnienia. A rozwój społeczno-gospodarczy kraju wymaga współdziałania, wiązania interesów województw z interesami regionu.

— Co zatem robić? Jakie jest wyjście z tej sytuacji? Nowy podział administracyjny, o który się tu i ówdzie ludzie dobijają?

— Nowy podział administracyjny wymaga dużych kosztów. Nie sądzę więc, aby był on teraz realny. Może za kilka lat, może za kilkanaście... Ale wyjście jest i nie wymaga takich kosztów. Otóż tym wyjściem jest makroregion.

— Ale sam pan powiedział, że koncepcja makroregionów stworzona w 1975 roku była wadliwa.

— Bo zakładała, że będą to jednostki planistyczne a nie koordynujące. A to podstawowa różnica. Jest przecież szereg spraw, które dzieją się w jednym województwie, ale skutki tego odczuwają inne. Skutki pozytywne i negatywne. Kiedy ruszy w Łodzi Grupa Oczyszczalnia Ścieków, to pozytywne tego skutki odczuje nawet Poznań. Teraz odczuwa on negatywne skutki zanieczyszczenia Neru. Zbiornik wody Jezioro Biegiński będzie miał pozytywne skutki dla wielu województw. A więc są nawet związki ponadregionalne. Istnieje zatem konieczność współdziałania. I są — wprawdzie nieliczne i na innym szczeblu — przykłady takiego współdziałania. Na Żuławach współdziałały z sobą gminy. Były to inicjatywa ogólna, która jednak świadczy, że współdziałanie jest możliwe. Dlatego nie może być więc inicjatyw oddolnych?

— Może wielu centralnym instytucjom nie na rękę jest takie współdziałanie?

— Zapewne. Latwiej bowiem sobie poradzić z postulatami i żądaniami każdego wojewody osobno niż z pięcioma mającymi takie samo zdanie i takie same potrzeby. Ale co ma w takiej sytuacji przeważać: wygodą urzędników czy prawidłowy rozwój kraju?

— W 1982 roku w miejsce makroregionu centralnego powstał makroregion śródkowy. Na czym polega zmiana?

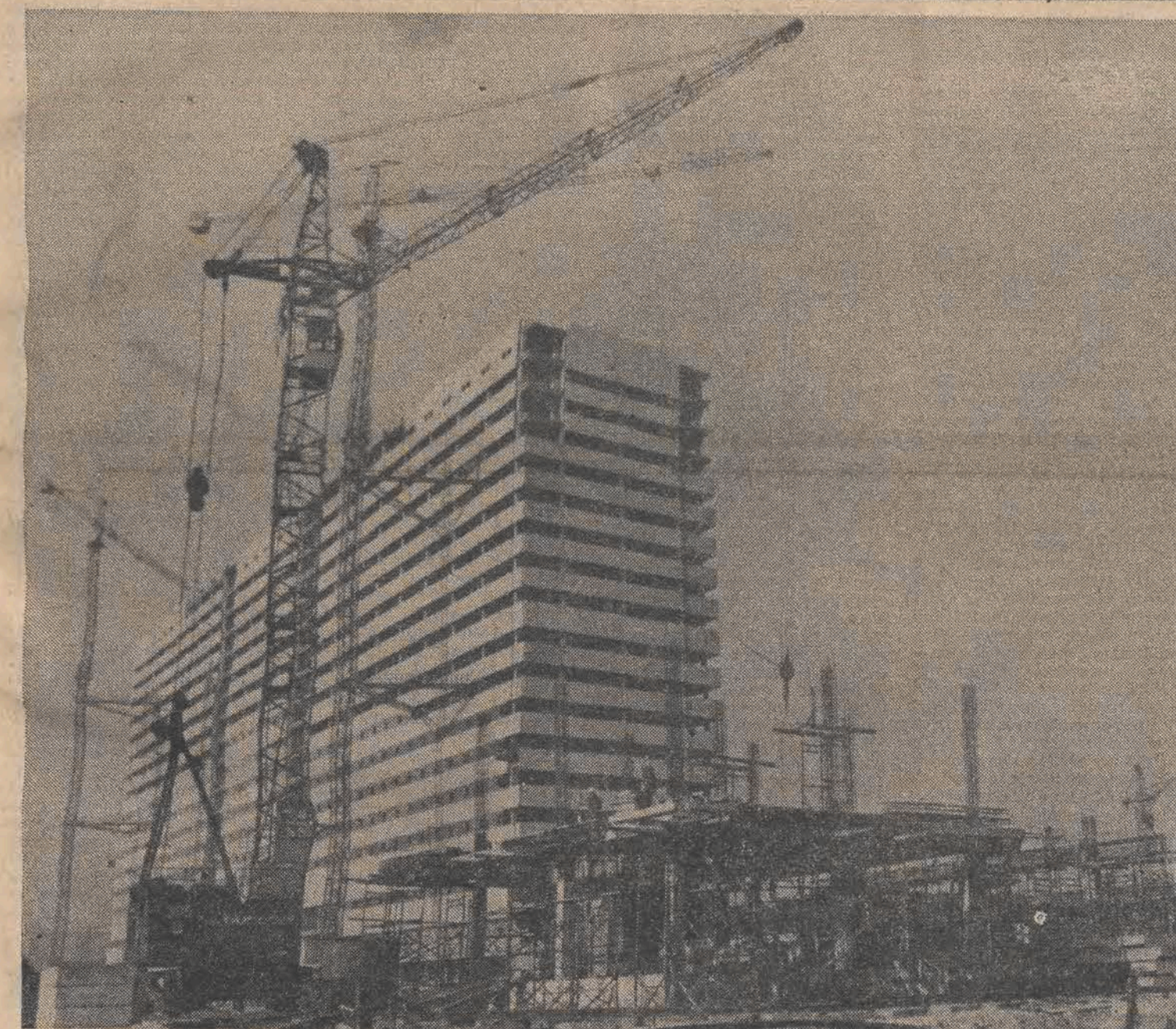
Foto: Grzegorz Galasiński

puszczać do takiej fuzzerki. Ale rzeczywistość: spory spadek terenu powoduje, że zaprojektowane na parterze budynku balkony, nawiasem mówiąc krzywo montowane — znalazły się tuż nad ziemią. Ktoś zaprojektował bez głowy, ktoś zmontował, ktoś robotę odebrał...

— Do klasycznej, budowlanej jakości wrócić może za chwilę, teraz zaprezentujemy Czytelnikom „Jedynkę”, znaną od lat z realizacji nietypowych, trudnych obiektów.

— No cóż, w największym skrócie: naszym dziełem są wszystkie powojenne szpitale w mieście, zbudowaliśmy większość gmachów wyższych uczelni, osiedla domów studenckich, dwa hotele — „Centrum” i „Światowid”, Teatr Wielki; może wystarczy?

— Chyba nie, bo za „plomby” przy Piotrkowskiej, „Bolszaka i Lolka” czy Szpital-Pomnik przyjdzie się jeszcze tłumaczyć, ale chciałbym na chwilę wrócić do historii.



Najłatwiej być średniakiem...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Dlaczego budujemy tak mało mieszkań i to tak fatalnej jakości? Dlaczego final kilkunastoletniego okresu wycofania na własne „M” nieodmiennie kończy się z kapitalnym remontem nowego locum? Dlaczego budowlani narzekają na brak materiałów, a na niemal każdej budowie można nabyć poszukiwane surowce i elementy wyposażenia mieszkań? Dlaczego wciąż kurczowo trzymamy się „wielkiej płyty” mimo powszechnie znanych mankamentów budownictwa prefabrykowanego? Dlaczego, dlaczego...

Można by w nieskończoność mnożyć pytania, opisywać budowlany marazm i brak społecznie znanej koncepcji wy-

ścia z mieszkaniowego impasu. Opisywać powszechną niemoc, bezradność i rozkładanie rąk, poświęcając temu stosownie dużo miejsca. Można by, jednak postanowiłem spróbować, choć na niektóre pytania znaleźć odpowiedź w rozmowie z dyrektorem TADEUSZEM JARCZYŃSKIM, od dwudziestu lat dowodzącym jednym z najbardziej preżnych przedsiębiorstw budowlanych w kraju, czyli Kombinatem Budownictwa Ogólnego „Jedynka” w Łodzi.

— Panie dyrektorze, zanim przedstawimy bliżej pana i kombinat jedno nietypowe pytanie: czy to prawda, że dekurują pana jeszcze krzywo montowane balkony? Usłysza-

lem coś niecoś na ten temat czekając w sekretariacie. Chodziło bodajże o jakiś budynek przy ulicy Pabianickiej. Krzywe ściany czy balkony po dwudziestu latach w budownictwie chyba nie powinny już panu spędzać snu z oczu?

— Z mieszanymi uczuciami odpowiadam, bowiem z jednej strony ten kamyczek nie do mojego wpada ogródka, ale to tym gorzej pewnie, bo znów wielu „przyjaciół” zżymać się będzie, że Jarczyński jak zwykle swoją firmę wybiela, innym fuzzerkę wtykając.

— Aha, czyli to nie pańskiego kombinatu autorstwo? Tam zdaje się, balkony w trawnik wchodzi...

— My staramy się nie do-

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113,
Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz

Włodkowski.

Zastępca redaktora

naczelnego: Edmund

Lewandowski.

Sekretarz redakcji:

Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu

literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny:

Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,

Dariusz Dorożyński,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Andrzej

Karolczak, Roman Kubiak,

Jerzy Kwieciński, Bogda

Madej, Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,

Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz

Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz

Galasiński.

Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Błażewski,

Bohdan Gadomski, Jacek

Głębski Witold

Kasperkiewicz,

Marek Koprowski,

Włodzimierz Krzeminski,

Włodzisław Malka, Marek

Mamos Zenon J. Michalski,

Ryszard Nakonieczny, Jerzy

Panasiewicz, Karol J.

Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-

two Prasowe RSW „Prasa -

Książka - Ruch” 91-103 Łódź,

ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-

ficzne RSW „Prasa - Książka

- Ruch”, Łódź, ul. Armii Czer-

wonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-

monowanych rękopisów i zastrze-

ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla

instytucji i zakładów pracy -

zlokalizowane w miastach woje-

wódzkich i pozostałych miastach

w których znajdują się siedziby

Oddziałów RSW „Prasa -

Książka - Ruch” zamawiają

prenumeratę w tych oddziałach

- instytucji i zakładach pracy

zlokalizowane w miejscowościach

gdzie nie ma Oddziałów RSW

„Prasa - Książka - Ruch” opła-

cają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczytelni: 2.

dla indywidualnych prenumera-

torów, osoby fizyczne zamieszka-

łe na wsi i w miejscowościach,

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa - Książka - Ruch”

opłacają prenumeratę w urzę-

dach pocztowych i u doręczy-

telni: osoby fizyczne zamieszka-

łe w miastach - siedzibach Od-

działów RSW „Prasa - Książ-

ka - Ruch” opłacają prenume-

ratę wyłącznie w urzędach poczt-

owych nadawczo-oddawczych

właściwych dla miejsca zamiesz-

kania prenumeratora. Wpłaty do-

konuje się używając blankietu

„Wpłaty” na rachunek bankowy

miastowego Oddziału RSW

„Prasa - Książka - Ruch” 3

prenumeratę ze zleceniem wysył-

Przegląd prasy

Ziemia opanowana jest przez dwa gatunki ssaków: człowieka i szczura. Występują zresztą w równych proporcjach: jeden do jednego. Na świecie żyje ponad 4,5 mld ludzi i tyle samo szczurów. Oba gatunki są dobrze przystosowane do zasmańconego środowiska cywilizacyjnego. Z tym jednak, że szczury są bardziej odporne. Potrafią nawet przeżyć (razem z karaluchami) promieniowanie po wybuchu bomby atomowej.

Szczur od samego początku towarzyszył człowiekowi. W prastarych jaskiniach kości ludzkie pomieszane są ze szczurzymi. Lecz szczury są gatunkiem znacznie starszym i mającym chyba lepsze perspektywy. Przodkowie ich żyli na naszej planecie już ponad 50 mln lat temu. Nowe pokolenia zaś nieźle sobie radzą w długiej i ciężkiej wojnie z ludźmi. Niedawno

POJAWIŁY SIĘ SUPERSZCZURY

Są to osobniki uodpornione genetycznie na zastosowaną przez człowieka supertruciznę. Najpierw wykryto je w Nowym Jorku, gdzie w maju 1979 roku zaatakowały na ulicy przechodnia. Był to pierwszy taki przypadek w naszych czasach. Superszczury dotarły już także do Europy.

Zawsze fascynującym ludzi problemem szczurów zajął się w tygodniku „Przegląd” (nr 46) Janusz Michalak. W artykule swym wykorzystał fragmenty eseju Macieja Ilowieckiego pod znamiennym tytułem „Obserwatorzy”. Wynika z nich, że w Europie szczury pojawiły się masowo w dobie wypraw krzyżowych. Przywieźli je uczestnicy krucjat z Ziemi Świętej. Były to tzw. czarne lub śniegie szczury, które wywołały straszną epidemię „czarnej śmierci”, czyli dżumy. Europa straciła wówczas aż jedną czwartą ludności.

W połowie XVII wieku przybył do Europy z dalekiej Azji znacznie większy i bardziej inteligentny szczur wodny lub bursy. Szybko wyparł on z większości siedzącego krewniaka z Bliskiego Wschodu. Opanował piwnice, podziemia, urządzenia kanalizacyjne, ścieki, śmietniki. Czarny natomiast schronił się na strychach magazynów oraz w niektórych portach.

W Polsce spotykamy oba rodzaje gryzoni. W portach morskich i wzdłuż biegu Odry za domowili się szczury śniade. Łączna długość jego głowy i tułowia wynosi od 13 do 24 cm, a ogona od 13 do 25 cm. Większy od niego jest szczur wodny, występujący na obszarze całego kraju. Jego głowa i tułów mierzą od 19 do 30 cm, a ogon od 13 do 23 cm. W ciągu doby może przejść 600 m, jest aktywny głównie nocą, żyje 3-4 lata.

Jeden szczur zjada od 10 do 15 kilogramów żywności w ciągu roku. Lecz niszczy jeszcze więcej - trzy razy tyle. W Indiach szczury pożerały 3 mln ton zboża rocznie oraz niszczyły jedną czwartą orzeszków ziemnych, roślin oleistych, jarzyn, owoców, kwiatów i kawy. W krajach tropikalnych łupem szczurów padała żywność, że można by zlikwidować kłeskę głodu. Szczury zresztą jedzą prawie wszystko: od zwierząt hodowlanych (zdolne są zagażyć dużą świnie bądź krowę) po skóry, papier, farby, mydło, gumę i tworzywa sztuczne. Przegryzają rury, belki, blachę, ściany betonowe, przewody elektryczne i telefoniczne.

Na temat mądrości, zręczności i społeczności szczurów od dawien dawna opowiada się niesamowite historie. Ale mistrz szczurów, z którym rozmawiał J. Michalak, nie wierzy w żadne legendy. „Szczury są mądre - mówi - ale nie przesadzajmy. Trzeba tylko umieć walczyć z tym paskudztwem. Trzeba wiedzieć przede wszystkim, gdzie i ile wysypać trutki. Wie pan na przykład, gdzie znaleźć je można najczęściej? W łódkach, w chłodniach, w tych miejscach, gdzie podgrzewany jest freon, który potem krąży i pochłania ciepło, tam, gdzie ścianki działowe wypełnione są poliuretanem albo styropianem. One są tym prze-

padają... Dziś jednak, to już nie jest to. Pamiętam lata pięćdziesiąte, wtedy dopiero było z czym walczyć. (...) Jeszcze kilka lat temu szczur ugryzł pracownika służby ochrony kolei w usta... Gdzie nam jednak dzisiaj do tych „pionierskich” czasów... Szczurów jest zdecydowanie mniej. Więcej za to jest pcheł!”

Szczególnie zapchłone są nowe osiedla. Pchły gnieźdzą się w miejscach, gdzie rozdzielany jest ciepłota. A skąd się biorą? Otóż roznoszą je koty. Zwierzęta te spowodowały, że zmniejszyła się liczba szczurów, lecz w zamian wzrosła populacja pcheł. Zdarza się nawet, że pchły uniemożliwiają pracę ekipom monterów.

NA SZCZĘŚCIE

szczury przestały już być u nas groźne. Pogląd ten podziela również dyrektor Państwowych Zakładów Dezynfekcji, Dezynsekcji i Deratyzacji w Poznaniu. „Dziś w Polsce - powiada - nie mamy z nimi wielkiego problemu. Zastąpiła je nowa prawdziwa plaga - masowy wysyp robactwa, mrówek faraona, karaczanów. I tym powinniśmy się teraz zająć przede wszystkim. Bo co dla nas za różnica... czy stanemy się ofiarami chorób i zaraz powodowanych przez szczury czy przez robactwo?”

Maciej Ilowiecki uważa jednak, że szanse szczurów są coraz większe. Zabijamy bowiem najgłupsze i najsłabsze osobniki. A pozostałe stają się inteligentniejsze i odporniejsze. „Superszczury - czytamy - mają dużo czasu, czekają; ich blizny czują oczy obserwujących nas z ukrycia”.

Tak jakkolwiek dziwnie się składa, że ci, którzy mają mieszkanie borykają się z obrzydliwym robactwem, inni natomiast muszą czekać po 15-20 lat o czekając na własne „M”. Sytuacja w budownictwie mieszkaniowym jest, jak wiadomo, niezwykle złożona. Brakuje ludzi, materiałów, szwankuje organizacja pracy. W mieszkaniu „POLITYKA SPOŁECZNA” (nr 10), poświęconym zagadnieniom planowania społecznego, pracy i plac, Mirosław Gorczyca pisze: „Kwestia mieszkaniowa jest obecnie najbardziej nabrzmiałym problemem społeczno-ekonomicznym naszego kraju. Zapewnie nie każdemu gospodarstwu domowemu samodzielnie mieszkaniowe jest celem strategii rozwoju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Punktem zwrotnym w rozwiązywaniu tego problemu miało być V plenum KC PZPR z maja 1972 r., w którego postanowieniach uznano budownictwo mieszkaniowe za jeden z podstawowych czynników stymulowania społeczno-ekonomicznego rozwoju, nadając mu wysoki priorytet w hierarchii zadań naszej gospodarki. (...) Niestety, rozbudzone nadzieje na zbudowanie „drugiej Polski” do r. 1990 nie ziszcza się, a na ich spełnienie przyjdzie czekać co najmniej 20 lat dłużej”.

W dwudziestolecie 1971-1990 zamierzono zbudować 6,6-7,3 mln mieszkań. W rzeczywistości zaś prawdopodobnie oddanych będzie do użytku około 4530 tys. mieszkań, co stanowi 69 proc. dolnej i jedynie 62 proc. górnej granicy przewidzianej wielkości. Zabraknie więc do pełnej realizacji ambitnego programu budownictwa mieszkaniowego co najmniej około 2,1-2,8 mln mieszkań.

Na podstawie mikroskopsu z końca 1984 roku wiadomo, że w Polsce ogółem użytkowano wówczas 10,253 tys. mieszkań. Z tego prawie dwie trzecie (65 proc.) znajdowało się w budynkach wzniesionych w latach Polski Ludowej, a tylko co ósmy lokal powstał przed odzyskaniem niepodległości w 1918 roku. Najwięcej mieszkań należało do osób prywatnych (46 proc.) - w mieście 25 proc., a na wsi 87 proc. lokal. Natomiast w gestii spółdzielni mieszkaniowych było 22 proc. wszystkich mieszkań (34 proc. w miastach i zaledwie 0,3 proc. na wsi).

W ciągu ćwierćwiecza 1960-1984 zaszły ogromne zmiany w wyposażeniu mieszkań. Na początek okresu w lokalach miejskich stwierdzono następujące instalacje: wodociąg - 55 proc., ustęp - 36 proc., łazienka - 26 proc., centralne ogrzewanie - 13 proc. ogółu. A w grudniu 1984 roku wodociąg miało 93 proc., ustęp - 82 proc., łazienkę - 77 proc., centralne ogrzewanie - 67 proc. mieszkań w miastach. Jeszcze większy postęp dokonał się na wsi, gdzie udział mieszkań posiadających wodociąg wzrósł z 4 proc. do

54 proc., a ustęp z 2 proc. do 36 proc. ogółu.

Pod koniec artykułu Mirosław Gorczyca pisze: „Poprawę standardu mieszkaniowego odnotowały - w ujęciu makro - wszystkie wskaźniki jego mierzenia. W dalszym ciągu jednak sytuacja wielu gospodarstw domowych pozostawia wiele do życzenia. W okresie śledzącym pier- wszej dekady XXI wieku - tak stanowi Program Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej u- chwalony przez X Zjazd w lip- cu 1986 roku - musimy rów- nież rozwiązać

PROBLEM RACJONALNOGO WYŻYWIENIA

To znaczy: powinniśmy doprowadzić do pełnej dostępności artykułów żywnościowych w warunkach samowystarczalności kraju. W tym celu trzeba będzie pokonać wiele barier. Najważniejsze z nich przedstawia w ciekawym artykule dyskusyjnym na łamach „ODRODZENIA” (nr 46) prof. Dyma

Galaj. Pierwszą przeszkodą na drodze rozwoju wsi i rolnictwa w Polsce jest istniejąca struktura obszarowa. Nasze rolnictwo chłopskie (obejmujące 76 proc. użytków rolnych) jest najbardziej rozdrobnione w Europie. Trudno wdrażać postęp techniczny do 3 mln gospodarstw o przeciętnej wielkości nieco powyżej 5 ha. W krajach rozwiniętych gospodarstwo przeciętnej obszar wynosi 20 ha, w Anglii prawie 50 ha, a w Stanach Zjednoczonych znacznie powyżej 100 ha.

Następną barierą rozwoju jest przestrzeń fizyczna i społeczna. Na wsi brakuje odpowiedniej infrastruktury, a równocześnie chłop traktuje własne gospodarstwo jako „środek świata”. Dekoncentracja osiedli i luźny związek chłopca z szerszą społecznością lokalną sprawiają, że infrastruktura wiejska zawsze będzie uboższa niż w mieście. Nie będzie nigdy w każdej wsi szkoły, ośrodka zdrowia, apteki, kina, poczty, sklepu wielobranżowego, warsztatu naprawczego, boiska sportowego.

Trzecia, najważniejsza bodaj przeszkoda związana jest z cechami pracy w gospodarstwach chłopskich. Rolnik zdeterminowany jest określonym cyklem przyrody, a jego warsztat teoretyczny może przyjąć każdą ilość pracy rodziny. „Dzień pracy rolnika - czytamy - to dzień najdłuższy w porównaniu z innymi zawodami. Tydzień nie ma świąt i niedziel, a w roku nie ma czasu na urlop. Rodziny rolnicze narzucają sobie wręcz okrutny rytm pracy, który w konfrontacji z pracą w innych zawodach powoduje, że młodzież rolnicza, jeśli jest w kraju taka możliwość, odchodzi z gospodarstwa bez żalu do miasta, do pracy w innych zawodach”.

I wreszcie ostatnią barierą: niemożność klasowa chłopów. Rolnicy są przykuć do gospodarstw, rozproszeni po wsiach, niesprawni organizacyjnie w działaniu społeczno-politycznym, wewnątrznie zróżnicowani dochodowo. Przez to nigdy nie przeprowadził rewolucji i nie dali początku nowemu ustrojowi. Chłop jest wciąż siłą potencjalną, a nie rzeczywistą - jest „milczącym olbrzymem” w życiu politycznym.

Wiesz ma swoje specyficzne kłopoty i miasto swoje. Jednym z niezwykle istotnych problemów, który wymaga pilnego rozwiązania w wielkich miastach, są rozrastające się do apokaliptycznych rozmiarów cmentarze. Powstała kwestia:

CO DALEJ?

Może przystąpić do budowy krematoriów? W tygodniku „PRZEGLĄD KATOLICKI” (nr 44-45) książd prafat Stefan Niedziela, proboszcz kościoła pod wezwaniem św. Karola Boromeusza na Powązkach w Warszawie, stwierdza: „Kościół nie przeciwdziała się kremacji. Na Powązkach mamy katakumby, w których przechowujemy urny. Tak na przykład pochowany został Dolega-Mostowicz, Janta-Polczyński czy inni. Kremacja to jednak bardzo wysoki koszt. W Polsce są bodaj dwa miejsca, gdzie można to zrobić. Ale sposób grzebania zmarłych nie może wpłynąć na zachowanie i pielęgnację pamięci o nich”.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Pod dymiącym kominem

Kiedy na filmie Andrzeja Wajdy o łódzkiej ziemi obiecanej oglądamy niebo zasnuwane kłębam dymów, budzić może to w nas dzisiaj smętne refleksje o skażeniu atmosfery. Gdyby jednak przed pierwszą i nawet drugą wojną wpadł ktoś na koncept i zapytał łódzkiego tkacza, czy woli dymiące kominy fabryk, czy wygasie, zapytany zdumiałby się niepomiernie. Dymiący komin to przecież praca dla ludzi, to chleb. I choć ujawniały się też w całej swej grozie niemiaskowane jeszcze wilcze prawa „wolnego” rynku pracy, nie sposób przecież zaprzeczyć, że szybko uprzemysławiające się „miasteczko Łódź” stwarzało ludziom wielką cywilizacyjną szansę, i tylko naiwni mogli marzyć o powrocie do przedindustrialnych patriarchalnych stosunków.

Nie po to o tym wspominam, żeby wykaazać, iż tylko wówczas industrializacja niosła z sobą ogólny postęp, któremu jednakże towarzyszyły wysokie koszty uboczne. Te koszty bowiem towarzyszą rozwojowi przemysłowemu w mniejszym czy większym stopniu do dziś, a ich rozmiar zależy zarówno od okoliczności „zastanych”, jak np. od stopnia osiągniętej już zamożności kraju i związanego z nią poziomu naukowo-technicznego, jak i od czynników subiektywnych, jak np. zdolności przewidywania i talenty organizatorskie (bądź brak jednych i drugich), jak dbałość o warunki pracy i bytu człowieka lub zupełna pod tym względem nieczułość.

Nie ulega przecież wątpliwości, że bywają inwestycje całkowicie chybione, wywołujące niepomysłny ogólny bilans korzyści i strat, gdy np. zyski z uzyskanej produkcji są mniejsze niż szkody ponoszone przez środowisko naturalne człowieka i przez jego warunki zdrowotne (choć zapewne w wielu przypadkach nie są to wyliczenia łatwe i możliwe, choćby wskutek udziału czynników niewymiernych).

Ala co tu się „czarować”? Kraje, którym dziś zazdrościmy ich obecnej potęgi gospodarczej i poziomu cywilizacyjnego (z czym często idą w parze dobre warunki zdrowotne), dobiły się tej swojej pozycji dzięki temu, że kiedy w osiemnastym, dziewiętnastym wieku nastąpiła jedyna i później już niepowtarzalna szansa dynamicznego rozwoju przemysłowego i naukowo-technicznego, stworzona przez młody kapitalizm, myślimy tkwili pod zaborami, w znacznej mierze w poważnym zacofaniu i nie udało nam się zameldować u wejścia do wyłaniającego się wówczas „klubu bogatych” (wśród których byli też posiadacze kolonii).

Ten klub, na dobrą sprawę, już dawno przestał się powiększać o nowych członków, i liczy sobie na wszystkich kontynentach nie więcej niż dwa tuziny, wśród przeszło półtora setki państw członkowskich ONZ. Bogaci bowiem strzegą zadróżności swojej ekskluzywności przez paki gospodarcze i wojskowe, żeby nikt z dotychczasowych „pariasów” nie mógł docisnąć się do stołu. Mając od dawna ciężary industrializacji poza sobą, mogą sobie pozwolić na dalsze udoskonalenie swoich infrastruktur gospodarczo-cywilizacyjnych, zaspokajając potrzeby bytowe wyższego rzędu większej lub mniejszej części swoich społeczeństw i zwiększając środki na walkę z zagrożeniami ekologicznymi, budując aparaty i urządzenia zmniejszające skażenie środowiska naturalnego (choć sytuacja jest dużo gorsza niż głosi ich, adresowana do nas propaganda, na którą mają też i poświęcają bardzo dużo pieniędzy).

Obłuda moralna tej propagandy polega między innymi na odradzanu rozwijającym się krajom demokracji ludowej i trzeciego świata budowy przemysłu, jeśli nie może on zaspokajać najnowocześniejszych i najkosztowniejszych wymagań ochrony środowiska, co w praktyce musiałoby nieraz oznaczać zaniechanie przez te kraje wielkich inwestycji przemysłowych, zwiększających niezależność ekonomiczną od krajów uprzemysłowionych, a także wzmagających siłę obronną.

Nie można mieć za złe propagandzie kapitalistycznej, że nie wyrzuca pieniędzy na marne, lecz na dobrze przemyślane akcje, mające szansę oddziaływać na ludzi, którzy zawsze troszczyli się o zdrowie i swoje i swoich bliskich. Ale też na tej motywacji psychologicznej rozkwita u nas naiwne sielankowe wizja kraju, który albo, mimo braku środków, stanie od razu w pierwszym szeregu tych, co instalują najnowocześniejsze urządzenia dla całkowitej likwidacji szkód wyrządzanych przez istniejący bądź budowany przemysł, albo też zaniecha dalszych budów, a nawet zdemontuje pokątną część swojego przemysłowego (i obronnego!) potencjału. Dzięki czemu będziemy żyć długo i szczęśliwie...

Gdyby jednak zastosować się do wymagań naszych maksymalistów, przyswajających sobie raz bezwiednie podpowiadane im nauki, wyłaniałby się zaczęła rzeczywistość będąca zaprzeczeniem ich wizji: kraju strzecha krytego, w którym pocciwizy kmiotek w łapiach z lyka, przepasany krajką orze pole drewnianą sochą, a gromadka dzieci pod polną gruszą słucha bajek o krasnoludkach.

Chciałoby się jednak samochodu dla każdej rodziny, czym prędzej też kolorowego telewizora, nowoczesnego video i wielu innych rzeczy, które trzeba bądź samemu w kraju wytworzyć, bądź mieć za co kupić u bardziej uprzemysłowionych. Nie tylko na to trzeba mieć pieniądze, ale również na zachowanie zdrowia, w krajach bowiem słabo rozwiniętych ludzka chorują masowo na różne paskudztwa.

Dawny żydowski dowcip mówi: „kiedy się ma tylko trochę zdrowia, ale za to dużo pieniędzy, to można sobie brakujące zdrowie dokupić...”

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

Już niebawem i w nadchodzących tygodniach można będzie przeczytać:

- intymne zwierzenia dyrektora „Centralu” LECHA

SOSNOWSKIEGO;

- artykuł WITOLDA BOROWEGO, że nie wystarczy

tylko kochać przyrodę;

- esej PIOTRA TOBERY przedstawiający obraz Beł-

chatowa przed wielką budową;

- reportaż JOLANTY WRÓŃSKIEJ o kobiecie, która

nie została po sobie nic, prócz stołu iachmanów, choć

niegdyś ukończyła studia uniwersyteckie;

- rozmowę z wybitnym ekonomistą JOHNEM K.

GALBRAITHEM, w której przepowiada, że Amerykę

czeka nowy krach jak w 1929 roku;

- materiał BOHDANA GADOMSKIEGO o utalentowa-

wanej trójce solistów Teatru Wielkiego w Łodzi;

- artykuł BOGUSŁAWA SUŁKOWSKIEGO o barie-

rach oddzielających publiczność od teatru;

- eseje EDMUNDA LEWANDOWSKIEGO zatytułowa-

wane: „Żydzi czekają na Mesjasza” oraz „Narodziny i

dzieństwo Jezusa”.

Zam. 3446. B-2.

Był jeszcze rok 1955. Powoli następowało odprężenie. Zakończyła się gorąca wojna w Korei. 27 lipca 1953 roku w Północnym Wietnamie podpisano rozejm. Zmieniła się też sytuacja pomiędzy różnymi państwami. Świat stał się bardziej otwarty. Zaczęły się wzajemne wizyty polityków.

W Polsce od 20 do 24 kwietnia 1955 roku przebywał Nikita S. Chruszczow. Od 26 maja do 3 czerwca delegacja radziecka z N. S. Chruszczowem złożyła wizytę w Jugosławii. Nastąpiła radykalna zmiana w stosunkach pomiędzy ZSRR i Jugosławią, a następnie pomiędzy KPZR i Związkiem Komunistów Jugosławii.

W czerwcu — od 23 do 28 — przebywał w Polsce premier Indii Jawaharlal Nehru.

W 1954 roku ukazała się w Związku Radzieckim powieść Ilii Erenburga

„ODWILŻY”

której tytuł nadał całemu okresowi połowy lat pięćdziesiątych. W Polsce powieść ta ukazała się w marcu 1955 roku. Ale — jak to zwykle bywa w przyrodzie — po odwilży nadchodzą przymrozki. Termin ten też wówczas funkcjonował, gdyż proces przywracania leninowskich norm życia w partii i państwie nie postępował bezkonfliktowo, bez zahamowań, bez sprzeciwów. Ale te zahamowania rodziły — i rodzić musiały — społeczny sprzeciw, pogłębiały kryzys.

„Sprawozdanie z prac Komisji KC KPZR powołanej dla wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w dziejach Polski Ludowej” okres ten tak charakteryzuje:

„...nadmierna powściągliwość, zwłaszcza w decyzjach personalnych, wywoływała rosnącą krytykę wśród aktywistów partii, a także rosnące postawy i działania szeregu osób, chcących uwolnić się od odpowiedzialności za współczesność w realizacji błędnej linii oraz za jej skutki. Można przyjąć, że Biuro Polityczne i Sekretariat KC nie wykazywały dostatecznej politycznej wyobraźni co do następstw tych zjawisk w partii, a zwłaszcza skutków ewentualnej łagodniejszej reakcji, skumulowanych sprzeczności i napięć we wszystkich dziedzinach. Mając zapewne świadomość odpowiedzialności za dotychczasową linię polityczną, obawiali się zarówno jej następstw, jak i nie zerwały z leninowskim postępowaniem sposobów budowania socjalizmu.

W efekcie wyhamowana była realizacja słusznym uchwał III Plenum KC”.

Zahamowania w realizacji uchwał III Plenum KC KPZR, które nakładało zadania partii w przywracaniu praworządności, kolektywnej pracy instytucji i leninowskich zasad postępowania, wynikały też z ciągłej trudnej sytuacji wewnętrznej kraju. Realizacja ambitnego planu sześcioletniego, który miał uczynić z Polski rolniczo-przemysłową Polskę, przyspieszając rozwój, cały ten spełniła tylko częściowo. Powstały nowe fabryki, nowe dziedziny wytwórczości. Polska przeobraziła się gospodarczo. Zapożyczano szereg procesów społecznych, ale wyrwały się one spod kontroli. Nastąpiła migracja ludności, rozpoczęła się szybki proces urbanizacji Polski, przebudowy jej struktury społecznej, rolnictwa. Skutki tych procesów były zarówno pozytywne, jak i negatywne. Ale przede wszystkim — co decydowało o rozwoju sytuacji wewnętrznej — nie osiągnięto zasadniczych zamierzeń planu sześcioletniego. Nie osiągnięto wzrostu produkcji rolniej. Zamierzony wzrost wyniósł 150 procent, a wyniósł tylko 113. Co więcej — nie osiągnięto zamierzonego wzrostu płac realnych. Różnica była dość wysoka. Zamierzano osiągnąć 140 procent, a osiągnięto 104. Niedomaganie w tych dwóch dziedzinach decydująco i ujemnie wpływały na wewnętrzną sytuację Polski. Nie więc dziwnego, że dwa kolejne posiedzenia KC KPZR: IV, które odbyło się 15 i 16 lipca 1955 roku i V, które obradowało 8 i 9 lutego 1956 roku — poświęcone były sprawom rolnictwa. Przyjęty sposób przebudowy rolnictwa w Polsce nie zdawał egzaminu. Rosła ilość spółdzielni produkcyjnych, ale nie rosła produkcja rolna. W maju 1956 roku było już 10.600 rolniczych spółdzielni produkcyjnych. Ale to nie rozwiązywało problemów rolnictwa w Polsce. Kryzys objął również wieś.

22 lipca 1955 roku w Warszawie odbyła się wielka i pamiętna uroczystość: oddano do użytku Pałac Kultury i Nauki — dar Związku Radzieckiego dla odbudowywanej Warszawy. Różne były opinie o tym budynku. Ma on swoich zwolenników i przeciwników. Ale trudno dziś wyobrazić sobie Warszawę bez Pałacu Kultury i Nauki. Wrócił trwał w panoramę miasta i... spełnia ogromnie pozytywną rolę.

Wielkim wydarzeniem tego roku stał się

FESTIWAL W WARSZAWIE

Był to V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów. Miał on duże znaczenie dla dokonujących się w Polsce przemian, gdyż zetknął nie tylko warszawiaków z ludźmi różnych stron świata, różnych kultur, postaw, a i nas samych zmusił do innego spojrzenia na świat, do rewizji stereotypów, przyzwyczajają do mitów, do uznania racji innych. Budził przekonanie, że świat nie jest skonstruowany tylko z białej i czarnej, że kolorów jest więcej i nie tylko mogą, a muszą one istnieć obok siebie. Również Warszawa stała się kolorowa.

„...całą Warszawę — wspomina Stanisław Głabiński w książce „PAP w herbie” — wymalowano, wyklastrowano, wylepiono lub owinięto papierem i w ten sposób kolorowa, szeleszcząca, ociekająca farbą i białidłem oczekiwana stolica na rzeszę młodzieży z ponad stu krajów świata”.

Równoległe z Festiwalem miało miejsce kilka wydarzeń kulturalnych, które pogłębiały proces „odwilży” i nadawały mu nowy charakter.

„...młoda plastyka — pisze Włodzimierz Sokorski w książce „Czas, który nie mijął” — organizuje w Arsenale swoją własną wystawę, która nie tylko zaprezentowała takie nazwiska, jak Tchereziński, Hasior, Gierowski, Lebedzew, lecz załamata konwencje realistyczne, pokonując zarówno szereg kierunków pochodnych, jak i wręcz abstrakcyjnych. Było to wydarzenie dużej miary, szeroko omawiane w prasie, które zainicjowało wielorakość form i poszukiwań, nierzadko bardzo bliskich realizmowi, a nawet

naturalizmowi, nie mówiąc o wpływach ekspresjonizmu (...).

Było to zresztą niezwykle święto. Plastyka Arsenalu, kopie obrazów Picassa ozdobiły wszystkie mury”.

Pablo Picasso — jak pisze Włodzimierz Sokorski — triumfował „jako symbol odnowy, a jednocześnie wierności hasłom ideowej sztuki”. Warszawa zobaczyła inny świat. Przez dwa tygodnie: od 31 lipca do 14 sierpnia 1955 roku — działały się w stolicy Polski dziwne rzeczy.

„Starsze panie — pisze Stanisław Głabiński — zostawały w domu nie dokończoną obiadą i gnały do teatru, gdzie odbywała się właśnie dyskusja kilku delegacji na temat praw kobiet, a potem wieczornica w wykonaniu którejś z delegacji azjatyckich. Wnuczyki tych starszych pań tańczyły w tym samym czasie przy ognisku na Agrykoli. Również wtedy córki i synowie tychże pań oklaskiwali chińską operę w Sali Kongresowej. Dopiero później wieczorem, a najczęściej nocą, rodziny spotykały się w domach, by jeszcze przez jakiś czas dzielić się wrażeniami i układać plany na dzień następny tak, by uczestniczyć w wybranych imprezach.

Właśnie to nikt już dokładnie nie wiedział,

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

I nadszedł rok 1956

czy festiwal to impreza polityczna, czy wielka, barwna zabawa, czy przegląd dorobku kulturalnego różnych kontynentów, chociaż w sumie był po trochu wszystkim”.

Temu, co się działo w Warszawie przyglądali się wszyscy. Na różnych imprezach pokazywali się przedstawiciele najwyższych władz partii i państwa, a reporterzy PAP i gazet „dostawali” malowanego do ręki, czy przypadkiem nie przeoczył jakiegoś członka Biura Politycznego wieszającego w tłum lub siedzącego pod krzakami w otoczeniu delegatów z Katowic lub Pekinu”. Zresztą rozwiązano ten problem w taki sposób, że oświadczone dziennikarzom, iż przedstawiciele władz bywają na imprezach festiwalowych prywatnie i nie ma obowiązku nikogo o tym informować. Stanisław Głabiński przyznaje się, że wszyscy odetchnęli z ulgą, a on miał okazję widzieć marszałka Konstantego Rokossowskiego jednego raz „w cywilnym ubraniu na ognisku młodzieży krajów azjatyckich”.

Festiwal się skończył, młodzież powróciła do swoich krajów, ostygły emocje. Życie wróciło do normy. Trwały przecież jeszcze wakacje, urlopy, było lato. Ale w polityce, w życiu kulturalnym było to okres „odwilży”, okres narastających zmian, które coraz bardziej wymykały się spod kontroli i które niosły z sobą obok objawów pozytywnych, koniecznych, również objawy i zjawiska negatywne, ujemne o wyrażeniu antysocjalistycznych treściach. Nie dla wszystkich i nie w jednakowym stopniu było to widoczne, jasne. Zawsze w dużym zamieszaniu, kiedy łamią się jakieś kanony, kiedy padają schematy, należy przewidywać, że dojdą do głosu również tendencje niepożądane, antysocjalistyczne. Rzecz zatem jest w tym, aby umieć je w porę dostrzec i przeciwstawić im z całą stanowczością. Często właśnie w takim okresie jest to trudne, panuje bowiem zamęt, przeważają hasła zdrowy, a ludzie, którym udało się zachować zdrowy rozsądek i stałość ideologiczną, boją się pomówienia ich o konserwatyzm i zachowawczość. Często świadczą to również o złej, powierzchownej i dogmatycznej pracy ideowo-wychowawczej w partii.

Wróćmy jednak do tego,

CO DZIAŁO SIĘ W KULTURZE

Najważniejsze wydarzenia były jeszcze przed nami, ale i w roku 1955 toczyły się interesujące dyskusje w prasie kulturalnej, działały już teatry studenckie. Słynny STS w Warszawie w październiku wystąpił z programem „Myślenie ma kolosalną przyszłość”. Od kwietnia działał Teatr na Tarczyńskiej Mirona Białoszewskiego. We wrześniu „Poprostu” z tygodniową wewnętrzną studencką stało się pismem młodej inteligencji i studentów. W październiku uruchomiono Centralną Agencję Fotograficzną. A pod koniec sierpnia na łamach „Nowej Kultury” — na pierwszych stronach zresztą — ukazał się „Początek dla dorosłych” Adama Ważyka.

„Po zakończeniu sezonu prawdziwa bomba wybuchła jeszcze przed otwarciem następnego: „Początek dla dorosłych”! Ważyk złożył go Wilkowi w lipcu (choć i o Wilhelma Macha — przyp. L.W.); red. Hoffmana nie było, dawili w Chinach. „Początek” obiegił redakcję. Wszyscy byliśmy za jego drukiem, tylko Przemysław się wahał, zwlekał z decyzją do powrotu naczelnego. W końcowych rozmowach — wspomina Tadeusz Drewnowski w książce „Tyle hałasu o nic?” — nie uczestniczyłem, wyjechałem na urlop. Jak wspomina Matuszewski, Hoffman zachwycił się „Początkiem...”, uznał go za najwybitniejsze dzieło ostatnich lat i chciał drukować natychmiast. Ważyk zwlekał jednak nieco z ostatecznym poprawkami. Ostatecznie „Początek” ukazał się w końcu sierpnia — i zaraz wybuchła awantura, największa z wszystkich w dziejach polskiej odwilży. Jej punktem kulminacyjnym był sąd partyjny, jaki z udziałem Olma-

ba, Bermana i Morawskiego oraz licznych literatów partyjnych odbył się na jesieni, nie wiem czemu, w Pałacu Staszica”.

W dwa tygodnie po ukazaniu się „Początku dla dorosłych” Adama Ważyka „Nowa Kultura” opublikowała „Początek dla młodych” J. Sierpińskiej. Następnie Jan Strzelecki artykułem „W sprawie dla dorosłych” zainicjował długą dyskusję nad „Początkiem dla dorosłych” i w ogóle sprawami tamtych czasów. Dyskusja ta nie zmieniała jednak w niczym wewnętrznych układów. Nad naczelnym redaktorem „Nowej Kultury” Michałem Hoffmanem zawiła burza.

„Hoffman nie był skłonny do żadnego kompromisu — wspomina dalej Tadeusz Drewnowski. — W krótkim oświadczeniu w Pałacu Staszica nie tylko obstawał przy redakcyjnej decyzji, ale twierdził, że to jest jego opinia o „Początku...”, być może uznał, że to najlepsza okazja do wypowiedzenia postulatów, bez względu na konsekwencje. Mimo że obydwoje oficjalni sędziowie byli najbliższymi przyjaciółmi Hoffmana, mimo że nasz zespół zachował z nim solidarność — nie nie pomogło Hoffman, którego już przedtem w Wydziale Kultury zastąpił Tadeusz Daniłowicz, zlecał z trzaskiem z re-

wynikami. „Konieczna jest — powiedział — konsekwentne wprowadzenie do życia zasady osobistego materialnego zainteresowania pracowników z tym, iż należy pamiętać, że realizacja tej zasady jest jednym z najważniejszych warunków nieustannego wzrostu produkcji”.

Zwrócił też N. S. Chruszczow na konieczność konsekwentnego kontrolowania realizacji raz podjętych uchwał. „Nie wolno dłużej godzić się — mówił — z chałupniczym traktowaniem kontroli wykonania dyrektyw partii i rządu”. Przy tym zwracał uwagę na potrzebę kontrolowania nie tylko tych, którzy nie pracują, są opieszali w wykonywaniu zaleceń, ale wszystkich, również i tych, którzy pracują dobrze. „Kontrola — mówił — to przede wszystkim porządek, przyzwyczajanie pracowników do dyscypliny, zapobieganie błędom, zwiększa ich odpowiedzialność za powierzoną sprawę”.

Najważniejszą sprawą, która została poruszona na XX Zjeździe KPZR, była:

SPRAWA PRZYWRÓCENIA PRAWORZĄDNOŚCI

Nikita S. Chruszczow powiedział w referacie „Komitet Centralny partii zwraca i zwraca wielką uwagę na umocnienie praworządności socjalistycznej. Doświadczenie uczy, że najmniejsze osłabienie praworządności socjalistycznej usiłują wykorzystać wrogowie państwa radzieckiego, dla swojej nielegalnej akcji dywersyjnej. Taką właśnie działalność prowadziła zdemaskowana przez partię banda Berli, która usiłowała wyłączać organy bezpieczeństwa państwowego spod kontroli partii i władzy radzieckiej, postawić je ponad partię i rządem, stworzyć w tych organach atmosferę bezprawia i samowoli. Kierując się swoimi wrogimi celami szefka ta fabrykowała fałszywe materiały obciążające uczciwych kierowniczych pracowników aparatu i szeregowych obywateli radzieckich”.

N. S. Chruszczow ze zjazdowej trybuny poinformował delegatów i gości o rewizji wielu spraw, w wyniku czego „na wniosek Komitetu Centralnego ludzie niewinnie skazani, zostali zrehabilitowani”. Dalej w swoim referacie N. S. Chruszczow podkreślił, że „partia nie powinna się obawiać mówienia narodoj prawdy o brakach i trudnościach”, bo „kto boi się przyznania do błędów i słabości, ten nie jest rewolucjonistą. Nie mamy powodu ukrywać naszych niedociągłości, ponieważ nasza linia generalna jest słuszną”.

Zjazd w podjętej uchwale zaaprobował „w całej rozciągłości dokonany przez Komitet Centralny wielką pracę nad przywróceniem leninowskich norm życia partyjnego, rozwojem demokratycznej wewnętrznej partii, wprowadzeniem zasad kolegiałności kierownicstwa na podstawie realizacji polityki marksistowsko-leninowskiej, nad doskonaleniem stylu i metod pracy partyjnej”.

Dalej w uchwale stwierdza się: „Dla zwiększenia aktywności komunistów i wszystkich ludzi pracy ważne znaczenie miało szerokie wyjaśnienie marksistowsko-leninowskiego pojmowania roli jednostki w historii. Zjazd uważa, że Komitet Centralny zupełnie słusznie wystąpił przeciwko kultowi jednostki, którego rozpowszechnianie pomniejszało rolę partii i mas ludowych, pomniejszało rolę kolegiałności kierownictwa partii i częstokroć prowadziło do poważnych zaniedbań w pracy, oraz poleca Komitetowi Centralnemu, by w całej swej działalności brał za punkt wyjścia fakt, że rzeczywistymi twórcami nowego życia są masy ludowe kierowane przez partię komunistyczną”.

W wyniku przywrócenia leninowskich norm życia partyjnego, rozwoju demokracji wewnętrznej, przestrzegania zasady kolegiałności kierownictwa, w wyniku walki przeciw kultowi jednostki Komitet Centralny zapewnił lepsze kierowanie sprawami rozwoju przemysłu i rolnictwa, ujął naruszenie praworządności socjalistycznej, jakich się dopuszczano, i podjął niezbędne kroki w celu ich usunięcia, wezwał do walki przeciwko nastrojom samozadowolenia i niefrasobliwości oraz zmobilizował całą partię, wszystkich naszych pracowników, partyjnych i bezpartyjnych, do przypięcia tempa rozwoju społeczeństwa radzieckiego, do dalszego podnoszenia dobrobytu narodu radzieckiego”.

W czasie trwania XX Zjazdu KPZR podjęto też ważną sprawę rehabilitacji Komunistycznej Partii Polski. 19 lutego 1956 roku „Trybuna Ludu” opublikowała oświadczenie pięciu partii: KPZR, PZPR, Włoskiej Partii Komunistycznej, Bułgarskiej Partii Komunistycznej, Komunistycznej Partii Finlandii o braku podstaw dla podjęcia w 1938 roku decyzji przez Komitet Wykonawczy Międzynarodówki Komunistycznej o rozwiązaniu KPP. Jednocześnie podjęto decyzję o rehabilitacji KPP, wielu jej działaczy straconych w latach trzydziestych pod różnymi fałszywymi zarzutami.

Jednak największą sensacją było także prze-mówienie Nikity S. Chruszczowa o kulcie jednostki, a właściwie o metodach i sposobach postępowania Józefa Stalina.

W tym czasie Józef Winiewicz — wiceminister spraw zagranicznych — wracał z Moskwy, gdzie wraz z pracownikami MSZ i wiceministrem Marianem Naszkowskim byli gośćmi radzieckiego MSZ. „Zatrzymaliśmy się w Mińsku — napisał później w książce „Co pamiętam z długiej drogi życia” — jako goście ministra spraw zagranicznych Białorusi, Kuźmy Kisielowa. (...) Kisielow obwoził nas po odbudowanym z gruzów wojennych, nowoczesnym mieście. Zatrzymał się dłużej przed pomnikiem Stalina. Z niezwykłą emfazą rzucił zdanie: — „Jeśli kiedykolwiek ktoś zechce ten pomnik usunąć, będziemy bronili dostępu do niego do ostatka!”

Ktoś mógł się domyślać, że zabrzmią tu słowa XX Zjazdu i znanej nam dopiero później krytyki epoki stalinowskiej, dokonanej przez Chruszczowa”.

Referat z niejawnego posiedzenia XX Zjazdu KPZR wstrząsnął wieloma ludźmi i wieloma partiami.

Gdyby obecnie zwrócić się do przypadkowo dobranych ludzi o różnym stopniu wykształcenia i pracujących na rozmaitych stanowiskach z pytaniem: co to takiego UMEWAP? — odpowiedzi nie zawsze zresztą ściśle i wyczerpującej — mogłoby udzielić jedynie szefowie jednostek gospodarczych i naukowcy zajmujący się teorią organizacji pracy, o ile oczywiście tacy znaleźliby się w przypadkowo dobranej grupie. Przeciwnie obywał, bez względu na to, czy jest nauczycielem czy dozorcą nocnym o UMEWAP nie wie na razie nic, przeważnie nawet nie potrafi podać pełnego brzmienia tego skrótu.

TERESA JERZYKOWSKA

UMEWAP - co nam to da i czym grozi?

Wszystko jednak wskazuje na to, że wkrótce sytuacja się zmieni — i większość ludzi nie tylko o UMEWAP — czyli o Uniwersalnej Metodzie Wartościowania Pracy — usłyszy, ale i skutki jej zastosowania odczuje na własnej skórze (czy raczej we własnej kieszeni), w sposób dla siebie korzystny bądź przykry.

Organizacja pracy i wszystkie związane z nią zagadnienia i problemy, to temat nie nowy zarówno dla naukowców, jak i praktyków ze wszystkich przedsiębiorstw i instytucji. Nowością natomiast jest sposób podjęcia do tego problemu. O ile dotychczas sprawy organizacji pracy — widzianej negatywnie — traktowane były jako czynnik hamujący postęp w gospodarce, utrudniający wdrażanie zasad reformy gospodarczej, obecnie — konkretnie od X Zjazdu PZPR — podjęta została próba spojrzenia na to zagadnienie jak gdyby z drugiej strony. Jako na jeden z czynników sprawczych postępu i to czynników działających w sposób ofensywny, skłaniających do przełamania inercji i szukania pozytywnych sprzężeń między organizacją a wzrostem wydajności, i w dalszej konsekwencji coraz lepszym zaspokojeniem potrzeb społecznych i poprawą jakości nie tylko pracy, ale i życia.

Jako jeden ze sposobów praktycznej realizacji takiego „nowego spojrzenia” na sprawę organizacji zaproponowano atestację stanowisk pracy, której celem ma być uwolnienie struktur organizacyjnych gospodarki narodowej i państwa. Oczywiście osiągnięcie tego celu nie jest możliwe w szybkim terminie. Wymaga m.in. kształtowania nowych postaw i zmian w świadomości społecznej, co zawsze, w każdej dziedzinie, jest sprawą niesłychanie trudną. Dlatego też atestacja ma być działaniem długofalowym, przeprowadzanym etapami — nie zaś jednorazową akcją. Z dużym prawdopodobieństwem można przypuszczać, że te zakłady, które w ciągu 1-2 tygodni ogłosiły, że oto właśnie już, jako jedne z pierwszych atestacji dokonały, podeszły do sprawy właśnie aktywnie, bez zrozumienia istoty problemu i bynajmniej na pochwałę za pośpiech nie zasłużyły.

Przykładów takiego pośpiechu nie było jednak wiele. W większości zakładów i instytucji trwają dopiero przygotowania do przeprowadzenia przeglądu stanowisk w różnym stopniu zaawansowane i budzące rozmaite, małe i większe obawy zarówno wśród kierownictwa, jak i wśród załóg pracowników.

Jednym z zakładów daleko zaawansowanym a jednocześnie takich, gdzie atestacji nikt nie specjałnie nie boi jest łódzki „SKOGAR”. Tutaj właśnie przed paroma miesiącami zastosowano w praktyce — jako wstęp do przyszłego przeglądu — właśnie Uniwersalną Metodę Wartościowania Pracy.

Przedsiębiorstwo Przemysłu Skórzanego „Skogar” jest jednym z 100 przedsiębiorstw w Polsce wyznaczonych do pilotażowego zastosowania metody UMEWAP. Z doświadczeń tego zakładu korzystać będą w przyszłości inne jednostki gospodarcze. Postaramy się więc na przykładzie tego właśnie zakładu zrozumieć, o co właściwie chodzi.

Porządkowanie — zatrudnienia

rozpoczęło się w „Skogarze” właściwie już wcześniej — w 1985 r. przed wprowadzeniem nowego, zakładowego systemu wynagrodzeń. Aby nowe place jak najbardziej odpowiadały wykonywanym czynnościom — zastosowano metodę, pozwalającą ocenić każde stanowisko w punktach, co w dalszej kolejności pozwalało na ustalenie hierarchii zawodów i stanowisk w zakładzie, umożliwiał porównanie i określanie różnic między poszczególnymi stanowiskami w sposób już nie subiektywny, lecz wymierny, różnicą punktów, a w konsekwencji — umożliwiło zróżnicowanie plac w sposób mniej więcej jasny dla wszystkich zainteresowanych.

Przy porządkowaniu hierar-

175 punktów), uciążliwość pracy max. 125 punktów) oraz utrudnione warunki środowiska pracy (max. 90 punktów).

Teoretycznie więc maksymalna wartość pracy wynosić może 600 punktów — w praktyce jednak sytuacja taka nie jest możliwa. Nie ma bowiem w żadnym zakładzie produkcyjnym czy instytucji takiej pracy, która wymagałaby wyższego wykształcenia, podejmowania decyzji (i odpowiadania za nie) dotyczących dużej grupy ludzi, była bardzo obciążająca fizycznie i umysłowo, a jednocześnie odbywałaby się w wirtuozym, hałaśliwym pomieszczeniu pod przewodami wysokiego napięcia.

Ta najwyższa wartość punktowa wynika z zakładanej

Tu pojawiać się mogą różnice, wynikające ze składu osobowego zespołu, zajmującego się ocenianiem.

W metodzie tej — a ściślej w sposobie wykorzystania jej wyników do określenia wysokości wynagrodzeń — kryje się również pewne niebezpieczeństwo „pójścia na łatwiznę”. Cóż prostszego bowiem, jak określić, że jeden punkt odpowiada np. wartości 100 zł? Cała reszta będzie już tylko prostymi rachunkami, w efekcie zanikną zupełnie bodźce do szczególnie dobrego, ponadprzeciętnego wykonywania własnej pracy. Dlatego też punkty powinny stanowić podstawę — pozostawiając jednak pewien margines np. 40 proc. lub mniej na ruchomą część wy-

konieczności takiego opracowania metody, aby była ona możliwa do zastosowania we wszystkich gałęziach i branżach gospodarki, czyli po prostu uniwersalna, co zresztą uwzględniono nawet w nazwie.

W przykładowym „Skogarze” wyodrębniono i poddano ocenie 146 stanowisk pracy — w tym 84 robotnicze i 62 inne. Cała „operacja” trwała około 3 mies. Do jej przeprowadzenia powołano specjalny zespół — oraz podzespół, składający się z ludzi tak dobranych, aby mogli możliwie najlepiej ocenić wszystkie warunki, związane z danym stanowiskiem. Członkowie podzespołów przynajmniej punkty — przy czym dała się zauważyć normalna chyba w takiej sytuacji skłonność do zawyżania punktacji w przewidywaniu przyszłych pieniędzy, natomiast członkowie zespołu głównego — weryfikowali ocenę.

W rezultacie rozpiętość punktowa wyniosła od 44 punktów dla referenta i numeratora do 361 dla dyrektora przedsiębiorstwa. Przy czym raz jeszcze warto przypomnieć — nie jest to ocena człowieka — lecz stanowiska i każdy, pełniący tę funkcję „zasługiwałby” na 361 punktów.

W porównaniu z dotychczas stosowanymi metodami UMEWAP stanowi ogromny krok naprzód — pozwala bowiem porównywać ze sobą wszystkie stanowiska pracy, występujące w całej gospodarce narodowej. Nie jest ona jednak idealna — zresztą metody idealnej nigdzie jeszcze nie opracowano. Jej braki — to m.in. niemożliwość wyeliminowania wszystkich czynników subiektywnych, wpływających na ocenę.

Dość łatwo określić w punktach wartość wykształcenia, a nawet uciążliwość fizyczną pracy — ale jak ocenić np. myślenie twórcze czy zręczność?

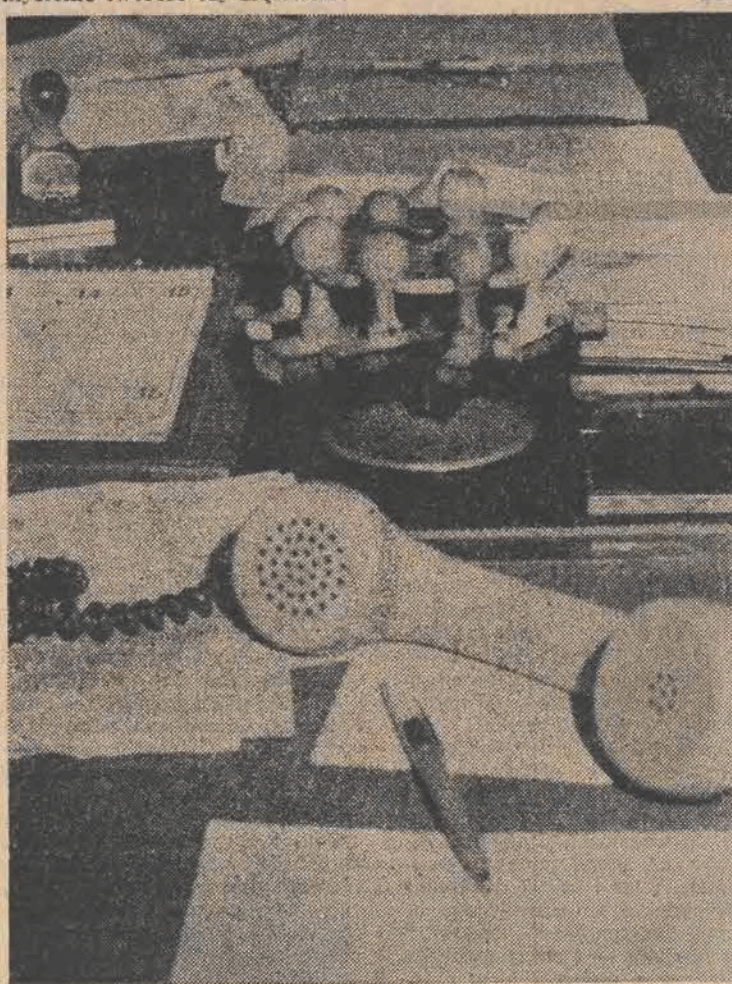


Foto: Grzegorz Golasinski

— W pierwotnej koncepcji było 8 makroregionów, a w centralnym występowały obok siebie dwie aglomeracje: warszawska i łódzka. To było nieporozumienie. Od 1982 roku jest 9 makroregionów. Aglomeracje łódzka i warszawska należą do różnych regionów.

— Jakby pan scharakteryzował makroregion środkowy?

— Wchodzi tu województwa: łódzkie, piotrkowskie, płockie, sieradzkie i skierniewickie. Makroregion środkowy obejmuje 6,95 proc. powierzchni kraju, 8,34 proc. ludności, 8,11 proc. zatrudnionych, powstaje tu 10,3 proc. ogólnej wartości krajowej produkcji, znajduje się 8,41 proc. wartości wszystkich środków trwałych i 8,4 proc. wartości środków trwałych produkcyjnych. Mamy tylko węgiel brunatny i surowce dla produkcji materiałów budowlanych. Mamy dwa leje depresyjne: łódzki i bełchatowski. Cztery rejonu ekologicznego zagrożenia: województwo łódzkie miejskie całe, Bełchatów, Płock i Tomaszów Mazowiecki. Mamy zanieczyszczone rzeki: Bzura, Ner, Moszcznica, Miazga, Dobrzyńska. Mamy najniższy w Polsce przyrost naturalny i wysoki wskaźnik zgonu niemowląt. Place poniżej średniej krajowej. Rolnictwo słabsze od innych, które osiąga jednak wyższe plony, ale nie ze względu na stosowane nawozy i mechanizację, a wymuszane niejako przez trzy wielkie rynki zbytu: łódzki, warszawski i śląski. Mamy słabe przetwórstwo spożywcze i niewystarczającą bazę przechowywalności, niedostatek chłodni składowych. Mamy za to miejsce pod europejski węzeł komunikacyjny i centrum przemysłu lekkiego.

— Obraz wcale nie jest zachęcający. Już sama nie wiem, czy cieszyć się z tego miejsca pod europejski węzeł komunikacyjny i centrum przemysłu lekkiego, czy raczej martwić się tym.

— Ani jedno, ani drugie. Tu nie chodzi o malowanie białego lub czarnego obrazu makroregionu środkowego. Chodzi natomiast o to, że nauka ma rolę opiniotwórczą. Wyniki badań naukowców, ich opinie, konsultowanie różnych problemów powinno przyczynić się do łamania stereotypów. Gdyby w 1975 roku nauka mogła spełnić swoje zadanie, to — mam nadzieję — nie byłoby tego kadłubowego tworu, jakim jest województwo łódzkie miejskie. Teraz też sygnalizujemy te problemy, które naszym zdaniem, albo mają szansę na rozwój makroregionu, zmianę jego dotychczasowego charakteru, albo niosą z sobą nowe zagrożenia.

— Wyjaśnijmy może to po kolei. Od czego proponuje pan zacząć?

— Może od spraw komunikacji. Zawsze mnie to fascynowało.

— Powiedział pan: miejsce pod europejski węzeł komunikacyjny. Jak pan to rozumie?

— Popatrzmy na makroregion w sposób historyczny. Tu zawsze krzyżowały się szlaki komunikacyjne ze wschodu na zachód, z północy na południe i odwrotnie. Ten rejon Polski spełniał zawsze rolę jakby skalającego, łączącego. W Piotrkowie, Łęczycy, Łowiczu, Sieradzu odbywały się zjazdy szlachty. Tu były elekcje a w Piotrkowie był Trybunał Koronny. Stąd nazwa Trybunałski. Miasta te były też centrami różnych ziem. Łódź natomiast niedługo takiej roli nie pełniła. Jej rozwój nastąpił w latach rozbiorów, kiedy naturalne więzy i szlaki komunikacyjne zostały poprzecinane. Łódź — która leży w miejscu centralnym — znalazła się poza wszelkimi ważniejszymi szlakami komunikacyjnymi.

— O Łodzi mówi się złośliwie, że dworzec ma w Kuluszkach, a lotnisko w Warszawie.

— Nie tylko. Ważne trasy komunikacyjne mają połączenie z Łodzią w Kutnie, Kuluszkach i Karsznicach. Dwie ważne linie komunikacyjne łączące Śląsk z Gdynią i Gdańskiem omijają Łódź. A przecież Łódź po aglomeracji śląskiej i warszawskiej jest trzecią co do wielkości. Przez więcej niż pół wieku po odzyskaniu niepodległości nie nadrobiliśmy tego, co zrobiono wadliwie. A na dodatek Warszawa wszystko ciągnie w swoją stronę.

— Jest przecież stolica.

— I to właśnie jest stereotyp.

— Przecież to prawda.

— Owszem. Ale nauka musi też mówić inne prawdy, które czasem są trudne do przyjęcia, bo burzą stereotypy. Warszawa jest stolicą — to prawda, ale prawdą jest też i to, że Warszawa leży peryferyjnie w stosunku do centrum komunikacyjnego, jakie znajduje się w okolicy Łodzi.

— Brzmi to niczym bluźnierstwo!

— Ale tak jest. Może to zresztą każdy sprawdzić przy pomocy cyrka i szkolnego atlasu. Trzeba w tym celu wziąć promień 200 km i zakreślić nim koło z Łodzi i Warszawy. Wtedy widać, jakie obszary pozostają poza tym zasięgiem i jaka jest między nimi różnica.

Można też wziąć inny miernik: promień 400 km, bo tyle mniej więcej samochód przejeżdża w ciągu doby. Z Łodzi te 400 km sięgają po wierzchołek suwalszczyzny, Bieszczad i prawie po Zalew Szczeciński. Z Warszawy — po Bieszczady, a poza tym promieniem, jeśli idzie o Warszawę, pozostaje 9 województw zachodnich. A więc centrum komunikacyjne współczesnej Polski przesunęło się w naturalny sposób w stronę Łodzi. Niedługo szlaki komunikacyjne krzyżowały się w Łęczycy. Ze Szczecina i Gdańska — a więc znad Bałtyku — bieglej drogi przez Łęczycę w stronę Morza Czarne i Adriatyku. Dziś szlaki międzynarodowe krzyżują się w rejonie Łodzi. Przebiega tedy szczególnie silne pasmo tranzytowe między północą a południem. I to jest szansa rozwojowa dla Łodzi.

— Pięknie, tylko jak pogodzić centralne położenie Łodzi i centralne funkcje Warszawy jako stolicy? Boję się, że to są sprawy nie do połączenia, jak ogień i woda. Zresztą Łódź leży tak blisko Warszawy.

— I dlatego nie mamy w Łodzi lotniska. A było do 1958 roku.

— No tak, tylko coś się w komunikacji lotniczej zmieniło i Lublin stał się ciasny. Zresztą na Okęcu też jest ciasno. Dziś już nie spotyka się miast, które mają w środku lotnisko. Trzeba więc wybudować nowe. Czy nie może ono znaleźć się pomiędzy Łodzią a Warszawą?

— Wszystko można zrobić, jeśli patrzy się na to w sposób niepartykularny. A Warszawa choć jest stolicą, grzeszy często partykularizmem.

— Czy moglibyśmy przejść do przemysłu lekkiego. Czy to źle, że w tym makroregionie przeważa przemysł lekki? A jeśli źle, to co z nim zrobić?

— Powiem od razu, że jestem przeciwny tym poglądom, które głoszą, że trzeba zlikwidować przemysł lekki, bo w krajach rozwijających się jest tańsza siła robocza i są surowce na miejscu, więc my z nimi nie wytrzymamy konkurencji. W moim przekonaniu jest to pogląd błędny i zaraz postaram się przytoczyć na to argumenty.

Po pierwsze — mamy znakomitych fachowców i tradycję, i nie wolno tego potencjału zmarznąć. Mamy — po drugie — wspaniałe wzornictwo, które jest w cenie w świecie. Po trzecie

w środku Polski

— mamy własne potrzeby, których nie zaspokoimy importem, na który zresztą potrzeba mieć środki, mamy też możliwości eksportu, a wiadomo, że dewiz nam potrzeba. I teraz i w przyszłości będzie potrzeba.

— Ale jesteśmy uzależnieni od importu surowca. Poza tym tego typu jednorodność przemysłowa zawsze bardziej jest podatna na kryzysy i załamania. No i obserwujemy pewne niekorzystne zjawiska: w latach 1980-1984 w makroregionie środkowym produkcja globalna przemysłu lekkiego w cenach z 1982 roku mierzone spadła o 15,9 procent, a w Polsce — o 3,6 procent. Co pan na to?

— Mogę powiedzieć tylko, że nie ma u nas koncepcji, co dalej z przemysłem lekkim. Założymy, że likwidujemy ten przemysł. I co damy w zamian?

— Mogłabym powtórzyć zastyszczane opinie, że w to miejsce powinny powstać fabryki wytwarzające maszyny, urządzenia elektrotechniczne czy elektroniczne.

— A skąd wziąć fundusze na takie inwestycje? Przecież wiadomo, że nie ma takich pieniędzy, nie ma możliwości budowania i tak dalej. Komuś te maszyny też trzeba sprzedawać.

Myślę, że tu działa inny stereotyp. Mianowicie założenie, że po likwidacji jednego przemysłu musi być drugi. Po lekkim — maszynowy. Jeszcze raz zastrzegam, że jestem przeciwny likwidacji przemysłu lekkiego. Ale też jestem gorącym zwolennikiem rozwijania szeroko rozumianych usług. Tu wróć do spraw komunikacji. Przecież zlokalizowanie węzła komunikacji międzynarodowej w Łodzi — to nie znaczy, że na skrzyżowaniu ulicy Piotrkowskiej z aleją Adama Mickiewicza — powinno przynieść duże korzyści właśnie poprzez rozwój usług.

W Holandii, którą znamy jako kraj rolniczy, rolnictwo daje tylko 8 proc. dochodu narodowego, przemysł 30 proc., a usługi około 60 proc. Holandia jest krajem tranzytowym, posiada sieć autostrad i umie czerpać z tego korzyści. W portach holenderskich przeładowuje się towary dla odbiorców w centrum Europy i dalej.

Nasze porty bałtyckie też mogłyby spełniać podobną rolę dla znacznej części Europy.

— Jakże jeszcze korzystać upragnione pan we współdziałaniu województw w ramach makroregionu środkowego?

— Przeciwdziałanie zagrożeniom ekologicznym. Makroregion środkowy — czy to się komuś podoba, czy nie — jest już środowiskową depresją. O lejach depresyjnych już wspominałem, o czterech rejonach zagrożenia — również. Do tego warto dodać najmniejszą ilość lasów w kraju, a także duże zapylenie. Emisja gazów i pyłów w przestrzeni nie ogranicza się tylko do najbliższego rejonu fabryki, ale idzie daleko poza granice makroregionu, a nawet kraju. My też cierpimy na skutek różnych trucizn, które wiatr przywiewa do nas z zachodu czy południa, nawet z odległego — wydawałoby się — RFN.

— Łódzkie ścieki płyną do Bałtyku.

— Dlatego ogromnym sukcesem jest fakt, że w trudnym okresie, kiedy ograniczono wszelkie inwestycje, nie zatrzymano budowy Grupy wyciszalarki Ścieków. Wybudowano też 14 małych oczyszczalni. Tu właśnie mogą powstać oddolne inicjatywy zmierzające do budowy takich oczyszczalni. Może to być inicjatywa miast, gmin i temu podobne.

Do rozwiązania jest sprawa wody. W Łodzi już zaczyna powoli brakować wody. Czy mamy zatem czekać aż jej zupełnie zabraknie, czy też szukać sposobów na budowę drugiej nitki wodociągu Łódź — Pilica?

— Czy uważa pan, że inne województwa nam pomogą w tej sprawie? Przecież to kłopot Łodzi, a nie ich.

— Można myśleć i tak. Ale to jest myślenie partykularne, wąskie, które do niczego dobrego nie prowadzi. Można jednak myśleć inaczej. Na przykład, że sprawa zagrożenia wynikających z Belchatowa — mówiąc w dużym uproszczeniu — jest tylko i wyłącznie sprawą województwa łódzkiego. A to nieprawda, bo zagrożenia środowiska wyprzedzające z Belchatowa nie dotyczą jedynie województwa łódzkiego. Podobnie ma się sprawa z Płockiem i Łodzią. Jest zatem pole do współdziałania, do współpracy, wreszcie — nie bójmy się tego określenia — do wywierania nacisku. Na przykład makroregion środkowy nie godzi się na budowanie czegokolwiek bez oczyszczalni ścieków i innych urządzeń ochrony środowiska i prezentuje jednolite w tej sprawie stanowisko.

— Brzmiałoby tak pięknie, że aż nieprawdopodobnie. Czy to byłoby u nas możliwe?

— Zapewne trudne do osiągnięcia, ale konieczne. Nie można ciągle tkwić w stereotypach myślowych, w skostnieniach, gdy świat idzie ciągle naprzód. Czyż mamy stać się ogonem Europy? A bez nowoczesnego myślenia, bez łamania stereotypów do niczego nie dojdziemy. Będzie nam wygodnie, ale będziemy tkwili w zacofaniu.

— Zgadza się w zupełności. Ale jak osiągnąć taką zmianę?

— Proponowałem kiedyś federację województw. Koncepcja makroregionu — nawet po zmianach w 1982 roku — jest tylko sposobem na łatwiejsze administrowanie i planowanie dla władz centralnych. Jest to twór zawieszony ponad radami narodowymi, zupełnie z nimi nie powiązany. Moja propozycja zmierza ku temu, aby powstał twór — w ramach makroregionu środkowego — który łączyłby działania województw i rad narodowych, co nie stoi w sprzeczności z ustawą o samorządzie terytorialnym. Czegoś takiego do tej pory nie ma, poza współdziałaniem gmin na Żulawach i rad narodowych miast nad Bzurą.

Nie więc nie stoi na przeszkodzie, aby wojewodowie i rady narodowe w makroregionie środkowym podjęły takie współdziałanie. Nauka powinna im w tym pomóc, dostarczając ekspertyzy i opinii. Spraw do rozwiązywania i to rozwiązywania wspólnego jest naprawdę aż nadto. A już starożytni Polacy wiedzieli, że razem lepiej i skuteczniej. Dlatego dziś mamy być głupszy od nich? Dlatego Polak ma ciągle być głupszy od nich? Trzeba wszystko zrobić, abyśmy byli mądrzy przed szkodą, abyśmy do tych szkód nie dopuszczali. I razem byłoby naprawdę skutecznie.

— Mogę się tylko przyłączyć do tych poglądów i wyrazić nadzieję, że jednak nam się uda przełamać przede wszystkim bariery w myśleniu. I to jak najszybciej!

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

WYSPA ANDROS

leży na Morzu Egejskim w archipelagu Cykladów. Powierzchnia — 380 km kw. Zamieszkuje ją ponad 30 tys. mieszkańców.

Ojciec — Georgios — ogrodnik. Matka — Zoitsa — przy mezu. Rodzeństwo — dwaj bracia, obaj starsi. Majątek rodzinny — trzypokojowy, partery dom wymurowany z kamienia, ogródek, w którym udują się ziemniaki, pomidory, ogórki — skrawek ziemi wniesiony w posagu przez matkę.

Ojciec Nikosa Marinosa był ogrodnikiem jedynie z nazwy. W rzeczywistości był dzierżawcą zatrudnianym przez najbogatszego człowieka na wyspie Empirikosa Stamatiosa.

Człowiek ten był jedynym liczącym się pracodawcą na wyspie. Dlatego płać mało. Tak mało, że na greckiej wyspie Andros dzieci zaczynały pomagać rodzicom w wieku kilku lat.

Nikos miał szczęście. Przez

ANDRZEJ KUCHARCZYK

Z wyspy Andros na Mazowsze

cztery lata mógł się uczyć. Ale już jako 11-letni chłopiec rozpoczął pracę zarobkową. Początkowo u kuzyna.

— To był niedobry człowiek.

Bił.

Drugim miejscem pracy był

zakład fryzjerski. Przez cztery

lata piastował stanowisko po-

moecnika szefa.

PIREUS

Biuro żeglugowe. Przed wejściem tłumek mężczyzn. Wśród nich szczupły, ciemnowłosy, niskiego wzrostu chłopak o żywych, niebieskich oczach. Otwierają się drzwi. Staje w nich starszy mężczyzna z kartką papieru w dłoni.

— Potrzebni młodzi ludzie

na statek!

Wzrok zatrudniającego wylą-
wia z tłum jego sylwetkę. Krótka rozmowa, pytania o
wiek, nazwisko.

KAMAROTOS

Przetłumaczenie tego słowa na polski odbiera mu całą poezję brzmienia. Kamarotos to chłopiec okrętowy, dziecko gotowe na każde skinięcie kapitana. Dziecko biegające o każdej porze po kawę do messy, zastępujące uszkodzony telefon pokładowy, czuwające nad snem przełożonego. Kamarotos to pies kapitana.

Okręt nazywał się Andreas. Był to duży, transoceaniczny statek pasażerski. Należał do milionera Empirikosa Stamatiosa z wyspy Andros. Płynął z Grecji do Stanów Zjednoczonych. Port docelowy Norfolk w stanie Wirginia.

Miał wtedy 16 lat. Nie miał zamiaru schodzić na ląd. Spotykał Greków wchodzących na pokład. Opowiadał im nowinki z kraju, niektórych informował o losach ich bliskich. Był kamarotos do ostatniego dnia, kiedy na statek wszedł brat Nikosa. Okazało się, że mieszka w Norfolk, ma pracę, ma gdzie mieszkać. Nikos został u brata. Miał dużo szczęścia. Był to ostatni rok przed wprowadzeniem nowelizacji prawa imigracyjnego.

PIERWSZE LATA

pobyty w Stanach. Opis faktów, opis życia zamyka się monotonną wylicznikową nazwą i adresów greckich restauracji, zakładów fryzjerskich. Zmieniają się nazwy miejscowości, stanów: North w Carolinie, Tarpon Springs na Florydzie, Youngstown w Ohio, Detroit, Nowy Jork.

Czas pracy — 12 godzin dziennie. Wynagrodzenie — 10 dolarów tygodniowo. Opłata za mieszkanie — 5 dolarów. Miejsce pracy — „Lunch Room” — mała grecka knajpka w Norfolk przy Gramby Street. Po całodziennym zmywaniu naczyń brakowało sił na poznanie Ameryki. Na przeszkodzie stała też nieznajomość języka. Ale po roku pracy Nikos opamiętał już angielski, przynajmniej na tyle, by zrozumieć słowa właściciela:

— Od jutra będą tu pracow-

wać inni!

Zatrudnił Murzynów — byli

jeszcze tańsi.

Dużo czytał. Broszurowe wydawnictwa w języku greckim. Lekture bez wyboru. Na ostatniej stronie książki reklama innego tytułu. Mieszkanina nazwisk i rodzajów literatury. London i Faulkner, Balzac i Cooper.

Dostał tę książkę zupełnie przypadkowo. Do jej kupna, podobnie jak do kupna wielu innych zachęciła go reklama na ostatniej stronie. Kupił. Mieszkał już wtedy u kuzyna prowadzącego w Nowym Jorku grecką restaurację. Otworzył drzwi jego pokoju właśnie, gdy zaczął czytać. Zapytał, co to za książka. Odpowiedział, żeby zobaczył sam. Kiedy rzucił okiem na tytuł zaczął ją wyrzucać. Nie zgodził się. Nie potrafił określić, dlaczego ta właśnie książka była dla niego tak ważna. Nie potrafił mimo, iż wiedział, że ona nadała kierunek jego życia.

Na okładce, jaskrawo czerwone linie i tytuł: „Stany i re-

kreacja”. Właściwie to powie-

dział: — „chcemy by towarzyszył sekretarzem”. I zostałem

nim.

Dlaczego wtedy szliśmy, dlaczego nie było momentu wahania. Bo była rozpacz, praca przez jeden, dwa dni w tygodniu, wieczna niepewność, mycie podłóg w restauracjach, zmywanie talerzy przyjmowane jak dobrodziejstwo. Przez 4 lata nie miałem stałej pracy.

TARPON SPRINGS,
FLORYDA, 1938 ROK.

Nick Marinós — dziennikarz

gazety „Empros” zamknął

drzwi najmniejszego pokoju i wy-

szedł na ulicę. Dwóch mężczyzn

czekających przed bramą

schwyliło go pod rękę.

— Czego chcecie?

— Dokąd idziesz?

— Co was to obchodzi?

— Chcesz wiedzieć, comni,

co nas obchodzi? Nazwiska lu-

dzi, o których pisali?

Z Tarpon Springs Marinós

wyszedł do redakcji reportaż o

greckich rybakach połowiąca-

nych gąbkę. Odmówili sprze-

dania połowu po założeniu ni-

skich cenach. Boykotoвано ich,

próbowano zastraszyć.

Mężczyźni byli członkami Ku

Klux-Klanu. Jeszcze nie minę-

ła fala strachu, jak rozpoczęli

członkowie tej organizacji pałac

żywności czterech robotników

zamkniętych w więzieniu jed-

nego z miasteczek stanu. Mari-

nos przesiedział w podobnym

więzieniu 10 dni. Pożegnano

go słowami: — Jeśli powiesz,

gdzie byłeś, źle skończysz!

„Empros” to była komun-

istyczna gazeta, tygodnik wyda-

wany w języku greckim przez

sekcję grecką KP USA. Póź-

niej w latach czterdziestych

zmienił nazwę na „Hellenik

American Tribune”.

— Trafiałem do niej... — opo-

wiada — w polskim jest takie

wyrażenie: „na wariackich

papierach”. No więc trafiałem

po strajku w Fordzie, po ares-

towaniu nie mogłem pozostać

w Detroit. Pojechałem do No-

wego Jorku. Wszedłem do po-

mięszczenia redakcji. Pisywa-

łem do nich, więc kiedy się

przedstawiłem, to nawet się

ucieszyli. „To ty jesteś Mari-

nos?” Zrobiło się szalenie

sympatycznie. Nie przypomi-

nam sobie, kto to powiedział,

ale zabrzmiało to jak ozna-

czenie decyzji — „bądźcieś z

nam pracować”. Początkowo

zarabiałem symbolicznie do-

lara tygodniowo. Dopiero po

kilku tygodniach podniesiono

nam stawki do 10. Zresztą to

nieważne. Nigdy nie intereso-

wały mnie pieniądze.

Smutne było to, ale jakiś

gorliwiec wycinał moje teksty

i przysyłał na Andros. Dla ro-

dziców to musiał być cios. Syn

komunisty!

Przychodził do klubu coraz

częściej. Rozmowy, dyskusje —

wciągnęło go to.

DETROIT 1932 ROK.

Strajk w zakładach Forda zo-

rganizowano na znak protestu

przeciw redukcji zatrudnienia.

Manifestanci docierali na plac

przed wejściem do fabryki. Są

wśród nich przedstawiciele róż-

nych narodowości. Na czele

grupy greckiej sekretarz gre-

ckiej organizacji komunistycznej

Athinion Nick Marinós. Ponad

pięć tysięcy demonstrantów

wychodzi na plac. Kilkadzie-

siąt metrów przed nimi kordon

polcji.

Głos z megafonu: — Jeżeli

zrobicie jeszcze krok, będziemy

strzelać!

Przywódcą młodych komuni-

stów zrzuconych w organiza-

cji Young Workers Liberation

League Joe York rusza pierw-

szy. Pada też jako pierwszy.

Razem z nim od salwy odda-

nej w tłum demonstrantów gi-

nie młody Włoch Deblasio. Po-

licja rozpęta tłum, wśrodo

aresztowanych jest Marinós.

— Staniem się bywałym klubi-

stą — opowiada teraz. — Odpo-

wiadała mi jego atmosfera. Za-

uważyłem, że coraz bardziej

interesuję mnie prowadzone

tam rozmowy, dyskusje. Począ-

tkowo byłem biernym stłu-

chaczem, ale z czasem sam za-

cząłem zabierać głos.

Pewnego dnia podszedł do

mnie jeden ze znajomych i

oznajmił, że wkrótce będą wy-

bierać do władz Athinion i oni

chcą, abym kandydował na se-

szystowska junta wojskowa. Grecji, w której czekało go w najlepszym razie więzienie.

Pytanie było banalne:

— Gdyby wybuchła wojna

między Stanami a np. Polską,

to po której stronie byś wal-

czył?

Odpowiedział, że taka sytu-

acja jest niemożliwa. Ponowio-

no pytanie:

— W żadnej sytuacji nie wal-

czyłbym przeciw socjalistyczne-

mu państwu.

— Chcesz walczyć przeciw

Stanom Zjednoczonym?

— Niczego takiego nie po-

wiedziałem.

Adwokat uprzedził, żeby nie

odpowiadać na tego typu py-

tań. Zlekceważył ostrzeżenie.

Była przed nim perspektywa

długoletniego (minimum 10 lat)

więzienia w USA.

Wyszedł na wolność za kau-

cją. Grek, bezpartyjny, wpła-

cił żądane 5 tys. dolarów. Ale

fakt, że wyszedł z więzienia w

niczym nie zmienioną jego situa-

cji. Nadal był przesłuchiwany,

nakładano do podpisania róż-

nych papierków. Kiedyś przy-

szedł brat. Musiał to zrobić.

Przyniósł dokument, w którym

stwierdzano, iż wyzeka się po-

głędów i jako uwiarygodnienie

tego, zobowiązuje się wykorzy-

stać posiadane informacje do

zwalczania komunizmu.

Zatrzymywali na ulicy, za-

prasali do restauracji... Kultural-

ni! panowie prowadzący

kulturalne rozmowy na jeden

jedyny temat.

Marinós musiał udowodnić

przed sądem, iż w wyniku de-

portacji do Grecji zostanie na-

rażony na więzieniu lub śmierć.

Jeżeli przeprowadzi tego rodza-

ju dowód, a nie znalazłby się

kraj, który zechciałby go przy-

jąć, groziło mu więzienie w

Stanach i... deportacja do Gre-

cji.

— Cały czas miałem świadom-

ość — mówi teraz — że

wszystko to jest farsa. Cały

ten proces, wszystkie dowody

były przecież mało ważne. Na-

wet gdybym udowodnił, że w

Grecji czeka mnie niechybna

śmierć wystąpiłbym mnie tam.

Wystąpił, gdyby nie znalazł

się kraj, który zgodziłby się

udzielić mi azylu. Polska mnie

uratowała, dlatego stała się tak

droga. Nigdy nie czułem się tu

obco.

Wiem, że z „Jedynki” czyli Łódzkiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Miejskiego nr 1 wyodrębnił się w swoim czasie dzisiejsze kombinaty „Północ”, „Wschód” i „Północ”. Czyli specjaliści od mieszkań. A „Jedynka” stroniła od tej niewdzięcznej roboty?

— Ależ skąd! Nigdy od mieszkaniówki nie uciekaliśmy! Faktem jest, że nieco odetchnęliśmy po likwidacji zjednoczeń, bo do tej pory traktowano firmę jako swoiste koło ratunkowe: gdzie mieszkaniówka zagrożona — tam posyłali „Jedynkę”. Ale to nieprawda, że ja kiedykolwiek od niej stroniłem. Przecież to łatwa i prosta robota, o wiele prostsza niż te moje nietypowe gmachy użyteczności publicznej.

— W najlepszych dla budownictwa mieszkaniowego latach oddawaliśmy w Łodzi chyba około 9 tysięcy mieszkań?

— Więcej nawet, bodaj w 1979 oddanych zostało ponad 10 tysięcy.

— A obecnie?

— W bieżącym roku — chyba się nie mylę — 4200 mieszkań, o 100 mniej niż w ubiegłym. Wciąż regres.

— Czyżby prężnie działające kombinaty (bo mamy jeszcze LKB „Zachód”), każdy „wypożyczony” we własną fabrykę domów, powinny — tak sądzić — bez większych trudności oddać do użytku dwukrotnie więcej mieszkań. Czemu tak się nie dzieje?

— Dwukrotnie — to może mała przesada, ale te 6 tysięcy to z pewnością jest w zasięgu ich realnych możliwości. Czemu robią mniej? Przyczyn jest wiele. Na dobrą sprawę zaczyna w Łodzi brakować uzbrojonych terenów pod większe skupiska bloków, przydałaby się jeszcze jedna wodna „nitka” z Sulejowa, niezbędna będzie i to w najbliższej przyszłości, kolejna, piąta elektrociepłownia. Dość trzeba jeszcze trudności finansowe i surowcowe.

— I dlatego trwa wyścig kombinatów na jedyny praktycznie duży plac budowy, czyli przyszłe osiedle Janów i Olechów?

— To pan stwierdził, ja tylko dodać mogę, że „Jedynka” będzie tam między innymi stawiać szkoły.

— Te trudności surowcowe powoli stają się — mam wrażenie — swoistym „wytrychem” na wszelkie budowlane bolączki. Przecież chyba nie brakuje nam cementu?

— Na razie nie, ale brakuje choćby wełny mineralnej.

— Niebędę do...

— Do izolacji cieplnej ścian budynków, a fragmenty zewnętrzne domów posiadają jej trzy warstwy. Z tego co wiem, dopiero budoje się fabryka, której produkcja rozładuje nieco te kłopoty. Był moment, że brakowało na budowach... styropianu, nie ma kształtek instalacji sanitarnych rodem z „Węgierskiej Górki”.

— Pewnie „złapali” jakiś drogocenny eksport. Przysporzą krajowi kilka marek czy szylingów, a w tak zwanym międzyczasie — rozłożą budownictwo mieszkaniowe.

— Tego nie wiem, choć jak obaj znamy życie — może się to skończyć... importem wspomnianych kształtek...

— Zmieniamy nieco temat: narzekacie na brak terenów pod budownictwo...

— My z „Jedynki” nie narzekamy...

— No dobrze, więc wszystkie pozostałe firmy. Ale jest w Łodzi wiele miejsc, gdzie niczym dziury w zębach, zięją puste place bezpańskie, zniszczone skwery, jakieś chałupniki nadające się tylko do wyburzenia. Czy w to miejsce nie można wstawić nowoczesnych, wkomponowanych w otoczenie plomb? Kilka budynków przy ulicy Piotrkowskiej, wykonawstwa właśnie „Jedynki” udowadnia wszelkie zalety tej metody.

— Pół — pan idealnie wzięliście! Takich rejonów jest w mieście bardzo dużo i można by w ten sposób postawić kilkadziesiąt budynków między innymi w alejach Kościuski, przy ulicy Zachodniej. Nawrot, Świerczewskiego i wielu innych. Ruszyliśmy nieco „Piotrkowską” i tak jak pan powiedział: one się idealnie komponują z całością.

— Więc dlaczego nie ruszamy szerokim frontem? Zbyt trudno to budowy, ciasne i niewygodne?

— Teren budowy jest zwykle niewielki, no bo z konieczności pracuje się „na żywym organizmie” i wokoło życie wra. Ale nie w tym problem. To specjalistyczne roboty,

zwykle konstrukcje klasyczne, monolityczne, z minimalnym tylko wykorzystaniem prefabrykatów. A przede wszystkim do stawiania domów w systemie tradycyjnym potrzeba fachowców, których wiele przedsiębiorstw już nie posiada.

— Jakichże to specjalistów nam brakuje?

— Głównie cieśli, a ponadto...

— Zaraz, zaraz: a gdzie się za przeproszeniem podzieli? Wyginęli?

— Można to i tak określić. Przy wielkiej płycie cieśla niepotrzebny, toteż łódzkie kombinaty mają ich raptem po kilku.

— A „Jedynka”?

— Ja mam ponad stu, jestem potentatem w skali kraju. Dobry cieśla to dziś prawdziwy skarb, ja ich zresztą zawsze traktowałem jako

to tylko konstrukcje wylwane plus cegła. Ale o powrocie do cegły w większym zakresie też nie ma co marzyć. Cegielnie wyginęły, niczym dinozaury, a to że się tych kilka czy kilkanaście odrestaurowało obecnie i uruchomiło — to dla budownictwa mieszkaniowego są ilości praktycznie bez znaczenia.

— Świetlane perspektywy: nowych, pięknych bloków nie przybędzie — bo miejsce brakuje, a tych tradycyjnych, czyli „plombowców” — również nie, bo nie ma kto...

— No, tak źle to nie jest. Świadczy o tym choćby „wypelniona” na znacznych fragmentach Piotrkowska. „Jedynka” z powodzeniem poradzi sobie z tym tematem także w innych rejonach. Ale jeszcze panu nie mówiłem, że w wielu miejscach w Śródmieściu nie wytrzyma podziemne uzbrojenie...

— Stara, latami nie wymie-

zależą od projektantów, ja muszę ściśle dokumentacji przestrzegać. Nawet jeśli widzę, że przyjęli współczynniki bezpieczeństwa maksymalne a nie minimalne. Ja jestem spokojny, jeśli wiem, że wszelkie konstrukcje projektował na przykład Janusz Frey z „Miastoprojektu”. To rzeczywiście indywidualność, nigdy „profilaktycznie” nie sugeruje większego niż potrzeba zużycia betonu czy stali. Gdyby nie on — do dziś byśmy pewnie grzebali się w Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej...

— W jednym z wywiadów nazwał pan jej realizację swoistym awanturnictwem technicznym i gospodarczym...

— To już dziś historia, ale rzeczywiście byli w czasie budowy łódzkiego „Manhattanu” momenty, kiedy do zawalu był tylko krok. Na przykład w ostatniej fazie konstrukcyjnej

potem śmieją się, że brygada stawia majstrów piwo — jaki on dla nich stanowi autorytet, w jaki sposób może egzekwować wysoką jakość pracy?

— Ależ panie dyrektorze, umawialiśmy się, że to jednak ja będę zadawał pytania... I czas już chyba, byśmy słów kilka powiedzieli o budowie Szpitala-Pomnika Matki Polki. Wszyscy śledzimy tę budowę z uwagą, bieżące meldunki przekazuje prasa, telewizja. Przyznamy więc w telegraficznym skrócie, na jakim etapie jesteśmy obecnie, czyli dziś, bo sytuacja zmienia się na tej budowie dziwnie szybko...

— Rzeczywiście tempo raczej nieznanne z realizacji innych, podobnych obiektów. W ogóle musimy przyznać, iż dużą satysfakcję na stare lata sprawiła mi ta inwestycja. Nietypowa w każdym calu, bo wiadomo było

reprezentujących „barwy” ślepego przedsięwzięcia.

— Taka inwestycja to doskonała szkoła dla młodych techników, inżynierów, mają okazję zdobyć zawodowych ostróg...

— Oczywiście, i powiem szczerze, że przyjemnie się któregoś dnia zadowolę, gdy doliczę się bodaj 28 inżynierów z „Jedynki”. To dla nich świetny praktyczny poligon: niekonwencjonalne rozwiązania, ogromne tempo, dokumentacja wciąż spływająca zbyt późno. Inicjatywa i wyobraźnia, wysoka jakość robót i doskonała organizacja pracy — te elementy są wciąż na placu budowy obecne, bo tylko one gwarantują końcowy sukces. I muszę przyznać, że znakomicie kontroluje całość dyrektor budowy z ramienia generalnego wykonawcy — inżynier Ryszard Warych. On naprawdę poświęcił tej inwestycji cztery lata życia, spędził tam autentycznie po kilkanaście godzin dziennie. Wierzę w niego, wierzę w ludzi, wierzę, że zdążymy!

— Mówią, że wiara czyni cuda...

— Są cuda niepotrzebne. Ale mówią także — a często i życie to potwierdza — że w cenie jest tylko bylejakie, najlepiej być średniakiem, nie wychylać się i aby do jutra.

— Wiem, a pana denerwują jakieś tam balkony...

— Nie tylko one! I często dostają po nosie, że wtrącam się nie do swoich spraw, że w ogóle zabieram głos. A już do szalu mnie doprowadza takie nasze, narodowe niechłujstwo. Zna pan ten budynek przy Piotrkowskiej 103, vis a vis Urzędu? Na dole, tam gdzie handel, sklepy, odpadło od parapułu kilka granitowych płytek. Nikt nie zadbał by je przykleić, w końcu gdzieś zniknęły, zostały szerby w murze. I nikomu to nie przeszkadza!

— Nie czas żałować parapetów, gdy nie ma mieszkań... Ale nieco poważnie: te płytki po prostu nie powinny opaść. Bo jeden Szpital wiosny nie czyni, na większości placów budowy robota idzie leniwie, kupię tam można bez większych kłopotów potrzebne nam materiały i surowce, określenie „murarski poniedziałek” też nie dziś wymyślono.

— Tak jest — wszystkich podciągnąć pod jedną kreskę! Przecież to bzdura! Budowlani, przepraszam, ale na pewno nie pija więcej niż lekarze czy dziennikarze, tyle że ich bardziej widzą, bardziej wpadają w oko. Mówiłem już wcześniej, jakie są konsekwencje postawienia na głowie sytuacji placowej, w tej branży szczególnie dotkliwe. Ale są wciąż pracownicy bardzo wartościowi, naprawdę godni szacunku. Mówiłem wymienić wielu, ale wspomnę o kilku. Marian Kluska — cieśla, z którym może pan podyskutować na każdy temat, inny doskonały cieśla — Janicki, tylny Stobierki, ceramik Nowakowski. Furę pieniędzy u nas zarabia, ale by pan zobaczył jak on umie robotę zorientować i jak te płytki kładzie!

— Niestety, panie dyrektorze, kończy się nam czas. A miałem jeszcze wiele pytań kłopotliwych, o pańskim patencie („Sposób wznoszenia budynków trzonowych z zastosowaniem techniki ślizgowej”) chciałem podyskutować...

— Ale po co? Przecież wie pan: najlepiej być...

— Wiem: średniakiem. Więc tylko w telegraficznym skrócie proszę mi opowiedzieć o zagranych budowach „Jedynki”.

— Pięć lat temu rozpoczęliśmy realizację kontraktu w Libli — stawiamy tam 322 jednorodzinne domy, blisko czterdzieści procent — już przekazaliśmy odbiorcom. Pracuje tam obecnie ponad 200 naszych fachowców i nie ukrywam, że eksportowa płace budowy są magnesem przyciągającym ludzi do przedsiębiorstwa. Ponadto firma ma większy zysk, no a załoga uczy się szlifować na co dzień robotę najwyższej jakości.

— Stare już, niestety, pytanie: dlaczego tam mogą szybko, precyzyjnie, dokładnie, a u nas — nie?

— To i stara jak świat odpowiedź: bo tam klient fuszerek nie odbierze. Libliczy podchodzi do sprawy superpedantycznie, nawiasem mówiąc w oparciu o angielskie normy odbioru.

— A u nas?

— U nas? Jak na Pabianickiej na przykład...

Rozmawiał:
DARIUSZ
DOROŻYŃSKI

Najłatwiej być średniakiem...

„śmietankę”, arystokrację wśród budowlarzy. Ale czemu się dziwimy, skoro przestaliśmy młodzież kształcić w tym i innych, tradycyjnych zawodach.

— Czyżby cieśla czy murarz to zawody ujmę przynoszące?

— Też się dziwię, ale cóż mogę poradzić Cieśli nie ma, a zamiast tynkarzy opuszczają szkoły „technologiczne”. Nie możemy uciec od wielkiej płyty dopóki nie wykształcimy zastępów nowych fachowców. No, a poza tym brak szalunków uniemożliwia prowadzenie wielu budów w systemie tradycyjnym.

— Czyżby dla odmiany desek brakowało?

— Nie o takie szalunki chodzi, bo lasów by nam nie wystarczyło. To muszą być tak zwane szalunki inwentaryzowane, do wielokrotnego użycia, różnorakiego kształtu i zastosowania. Produkuje się jeden typ, „ACROW”, na angielskiej licencji, ale to kropla w morzu potrzeb. To prawdziwe rarytasy, a byłem w Łodzi — można rzec — pionierem, bo zastosowałem je wiele lat temu budując jeszcze gmach „Skórimpexu”. Nawet na Szpital-Pomnik z trudem zdobyliśmy niewielką ilość tych elementów.

— Postawmy kropkę nad „i”: czego nam jeszcze brakuje, by „zaplombować” łódzkie — i nie tylko łódzkie — ulice? Nie ma fachowców, brak szalunków...

— Wiem do czego pan zmierz, bo jeśli nie prefabrykaty,

niana sieć, pamiętająca czasy przedwojenne da sobie radę przed od wielu nowych połączeń.

— Nie, nie, to nie jest tak. Konsultowałem sprawę ze specjalistami od wody, gazu, kanalizacji. Każda „plomba” w śródmieściu to ryzykowne dolewanie wody do i tak przepelnionej szklanki.

— A teraz, panie dyrektorze, proszę o szczerść. Chciałem bowiem spytać, czy to prawda, że nasze budownictwo znajduje się w czołówce europejskiej, o czymś nie w zakresie oddawanych mieszkań, tylko zużyciu materiałów i energii? Pamiętam też jak mnie pewien znajomy, powiedział, z kół zbliznionych do budowlanych, przekonywał, że na fundamentach budynków przy Piotrkowskiej można by wieżowce postawić...

— No cóż, ustawił mnie pan pod ścianą, z rękoma nad głową. Kłopotliwe pytanie, bo rzeczywiście wiadomo, że tego betonu i stali idzie za dużo, o wiele za dużo. Jest coś takiego jak „projektowanie profilaktyczne”, a dotyczy to rzecz jasna osób, które nie mają za sobą żadnego stażu pracy na budowie, projektują wyłącznie „za biurka” i dla własnego bezpieczeństwa — nieco na zapas.

— To jak było na tej Piotrkowskiej?

— No cóż, można by z pewnością postawić tam budynek nieco wyższy i w paru innych miejscach również. To wszystko

kazano obniżyć „dwójkę” czyli budynek od strony ulicy Sienkiewicza usytuowany, z 26 do 18 kondygnacji...

— Kto kazał?

— Pomówmy już może o jakości robót...

— Oj, to temat delikatnie mówiąc — nieprzyjemny. Jakosć w budownictwie mieszkaniowym — to zwrot bez jakiegokolwiek znaczenia, gra słów raczej.

— Niezupełnie tak jest. Ja wiem, że to truizm — ale naprawdę wszystko lub prawie wszystko zależy od ludzi. Ja też przez kilka lat byłem kierownikiem budowy, stawiałem między innymi budynek drukarni przy ulicy Armii Ludowej. Trzeba wymagać, często być ostrym i bezkompromisowym, ale roboty pilnować musi przede wszystkim majster, kierownik; dyrektor przedsiębiorstwa nie udźwignie wszystkiego na swych barkach.

— Ale „na pomnik” jest pan minimum raz dziennie? W myśl zasady: pańskie oko?

— To całkowicie nietypowa inwestycja i do niej jeszcze powrócę. Natomiast u źródeł złej jakości, złej roboty w ogóle leży jeszcze inna przyczyna. Cały szereg nieszczęść wynika z faktu, iż majster zarabia mniej niż zwykły, niewykwalifikowany robotnik. I ten przykład wyjaśnia właściwie wszystko. W sytuacji, gdy kiepski murarz do roboty nie przyjdzie, jeśli nie zarobi minimum 25 tysięcy, a

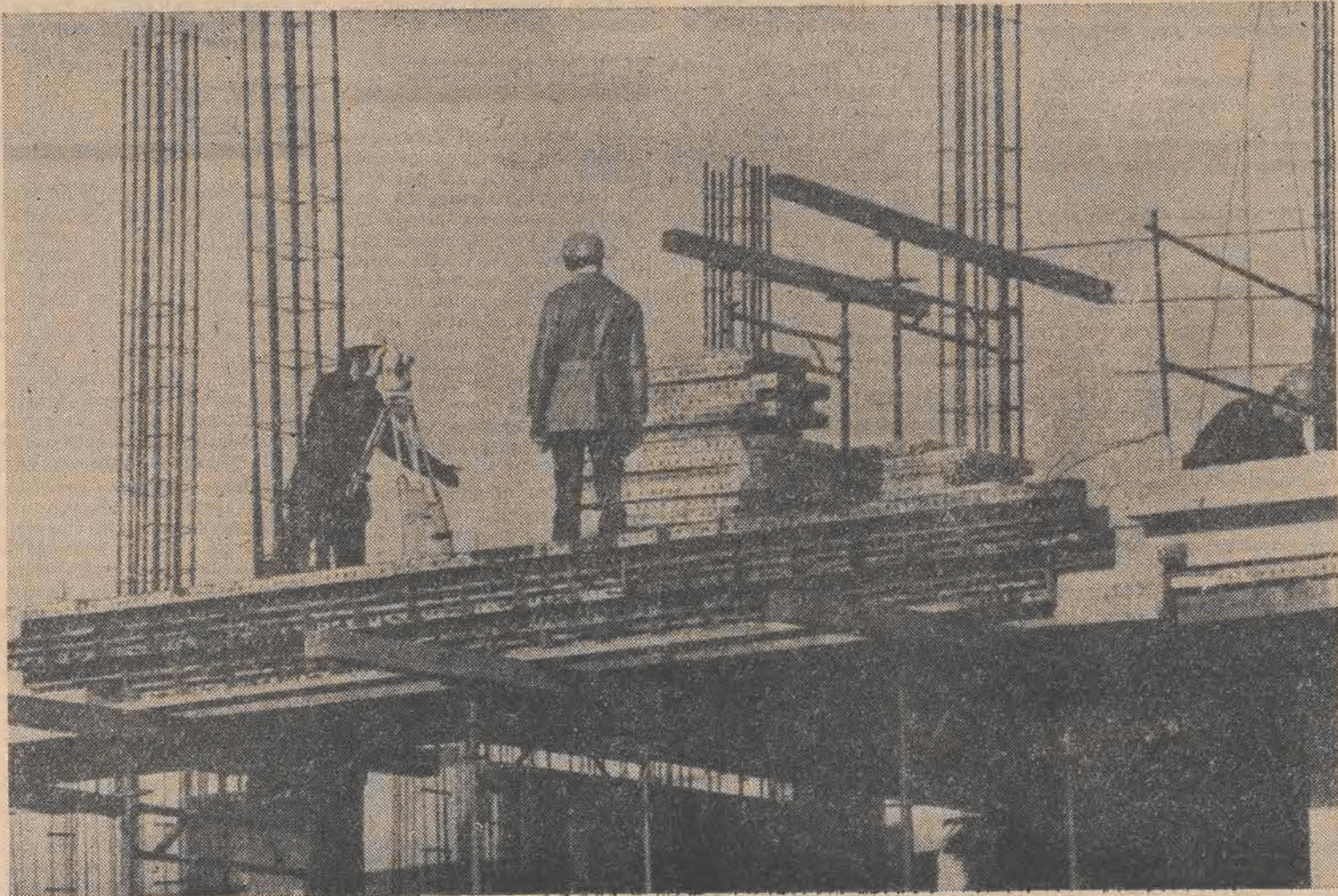


Foto: Grzegorz Gałasiński

Któż z nas nie zachował w pamięci obrazów związanych ze strażakami? Przemarsze orkiestry strażackie, za którą ciągnie chmura dymu, zawody drużyn strażackich, zapierające dech w piersiach pokazy zrecznościowe.

Od końca ubiegłego wieku straż pożarna, podówczas ochotnicza, odgrywała w Łodzi szczególną rolę. Strażacy uświetniali różne uroczystości, organizowali imprezy rozrywkowe, dawali oprawy popularnym zabawom ogrodowym. Trafiało do moich rąk, dzięki pasji zbierackiej znanego łódzkiego kolekcjonera, Zdzisława Konickiego, kilka drukowanych zaproszeń z początków bieżącego stulecia na strażackie zabawy w Helenowie. Jedno z nich, datowane 5 lipca 1914 roku, tak oto reklamuje nadchodzącą imprezę:

TADEUSZ GIGIER

Sprawę przesądził ślubny welon

„Zabawa ogrodowa. Początek o godz. 2 po południu. W parku — koncert Warszawskiej Orkiestry Strażackiej pod dyktando kapelmistrza p. Sielskiego. Sprzedaż kwiatów, pocztówek, odznaczek i lampionów. Karcza strażacka. Przyjemny koncert orkiestry strażackiej Leonharda pod dyktando kapelmistrza p. Sztarka. Na placu sportowym — wspaniałe dekoracje przedstawiające rzymski kasteł i osadę. Koncert napolitańskiego chóru mandolinistów i orkiestry strażackiej Scheiblera pod dyktando kapelmistrza p. Tonfela. Pożar rzymskiej osady. Pochochód z pochodniami przy udziale wszystkich aktorów, strażaków i publiczności. Na zakończenie: rakiety brylantowe i ognie sztuczne!”

Pułkownika Mariana Gwizdki, wieloletniego komendanta Łódzkiej Straży Pożarnej, nie poznałem bynajmniej przy pożarze. Nastąpiło to w czasie jednej z imprez organizowanych przez Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, którego pan Marian jest prezesem.

Otóż widywaliśmy się często. Zbliżył mnie do niego fakt, że jest on absolwentem dawnego Gimnazjum Miejskiego przy ul. Sienkiewicza, o które i ja „zahaczyłem” na krótko przed wojną i na krótko po wojnie, co spowodowało, że zostałem również zaproszony na zjazd byłych wychowanków tej szkoły. Zainteresowałem się tym człowiekiem, bo jest to postać barwna w łódzkiej pejzażu. Nie ma przy tym żadnych zahamowań, z każdym jest za pan brat, odznacza się dużym poczuciem humoru. Chętnie też opowiada o sobie.

— Jak zostałem strażakiem? Nie będę ukrywał, że należę do ludzi przesądnych. Uważam zresztą, że przesądni są prawie ci wszyscy, którzy stykają się na co dzień z niebezpieczeństwem. W moim przypadku sprawa zdecydowała się jeszcze przed moim urodzeniem. Opowiadano mi, że podczas ślubnych radziców zapadł się welon mojej matki. Wtedy któregoś z gości weselnych orzekł, że jeśli mojej matce urodzi się jako pierwszy syn, to na pewno zostanie strażakiem. No i tak też się stało.

— Czy zdarzyło się to w Łodzi?

— A gdzieżby indziej? Rodzice byli już rodowymi tożsianami i tu się poznali. Natomiast podwaliny naszego rodu, jeśli tak można powiedzieć, stworzyli dziadkowie, którzy przybyli tu nie tak z daleka, ale z dwóch przeciwnych stron. Tak zwana żeńska polowa, moja babka, z Pabianic, a męska, mój dziadek, spod Łęczycy, od diabła Boruty. No i tak to się zaczęło.

Jeśli idzie o mnie, to urodziłem się w samym środku Łodzi, przy ul. Przejazd, i właściwie tego kwadratu ulic między Piotrkowską, Kilińskiego, Przejazd i Główną, prawie nie przekraczałem. Do szkoły poszedłem chodząc na Pustą (obecnie Żwirki), do gimnazjum jak panu wiadomo, na ul. Sienkiewicza, przez długi czas mieszkałem i mieszkam przy tej

ulicy, tu również mieszkała się Komenda Straży Pożarnej, w której do niedawna pracowałem. Tak więc w tym skrawku miasta spędziłem większość swego życia.

— Można by przypuszczać, że taki zawieszony obszar grozi monotonią...

— Nie muszę pana przekonywać, że jest to tylko pozór. Wszystko zależy od tego, czym wypełniamy sobie swoje życie. No a poza tym na każdego człowieka jakaś przygoda.

— Czy tak określiłby pan swoje wstąpienie do straży pożarnej?

— Niezręcznie. Była to raczej konieczność życiowa. Po ukończeniu gimnazjum zacząłem studiować architekturę, miałem takie zamiłowanie, lubiłbym ry-

sować, szkicowałem różne plany. Jednak w roku 1934 zmarł mi ojciec i musiałem zająć się rodziną. Byłem już po służbie wojskowej i wstąpiłem do straży w charakterze instruktora oświatowego. Traktowałem to z początku jako rodzaj zarobkowania, nie przypuszczałem jeszcze wtedy, że pożarnictwo uciągnie mnie tak na dobre.

Wspominałem już o tym, że pułkownika Gwizdkę znam od dłuższego czasu. Jest to człowiek energiczny, ambitny, ruchliwy, coś dopiero wtedy, kiedy był jeszcze bardzo młody. Wstępuje więc do Szkoły Oficerów i wkrótce zostaje młodszym oficerem pożarnictwa. Wspinanie się po dalszych szczeblach strażackiej kariery przerywa mu wojna.

— Niemcy wywieźli mnie do oflagi, przeżywałem bardzo ciężko rozstanie z rodziną i swoim miastem. No i ta pustka bytowania tak się dźmała. Na szczęście tak się zdarzyło, że w obozie jenieckim przebywało ze mną sporo ciekawych ludzi, architektów, malarzy, pisarzy, grafików. Oni to właśnie powołało do życia teatr, który prowadził Leon Kruczkowski. Przy tym teatrze ni to zawodowym, ni amatorskim, powierzono mi funkcję kierownika robót technicznych. Odkryły we mnie dawne cięgoty, mogłem się wyżyć w swoim niespełnionym dotychczas fachu. Ale nie to było najważniejsze. Od tych ludzi wiele się nauczyłem, pogłębiłem swoje wiadomości, w odpowiedzi na ich pytania, to oni właśnie, ci ludzie, pomogli mi przetrwać, uwierzyć w sens działania nawet w tak beznadziejnych warunkach. Często wracałem myślą do tamtych czasów, bo nasze powojenne lata a i te późniejsze obfitowały również w okresy załamań i zwątpienia. A do tego nasza kochana Łódź, miasto, co tu ukrywać, niewdzięczne i zawsze trudne do poczytania związanych ze sztuką. Nie wiem, czy to się kiedyś zmieni, czy nie zanosi się na to.

Zostało mi trochę pamiątek z oflagi, bo potem awansowałem na scenografa. Jest taka książka Stanisława Marcza-Oborskiego „Teatr czasu wojny” można w niej znaleźć dwie reprodukcje moich projektów scenograficznych do sztuki Żeromskiego „Ucieka mi przepióreczka”.

— No a po wojnie? Czym pan się zajmował powróciwszy do Łodzi?

— Pomyślałem przede wszystkim o tym, aby uzupełnić swoje wykształcenie. Skorzystałem z szansy i ukończyłem studia politechniczne, a potem zacząłem pracować w biurze projektów. I wtedy powołano mnie na komendanta Straży Pożarnej.

— Powiadają: czym skorupka za młodu nasiąknie... Bo to przecież zupełnie inny rodzaj zajęcia.

— Tak by się wydawało. Ale tak nie jest. Istnieje pewien wspólny mianownik: potrzeba wyobraźni. Właśnie sprawa wyobraźni kojarzy mi się z jedną z ostatnich przygód, jaką mia-

łem z pożarami. Już nie rzeczywistymi, ale fikcyjnymi. Otóż kiedy Andrzej Wajda kręcił w Łodzi „Ziemie Obiecane”, zwrócił się do mnie o konsultację i pomoc przy sfingowaniu pożaru fabryki. Szło o to, jak należy podpalić, żeby pożar na filmie był jak najbardziej groźny i prawdziwy. Bo filmowanie rzeczywistego pożaru nie daje takiego wrażenia. I tu także była potrzebna wyobraźnia.

— Powiedzmy sobie coś jednak o pożarach rzeczywistych. Zaliczył ich pan przecież całkiem mnóstwo, a niektóre, jak sądzę, były bardzo niebezpieczne?

— Zgadza się, chociaż pamięć ludzka ma to do siebie, że woli zachowywać przeżycia o przyjemnym charakterze, a nie te, które sprawiły nam przykrość. Nie zapomnę zda-

nia, kiedy na Widzewie paliło się małe mieszkanko i nikt z obecnych tam ludzi nie potrafił powiedzieć, czy wewnątrz znajduje się dziecko, czy też matka wychodząc zabrała je ze sobą. Jeden ze strażaków wszedł więc do płonącego mieszkania i wszyscy czekali w napięciu, co z tego wyniknie. Strażak przesukał mieszkanie w kłębach dymu, nareszcie wybiega i na rękach wynosi olbrzymią lalkę. Kiedy zobaczył, że to lalka, cisnął ją z wściekłością na bruk. Nikt się nawet nie zdziwił, że tak zareagował, bo przecież ryzykował życiem.

W ogóle najbardziej dramatyczne są wypadki, w których w grę wchodzi zagrożenie życia ludzkiego. Wie o tym najlepiej ten, który wtedy kieruje akcją, a mnie się to wiele razy zdarzało. Dotyczy to wszystkich, którzy znaleźli się w strefie pożaru; mieszkańców palącego się domu i gaszących pożar. Kiedy ja wstąpiłem do tej służby, w czasie pożarów ginęli jeszcze często ludzie. Głośna była w Łodzi historia pożaru fabryki Andersztajna, przy której gaszeniu spłonęło żywcem trzech strażaków.

Pamiętam dobrze, kiedy wyjechałem po raz pierwszy do pożaru jako dowódca ekipa. Paliła się duża fabryka przy ul. 11 Listopada, obecnie Obrońców Stalingradu. Płonęło drugie i trzecie piętro, pożar przebiegał się do szparpary na parter, a na pierwszym piętrze znajdowali się jeszcze ludzie. Gdy przyjechalismy, niektórzy z tych ludzi, ogarnięci paniką, skakali z okien fabryki na płot, nie zważając na to, że mogą polecać sobie kończyły czy nawet kręgosłupy. Zobaczyłem to i ugięły się pod moją nogi. Zaczęliśmy gaszenie od parteru, taki był naszek chwili. Jakoś udało nam się uratować resztę tych, którzy w budynku zostali. Ale tego widoku olbrzymiego pożaru i tych ludzi skaczących z okien nigdy nie zapomnę.

No i ten moment odpowiedzialności, dowodzenia akcją. Do dziś mówię, że największym zagrożeniem pożary, kiedy byłem kapralem i słuchałem tyłko swych przełożonych. Może to jest śmieszne, ale prawdziwe. Bo jeśli przyjdzie się z małą jednostką do pożaru i uda się ten pożar opanować, ugasić, odczuwa się wielką ulgę. Jest to sukces o wiele większy niż wtedy, kiedy przyjeżdża się i dowodzi dużą akcją, zdarzało to mi się nieraz w okresie dwudziestolecia, fabryki paliły się w tamtym czasie nagminnie, zresztą często za sprawą właścicieli, którzy zbankrutowali i liczyli na odszkodowanie. Wiadomo było już z góry, że straty będą duże, i w najlepszym razie można tylko doprowadzić do zlokalizowania pożaru, zapobieżenia temu, żeby nie przerodził się on na sąsiednie budynki, czasem miesz-

Po powrocie z oflagi do Łodzi pan Marian włącza się w burzliwy nurt powojennego życia, odnawia dawne i nawiązuje nowe kontakty. Współ z kolegami inicjuje i składa podpis pod aktem założenia Łódzkiej Spółdzielni Plastyków, która zostaje później przekształcona w Państwową Szkołę Plastyczną. Wkrótce jednak, jak o tym już była mowa, powraca do pracy w pożarnictwie, zostaje kierownikiem pedagogicznym w ośrodku szkolenia straży pożarnej. A ponieważ przestały istnieć fabryczne jednostki strażackie, jakie utrzymywali przed wojną właściciele fabryk, trzeba było stworzyć cały system zabezpieczenia pożarowego łódzkiego przemysłu. Zaczęło się to od gromadzenia informacji o większych i mniejszych zakładach przemysłowych, ich usytuowaniu, połączeniach telefonicznych, dro-



Mówi: Lech Krowiranda

Inżynier Lech Krowiranda, absolwent Wyższej Szkoły Rolniczej w Olsztynie, od jedenastu lat wiceprezydent Łodzi. Żona Zofia, także absolwentka WSR w Olsztynie, z którą pobral się na drugim roku studiów. Dane osobowe, gdyby stawał do konkursu Mister Polonia: pogodnie niebieskie oczy, ciemna czupryna, szron na skroniach, zabójczy wąsik, lat 55, 170 cm wzrostu, 69 kg wagi. Lubi wieść, zwierzęta, ma psa jamnika. Miejsce urodzenia nie wskazuje na wrodzone skłonności do rolnictwa.

— Urodziłem się w Łodzi, rodzice byli robotnikami. Ale korzenie tysięcy łódzkich rodzin wyrastają ze wsi. My wywodzimy się z Burzenina w Sieradzkim, stąd też pewnie moje zainteresowanie wsią.

— No i chłopak z takim rodowodem został prominentem...

— I z takim nazwiskiem, no nie? Ale mój sentyment do krów i obory nie bierze się z nazwiska, tylko z faktu, że karierę zacząłem od kontroli użytkowości obór w Zespole KGR Łódź. Pracowałem w Banku Rolnym, zajmowałem się parcelacją gruntów, melioracją, potem wiele lat w aparacie partyjnym, od instruktora do kierownika wydziału. Podział administracyjny zastał mnie na stanowisku kierownika wydziału rolnictwa KW PZPR w Łodzi...

— Jedni się ewakuowali, drudzy patrzyli z boku na tę rozsypkę, a pan został.

— Zaproponowano mi stanowisko wiceprezydenta, który miał zorganizować od podstaw rolnictwo w nowym województwie, łącznie z wydziałami w Urzędzie Miasta, jak i jednostkami, bez których rolnictwo nie może funkcjonować. Ze względu na specyfikę tego miniwojewództwa, trzeba było preferować najkorzystniejsze kierunki produkcji: ogrodnictwo, hodowlę krów mlecznych, drobiarstwo. Niczego nie dokonałem sam, ale po 11 latach pracy są efekty. Gdyby ich nie było i gdybym nie lubił tej pracy, rzuciłbym wszystko w cholerę.

— Można by rzec, iż zastał pan wieś słomiana i drewnianą...

— No, nie aż tak... Ale faktem jest, że wieś podłódzka, dzięki wysiłkowi wielu ludzi, została przebudowana. Standard i kultura życia przenikają z miasta na wieś, która staje się dobrą wizytówką województwa. Jak cię widzą, tak cię piszą. Stąd też i budowa wodociągów, nowe budynki inwentarskie, nowe domy, asfaltowe drogi, którymi na dobrą sprawę można objechać całe województwo. Gospodarka poznaje się po cholewach. Gdy widzę ładny dom i czystą oborę, to wiem, że w polu też jest dobrze.

— Sukcesy jakoś nie przewróciły panu w głowie.

— Urodziłem się w biedzie i wychowałem w skromności. Woda sodowa mi nie grozi.

— Rolnicy nie chwalą pana za samą skromność.

— Jeśli chwala, to za konsekwencję w prowadzeniu łódzkiego rolnictwa, czego nie mogę przypisać wyłącznie sobie. Nie ukrywam jednak, że lubię pogadać z rolnikami w polu, nie zza biurka. Przyznam też nieskromnie, że wiele serca włożyłem w rozwój hodowli ryb. Nie tylko dlatego, że lubię ryby...

— Może bardziej lubi pan dzierzynę?

— Nadzoruję łowiectwo, ale sam z dubeltówką nie chodzę.

— Czegóż więc pan się dorobił jako prominent?

— Paru siwych włosów. Poza tym rozbiłam się Buickiem typu FSO 1500 i mam apartament, który zajmuję od 25 lat. Ale nie jedzę w nim na rowerze, bo liczy niecałe 40 metrów kwadratowych.

— Za to w środku kryształowo i same szlachetne błyski?

— Akurat! W każdym kącie sama zielen i zawsze pełno kwiatów. Żona na emeryturze, zamiast wkręcić oświatę rolniczą we wsiach, poświęca się ulubionym roślinom.

— I gotuje co mać lubi.

— Prowadzi doskonałą kuchnię, dzięki czemu, mimo tej powszechnej nerwowości, nie mam jeszcze wrzodów żołądka i jako tradycyjalista mogę delectować się schaboszczakiem — jeśli żonka uda się kupić na karkkę mięsna.

— Sąsiedzi nie przeszkadzają prezydentowi w obiedzie?

— Raczej przy kolacji. Czasami pukają do moich drzwi, owsem. Ale stosunki z sąsiadami układają mi się od lat dobrze. Staram się każdego wysłuchać, okazać życzliwość, pomóc. A rolników przyjmuję każdego wtorku w Urzędzie Miasta.

— Czytelniczy chciałby wiedzieć, ile pan zarabia.

— Do niedawna miałem 38 tys. zł pensji zasadniczej. Po podwyżce 43.500 plus 14.500 dodatku funkcyjnego oraz 20 proc. za wysługę lat. Wystarczy, żebym dobrze wyglądał i miał reprezentacyjny garnitur na zmianę.

— Górnik też tyle wycelaga, więc nie ma się czym chwalić. A za co bierze te pieniądze wiceprezydent?

— Funkcji zawodowych i społecznych jest tyle, że trzeba by sporządzić specjalną listę. Od chleba i ożenku w USC po gwizdek strażacki i sprawy wyznaniowe. Dlatego przychodzę już o 7.30 i robię „gryplan” na cały dzień. Jak nie załdziej co nieprzewidzianego, pracuję do 17 lub 18. Ale gdy się trafi wyjazd w teren, wracam do domu przed północą. W niedziele także...

— Złosiłby twierdzić, że wojewoda na 11 gminach może się czuć najwyżej starostą.

— Dlaczego? Mnie rolnicy przyjmują jako wojewodę. A mieszkańcy Łodzi przychodzą jak do prezydenta.

— Nie boi się pan, że te 11 gmin mogą zasypać popioły i śmieci.

— Z tym boryka się każda aglomeracja. Brakuje miejsc na wysypiska, trzeba więc doskonalić przemysłowe metody utylizacji.

Chciałbym, żeby było czysto i żeby na wsi i w mieście zachować jak najwięcej zieleni. Ale to nie jest łatwe. Jak we wsi jest wodociąg, wzrasta zużycie wody i wylania się problem kanalizacji...

— Robi się ciasno, Łódź ma wchłonąć gminę Andrespol.

— Przyległe do miasta wsie zatrały wiejski charakter. W Andrespolu funkcjonowała kiedyś rada osiedlowa, jest tam paru dobrych rolników, ale nie ma już rolnictwa z prawdziwego zdarzenia. W Łodzi na 1 km kw. przypada 3970 mieszkańców, bo od 1945 roku miasto nie było obszarem powiększone.

— Pomieścimy więc w Łodzi milion mieszkańców, ale żywność będziemy przywozić z Polski.

— Powiększenie województwa łódzkiego nawet o 200 tys. ha nie uwolni nas od importu żywności, może go tylko złagodzić. Niemniej jednak, jako obywatel Łodzi i jako gospodarz jestem za powiększeniem granic województwa. Taki pogląd wyraziłem także podczas dyskusji w Polskiej Akademii Nauk.

— Czy gdy prowadzi się tak bogaty tryb życia, od świtu do nocy, jest jeszcze czas na jakieś hobby?

— Można się poświęcić pracy społecznej, co zresztą czynię. Ale mam też działkę ogrodniczą o powierzchni 700 m kw., gdzie można mnie czasem zobaczyć ze szpadem i grabiami. To dobry relaks, sek jednak w tym, że wolna sobota trafia mi się nader rzadko.

— Ma pan jakieś marzenia?

— Marzy mi się dalsza stabilizacja życia w województwie i obfitość żywności w sklepach i na stołach. A osobiście? Byłem na wycieczkach w krajach socjalistycznych, chciałbym jednak poznać trochę więcej świata i zobaczyć, jak tam żyją ludzie.

— Życzę więc spełnienia marzeń i dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: RYSZARD BINKOWSKI



wynajęłam się systemowi wschodów i zachodów słońca
wynajęłam się kobiecie oddanej mężczyźnie
mężczyźnie oddanemu codziennym czynnościom
wynajęłam się wynajętemu mieszkaniu
w wypożyczonym mieście krawacie i słowie
czy mogę korzystać z publicznego szaletu
w jakich godzinach i czy jest to niezbędne
może tylko w pierwszej potrzebie

wynajęłam się swojemu odbiciu
wydrwionemu przez odbicie mojej twarzy
w tysiącach egzemplarzy przeznaczonych do
wynajęcia



Marii

będę do ciebie mówił przez drewniany
telefon gestami twoich rąk wyciętymi
z papieru podskórnym drżeniem
zapadających się wnętrza
zapadły do bólu jarzeniowym światłem

siedziemy przy stole palcami
kartując żywe linie drewna
(herbata była gorzka drzewi otworzyłem
jak zwykle własnym kluczem)
niepewni naszych życiorysów
odkrywanych w gazetach diariuszach
wypraw żywota
dokonujemy wynalazku koła
koła tego obrazu tego stołu czasu

będę mówił cicho długo sącząc cyfry

Prośba

daj mi to ostre wnętrze
diament go nie pokreśli
nie rozpuści rdza

mamy w sobie to ostre podobne do świata
nastawione na czuły rezonator dnia
gdy w szklistej fali tętnień piszemy zadumę
daj mi mówić to ostre przebić mnie do dna

od naszych gulewnych niechęci jak dziwnych
kielichów
odbija się wzgarda szybkostrzelny czas
mówię ci daj mi wnętrze wyjmij zza pazuchy
nóż nasz chleba powszedni przebić mnie
do dna

Ja układny sonet

Ja układny sonet i doprawdy zgrabny
w spodniach z prostym kaniem Wprost savoir-
-vivre
przemili z tą twarzą wygoloną jak ekran
rybie oko dowiecu czujne i skwapliwe
z pointą wpiętą w krawat Tylko nocą — strach
Wielki Biały Dom
kobiety cięte żywotka po udach
i uśmiechów kokardy bielejące chyłkiem



Rys. Janusz Szymański-Glene

Na pytanie to odpowiada
kierownik księgarni „Pegaz” w
Łodzi MARIA SZULICH.

— Co pani rozumie przez po-
jęcie upowszechniania kultury?

— Trudno mówić o upowsze-
chnianiu kultury, skoro poję-
cie definicji samej kultury jest
bardzo pojemne.

— Czy zechciałaby pani tę
definicję określić?

— Człowiek zajmujący się
kulturą naukowo ma własną
definicję, a ktoś sprzedający
książki ma swoją. Ja skłania-
łabym się do definicji, jaką po-
dał profesor Bohdan Suchodol-
ski. Brzmi ona: „Kultura jest
to całokształt dorobku ludzko-
ści społecznie utrwalony i gro-

dopiero czytelnik nadaje jej o-
kreślony sens.

Dualizm jest cechą książki,
więc i księgarz jest dualistą,
bowiem jest sprzedawcą, które-
mu zależy na ekonomicznych
wartościach, ale jest także u-
powszechniającym kulturę du-
chową, gdyż istotą pracy księ-
garza jest nie tyle obrót to-
warowy, co pośrednictwo w u-
powszechnianiu dóbr duchow-
ych służących społeczeństwu.

Upowszechnianie książki za-
leży według mnie od stanu
przygotowania społeczeństwa do
korzystania z książki, na który
to stan składa się skłonność do
nabywania książek i gromadze-
nia księgozbiorów domowych.

z pisarzami. Były nawet kluby
korespondencyjne: „Ewa”, „No-
wa Wieś” itp. Były one organi-
zowane przez „Dom Książki”
współ z czasopiśmiennictwem.

Inna forma: upowszechnianie
książki za pomocą kolporter-
ów. Ale „Dom Książki” nie
miał w ostatnich latach na tę
działalność funduszy. Taki kol-
porter działający w wielkim
zakładzie pracy był właśnie
tym upowszechniającym, który
docierał do ludzi na ich sta-
nowiskach pracy. Dziś dąży się
do reaktywowania tej potrze-
bnej instytucji.

Księgarz z małego miastecz-
ka, ze wsi jest większym upo-
wszechniającym niż ten z wiel-

Komu nagrodę „Odgłosów”?

madzony w ciągu jej dzieł
stała się bogactwem nowymi dzie-
łami twórczymi i pracą wszy-
stkich społeczeństw”.

Kulturę możemy rozpatrywać
w różnych sferach i aspektach,
jak np. przekaz informacji, któ-
rym będzie język, pismo; kul-
tura wychowania, czyli przekaz
wartości, wiedzy; kultura opa-
nowania przyrody, technika,
gospodarka. Organizacja społe-
czeństw, to też przecież kul-
tura: władza, prawa, obyczaje,
moralność. Są to wszystkie as-
pekty kultury. Oczywiście na-
leży tu także działalność inte-
lektualna: poznanie, nauka. Na
koniec zostawiłam sztukę, twór-
czą ekspresję, literaturę. To o-
statnie najczęściej się kojarzy
każdemu, nawet przeciętnemu
człowiekowi, z pojęciem kultu-
ry. A to dlatego, że przez wie-
le wieków kultura była utożsa-
miana z cywilizacją, a dopie-
ro w naszym stuleciu zaczęto
oddzielać te dwa pojęcia. En-
cyklopedia Oigebbrandta nie u-
względnia jeszcze słowa kul-
tura.

— Wróćmy jednak do poję-
cia upowszechniania kultury...

— Skoro definicja kultury
jest tak trudna, więc i z o-
kreśleniem pojęcia upowszech-
niania są kłopoty. Weźmy np.
książkę, która przecież należy
do kultury i jest z nią związa-
na nierozdzielnie. Ale znowu
należałoby określić pojęcie: co
to jest książka? Najważniejszą
cechą książki jest jej dualizm,
zespół cech materialnych z tre-
ścią intelektualną. Przecież
sama książka nic nie znaczy.

— To cecha pozytywna...

— Trzeba pamiętać, że są pe-
wne grupy ludności, które nie
tylko nie odczuwają potrzeby
posiadania książek na włas-
ność, ale ich w ogóle nie czy-
tają. I takich grup, niestety,
jest w naszym społeczeństwie
coraz więcej. Nastąpił para-
doks: społeczeństwo kupuje
stosunkowo dużo książek, ale
mniej czyta. Z własnej prak-
tyki mogę powiedzieć, że czę-
sto nabywca zapytany o to,
jaką książkę chce kupić, odpo-
wiada, że jemu wszystko jedno
co nabyć. Obserwujemy pe-
wien snobizm na posiadanie
książek. Księgarze wychodzą
jednak z założenia, że ten sno-
bizm jest pozytywny, bowiem
może doprowadzić w końcu do
autentycznego zainteresowania
się książką, to znaczy, jej prze-
czytaniem.

— Polskie księgarstwo zaw-
sze szczyliło się tym, że księ-
garze byli doradcami i powie-
rnikami kupujących...

— Księgarstwo miało w prze-
szłości wiele form upowszech-
niania książki, które, niestety,
zanikły. Były to np. kluby czy-
telników działające przy księ-
garniach, głównie przy księ-
garniach wiejskich, w małych
osrodkach. Tam, gdzie nie by-
ło bibliotek. Skupiały one mi-
łośników książek, organizowa-
no tam przeglądy nowości —
dyskutowano. W niektórych
przypadkach w tych klubach
wykonywano podstawową fun-
kcję upowszechniającą. W klu-
bach odbywało się tzw. gło-
sne czytanie książek, spotkania

kiego miasta. Tamten ma szer-
sze pole działania, wdziesiętniej-
szych odbiorców.

Skoro nagroda „Odgłosów”
ma być za upowszechnianie
kultury, należy zatem postawić
pytanie: za jakie upowszechnia-
nie? czy za upowszechnianie
kultury podstawowej, tzn. tej
najprostszej, czy dla kogoś, kto
dociera z książką do miejsca
pracy włókiennika, mechanika w
zakładzie wytwórczym, czy też
dla kogoś, kto organizuje bien-
nale, wystawy, spektakle czy
reżyseruje przedstawienie tea-
tralne? Jestem przekonana, że
bez tych ludzi, którzy swoją
pracą dają podstawy odbioru
kultury, wielcy reżyserzy, ma-
larze, pisarze itp. nie mieli-
by odbiorcy dla swojej twórczo-
ści.

— Komu więc przyznać naszą
nagrodę?

— Myślę, że jednak księga-
rzi, którzy jest nie tylko po-
średnikiem pomiędzy autorem
książki a jej czytelnikiem, ale
dobry księgarz jest dorad-
cą, propagatorem i ma niewąt-
pliwą wpływ na kształtowanie
gustów czytelników.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ
IWANICKI

Kronika kulturalna

ZAKOŃCZYŁ się Międzynarodowy
Festiwal Szkół Filmowych w Monachium.
Brały w nim udział 32 uczelnie z
państw europejskich, a także ze
Stanów Zjednoczonych i Izraela.
Jedną z czterech nagród uzyskał film
absolutyjny studentki Wydziału
Reżyserii — Natalii Korzyńskiej. Film nosi
tytuł „1 — 1”, a główną rolę
odtwarza w nim Małgorzata Potocka.

15 LISTOPADA w Teatrze Studyjnym
odbyła się premiera spektaklu dyplomowego
IV roku Wydziału Aktorskiego
PWSFTiit w Łodzi. Studenci
przedstawili sztukę Williama Szekspira „Jak
wam się podoba” w reżyserii Piotra
Cieślaka ze scenografią
Grzegorza Małeckiego.

PAŃSTWOWY Teatr Lalek „Pinokio”
występuje w ramach Teatru Rzeczypospolitej.
Pokazuje publiczności „Krakowiaków
i górali” w reżyserii Wojciecha Kozłowskiego.

CENTRUM Kultury Młodych zaprasza
na wystawę pokonkursową malarstwa
nieprofesjonalnego pod tytułem
„Moje miasto”. Wystawę oglądać
będzie można od 20 listopada
w Klubie Dziennikarza.

W MUZEUM Sztuki zobaczyć można
niezwykłą wystawę zorganizowaną
przy współudziale Polskiego
Stowarzyszenia Edukacji Plastycznej
i Biura Wystaw Artystycznych
w Białymstoku. Wystawa nosi tytuł
„Wspólny Dom 2x2”.
Interesującą ekspozycję pt. „Kodeks orderowy”

na co dzień” prezentuje Muzeum
Historii Miasta Łodzi.

W Biurze Wystaw Artystycznych
w Galerii Baluckiej czynna jest
wystawa malarstwa i grafiki
Eulalii Złotnickiej.

W Galerii Sztuki BWA obejrzeć
można plakaty i fotomontaże
Romana Cieśliewicza.

Natomiast w Ośrodku Propagandy
Sztuki czynna jest wystawa pt.
„Plakat angielski z kolekcji Alona
Maberja”.

ODDZIAŁ Wojewódzkiego Chrześcijańskiego
Stowarzyszenia Społecznego i Zarząd
Łódzkiego Towarzystwa Przyjaźni
Polsko-Radzieckiej organizują w dniach
17—21 listopada III Tydzień
Kultury Radzieckiej. W programie
prelekcje: „Polsko-radziecka współpraca
naukowo-techniczna” (doc. Henryk
Gralak), „Leningrad — miasto
bohater” (mgr Krystyna Gatecka); reportaż z
ZSRR i projekcja filmu fabularnego.

JUBILEUSZ pięćdziesięciolecia obchodzi
Łódzkie Towarzystwo Naukowe.
Z tej okazji zorganizowano dwudniowe
uroczystości. 20 listopada nastąpi w
Bibliotece Uniwersyteckiej otwarcie
wystawy wydawnictw Łódzkiego
Towarzystwa Naukowego. 21 listopada
natomiast w siedzibie Oddziału
PAN i Łódzkiego Towarzystwa
Naukowego odbędzie się sesja w
programie której będą wystąpienia
prezesa Polskiej Akademii Nauk prof.
dra Jana Kostrzewskiego, przewodniczącego
Rady Narodowej Miasta Łodzi prof.
dra Mieczysława Sarwińskiego
i przewodniczącego Oddziału PAN w Łodzi
prof. dr. Jana Michalskiego. Wygłoszone
także zostaną referaty: prof. dr
Witold Smiech „Pięćdziesięciolecie
Łódzkiego Towarzystwa Naukowego”,
dr Julian Ławrynowicz „Dorobek wydawniczy
LTN”, prof. dr Karol Dejna „Badania
naukowe inspirowane i popierane
przez LTN” i prof. dr. Zbigniew
Kuchowicz „Działalność LTN w zakresie
upowszechnienia wiedzy”.

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa
literacko — obyczajowa

DWUZNACZNE PYTANIE

Jeden z naszych królów, wjeżdżając raz uro-
czyście do pewnego miasteczka, witany był dłu-
gą przemową od burmistrza. Wtem osioł pasą-
cy się na trawie w tyle mówcy, zaczął niemilo-
siernie ryczeć. Król zniecierpliwiony zawołał:
— Mówcież woćpanowie po kolei, bo was nie
mogę zrozumieć...

Lecz gdy osioł jak sobie ryczał, tak ryczał —
znowu zawołał król powtórnie:

— Kiedyż ten osioł przestanie wrzeszczeć?
Wtedy burmistrz z uszanowaniem pokłoniw-
szy się królowi, odszedł i mowy nie dokończył.
„Pszczółka Polska” 1923 nr 30

CENA LITERATURY

Księgarz wydawca, potrzebujący manuskryp-
tu, udał się do autora z uznaną już wziętością.
— Dam mu dwa tysiące złotych reńskich —
mówił do siebie, wyszukując adresu pisarza.
Dowiedziawszy się, że pisarz mieszka na
przedmieściu, rozmawiał:

— To chudopacholek, dam mu tysiąc złotych
reńskich.
Stanawszy w domu, w którym mieszkał po-
zukiwany autor, wydawca, objaśniony przez
oddzielnego, że pisarz mieszka w oficynie na
3 piętrze, rzekł do siebie:

— To biedak co się zowie, dam mu tylko
pięćset złr.

Nareszcie zapukał do drzwi. Otworzono mu
je.

Umeblowanie było ubogie.
— Ależ to niedzisz — pomyślał i obniżył ce-
nę do dwustu złr.

A kiedy spostrzegł, że sławny autor zajada
chleb, rozdrobiony w czystej wodzie — zadecy-
dował:

— Ależ on niewart więcej jak 100 złr.

I za tę cenę kupił dzieło od... Bilzińskiego.
Anegdota zamieszczona w „Encyklopedii hu-
mory i satyry polskiej A. Orłowskiego (Krogul-
ca). T. 1. Warszawa 1914 najwyraźniej odno-
si się do Józefa Bilzińskiego, autora grywanej
do dziś z powodzeniem komedii „Pan Damazy”,
co nie jest zgodne z prawdą, bo Bilziński w
Galicii nie mieszkał, ani też głodem nie przy-
mierał gospodarując na odziedziczonych wło-
kach kujawskich. Faktem jest, że w tamtych
czasach pracownicy pióra często borykali się z
trudnościami finansowymi (Syrokoma, Chęciń-
ski, Lenartowicz, Norwid), narażając się na wy-
zysk ze strony księgarzy wydawców, co plasty-
cznie przedstawiał w swoich powieściach oby-
czajowych J. I. Kraszewski („Poeta i świat”).

KAWA — CZARNY INKAUST

Pisze Konstanty Gaszyński w „Kontuszowych
pogadankach i obrazkach z szlacheckiego życia”
(Paryż 1851):

Nie tak to dawne czasy, odezwał się Chorąży,
jak kawa dostała indygenat w naszym kraju.
Miałem circa dwadzieścia lat, gdy po raz
pierwszy w życiu, na imieninach u stołnika
Gadomskiego zakosztowałem tego gorącego inkaus-
tu. Była to wówczas wielka raritas, każdy więc
z gości krzywiąc się połykał, a choć mu nie
smakowało, laudabat. Prawda, że w onych
czasach, nie umiano jeszcze preparować napo-
ju. W imbrykach ziarnek kawy było niewiele
rari nantes in gurgite vasto. Zamiast dzisiejszej
cykorii używano suszonej marchewki, a słodzo-
no miodem. Gdyż cukier in illo tempore poka-
zywał się tylko na stołach magnatów — i w
pomniejszych miastach nie dostawał go, chyba
u aptekarza, na leki.

Właściwie niewiele się od tych czasów (poł-
owa XVIII w.) zmieniło dzięki aktywnym usi-
łom central handlu zagranicznego. Cukru
wprawdzie już nie trzeba szukać u aptekarza,
ale kawa stała się tak wielką raritas, że ją za
„zielone” w Pewexach nabyć można albo w
spółwyczych butikach po paskarskich cenach,
które potem resort żywienia bierze chyba za
podstawę ustalania nowych cen.

BIGOS W ŻAŁOBIE

Chcę panna bigos w kuchni zaprawić co
przedzaj,
Pójdzie z garnkiem do szafy po ocet, gdzie
między

Flaszami stał inkaust, bo już były trazy,
Nalawszy go, daje mi bigos nowej fazy;
Skosztuję: pies by nie jadł; i pomyśle sobie:
Jako żyjem bigosu nie widział w żałobie.

Więc spostrzegłszy omyłki, wskazuje do

Kucharza,

Niech mi złodziej nie robi z zadku

kalamarza.

Wacław Potocki (1621—1696)

ANECDOTY O LEKARZACH

Prawnika spalono przy egzaminie sędzowskim
i gdy mu zapublikowano, że nie zdał egzaminu,
wyrzekł:

— To będzie kosztować życie kilku tysięcy
ludzi!

Wezwany do wytłumaczenia się, co by ta po-
gróżka mogła znaczyć, odpowiedział:

— Idę na medycynę i będę doktorem.

Pewnemu lekarzowi, który za dokonanie się
mającą operację na osobie udzielonego księcia
zażądał tysiąc dukatów, rzekł tenże:

— Ależ mój panie, general mój nie pobiera
takiej placu za cały rok!

— To niech Waszej Książęcej Mości jego ge-
nerał wykona operację — odrzekł doktor.

Do rozpuku. Dwa tysiące anegdot i dowcipów.

Lwów: J. Leon Fordes.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

Paryż na cztery pas

W czerwcu—lipcu 1983 roku w wieloedynkowym serialu o powiadał czytelnikom „Odgłosów” o znaczącym sukcesie polskiej sztuki nowoczesnej eksponowanej na ogromnej wystawie w Centre Georges Pompidou w Paryżu. Wystawa zatytułowana „Presences Polonaises. L'art vivant autour du Musée de Lódź” (Polska obecność. Sztuka żywa — w kręgu Muzeum Sztuki w Łodzi) była pierwszą tak rozległą i bogatą prezentacją polskiej sztuki XX wieku za granicą. Tym ważniejszą na tle innych inicjatyw tego rodzaju, że pokazywała nasze dokonania artystyczne w cyklu monograficznych ekspozycji głównych centrów sztuki światowej obecnego stulecia — Berlina, Nowego Jorku, Moskwy i Wiednia. Paryska wystawa była także swoistym hołdem uznającym kulturowe i artystyczne zasługi łódzkiego Muzeum Sztuki, którego wysiłki na polu upowszechniania sztuki nowoczesnej są doceniane na całym świecie. „Polska obecność” w najnowocześniejszym muzeum promującym wartości sztuki XX wieku, czyli Centrum Im. Georges Pompidou w Paryżu, była też osobistym sukcesem dyrektora łódzkiego Muzeum Sztuki, Ryszarda Stanisławskiego. Jego przedsiębiorczość i organizacyjny talent, którym towarzyszy autentyczne znanstwo uczyniły z łódzkiej placówki prawdziwie żywno i liczący się wszędzie ośrodek sztuki nowej i najnowszej.

Przypominam tamte fakty sprzed trzech lat nie bez przyczyny. Już w momencie przygotowywania wystawy paryskiej zakładano, że będzie ona miała francuską replikę w Polsce. Tak też się stało. 15 października tego roku w atmosferze sensacji i ogromnego zainteresowania otwierano w warszawskiej „Zachęcie” (a nie w Muzeum Sztuki w Łodzi) ekspozycję „4 X Paryż” (Paris en quatre temps). Nie chciałem uchwodzić z lokalnego patriotyzmu, szczerze mówiąc, że organizacja tej wystawy w Warszawie a nie w Łodzi ma swoje niezaprzeczalne racje. Wiadomo-stolica! Z całą pewnością w „Zachęcie” ekspozycję francuskiej sztuki (będzie trwała do 12 stycznia 1987 roku) obejrzy znacznie więcej widzów niż w przystolicznej Łodzi i ten argument rozstrzyga wszelkie dyskusje. Choć chciałoby się zgłosić wątpliwość, czy ciśnie w gruncie rzeczy „Zachęta” jest właściwszym miejscem na tego rodzaju wystawę. Skonstruowane tam przepiękne i ekrany, które wymusiły scenariusz ekspozycji, tę ciśnie zwracającą uwagę, a przepiękne się tłumy i rozbrzmiewające z czterech stron monitory tv, każdy o czym innym, nie zezwalały zwiedzającym na minimum skupienia i refleksji. A przecież na dodatek tu i ówdzie rozlegają się, przekrzykujące gwar, głosy przewodników, którzy usiłują objaśnić nastolatkom „dziwactwo” sztuki nowoczesnej. W sumie trzeba wykazać dużo samozaparcia (łok przed drzwiami, łok w szatni), aby całą wystawę przejść, dopchnąć się do gablot, zerknąć w ekran, posłuchać głosu Juliette Greco i zza pleców rzucić okiem na płótno Chagall'a. Na skupienie i refleksję będzie czas w domu podczas lektury znakomitego katalogu wystawy zredagowanego wzorcowo przez Ursulę Czartoryską i Stanisława Zadórę przy współpracy innych autorów zarówno z Polski jak i z Francji. Dopełnią go prawie trzydziście kolorowych reprodukcji, omówień, komentarzy i tekstów źródłowych uławian w pełni czym wystawa „4 X Paryż” miała w zamierzeniu być, czym jest, jakie wartości przekazuje, o czym chce przekonać, jaką wlede o przemianach sztuki francuskiej XX wieku prezentuje. Wszystkim więc, którzy tę wystawę będą chcieli jeszcze w Warszawie obejrzeć, zalecam kupno katalogu. Bez niego wi-

zyta w „Zachęcie” staje się snobistycznym obowiązkiem Wystawa ma wielu ojców i organizacyjnych sponsorów: polsko-francuski Komitet Honorowy (na jego czele ministrowie spraw zagranicznych Francji i Polski — Jean-Bernard Raimond i Marian Orzechowski), Komitet Organizacyjny i Komitet Koordynacyjny. Z wielkości nazwisk i reprezentowanych przez nie instytucji wynika, że prosta — wyodwawia się — sprawa staje się sprawą nie tylko o artystycznych czy kulturalnych kontekstach. Ale takie są — że pozwól sobie na banał — wymogi współczesnego świata i sztuka nie może być tu wyjątkiem. Komisarzami generalnymi ekspozycji są Dominique Bozo, dyrektor Muzeum Narodowego Sztuki Nowoczesnej w Centrum Georges Pompidou oraz Ryszard Stanisławski, którego zasługi podkreślałem na wstępie tego omówienia.

Warszawska wystawa „4 X Paryż” powiada sprawozdanie już na całym świecie model wystawianictwa sztuki (wzorcowe jego przykłady prezentują organizowane od lat ekspozycje w paryskim Centrum). Nie jest to już zwyczajne wieszanie obrazów i płócien w porządku, który określa chronologię, styl, bądź jednorodny temat, w porządku, w którym sztuka istnieje jako wydzielenie enklawa bez jakichkolwiek odniesień do innych — kulturalnych i cywilizacyjnych — form działalności człowieka. Dłatego też w „Zachęcie” o-bok płócien, obrazów i rzeźb znajdziemy książki i czasopisma, plakaty i afisze reklamowe, fotografie i przykłady sztuki użytkowej, suknie z bo-lerkiem z pracowni Coco Chanel i krzesła. Jednocześnie na ekranach rozstawionych telewizorów możemy oglądać Paryż ożywiony z jego ulicami, wnętrzami, kafejkami, muzyką i ludźmi. Intencją wystawy więc jest przekazanie, choćby w taki sposób, atmosfery i ducha, w których rodziła się sztuka.

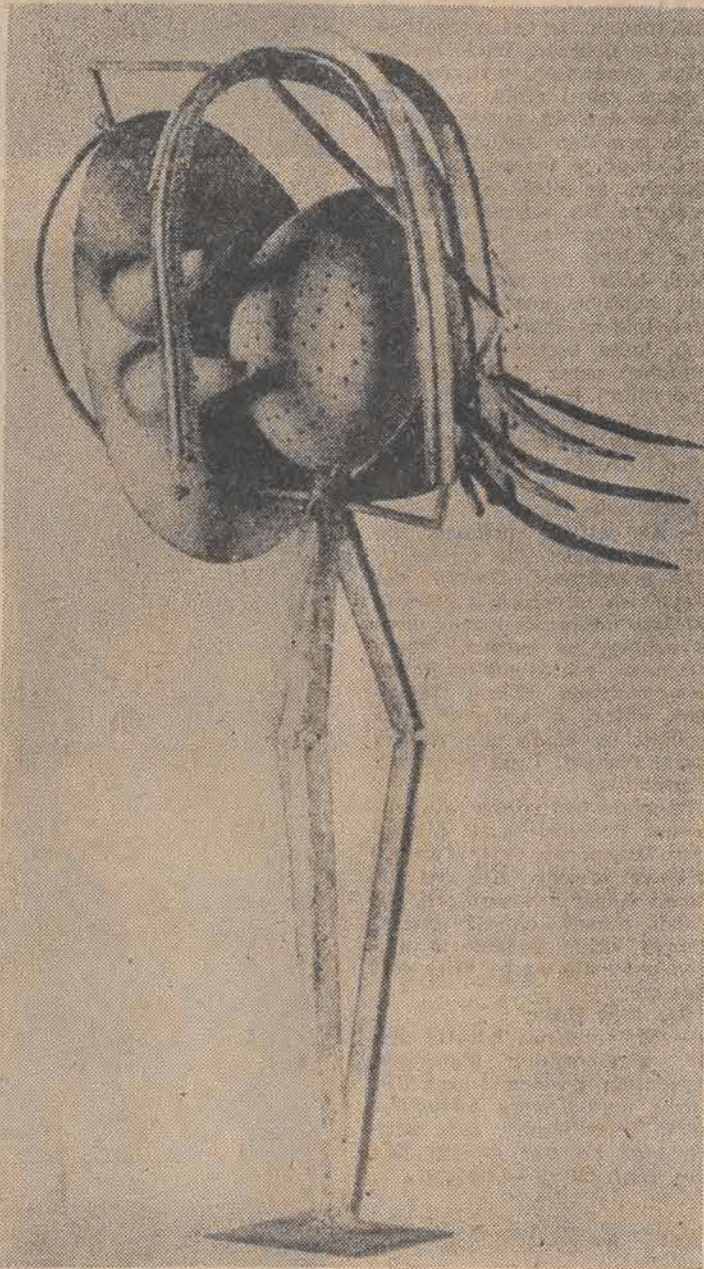
„Zadna wystawa — pisze w katalogu Ryszard Stanisławski — nie jest w stanie oddać pełnego obrazu sztuki zrodzonej we Francji w naszym stuleciu. Nie ma bowiem możliwości ogarnięcia całościowo tego bagactwa, na które składa się wiele wydarzeń i nurtów o pierwszorzędnym znaczeniu: tu rozdzieli się kubizm, po nim ruch dada i art déco, duchampowskie ready mades, corbuserowskie wizje „miasta promieniującego”, surrealizm, różnie odmiany sztuki figuratywnej i metaforycznej, inspirowane egzystencjalizmem malarstwo gestu, klejnowska sztuka „nie-materiałnej wrażliwości malar-skiej”, kolejne generacje twórczości abstrakcyjnej, sztuka nowego realizmu, akcja i sztuka kontestująca — i tak wiele manifestów i programów, zaw-sze zaprzeczających poprzed-nim, pragnących przemawiać z pozycji postulatów nowatorstwa, z jakiegokolwiek strony by to było”.

Dłatego też, to co w „Zachęcie” oglądamy, musiało być ko-niecznym, wyborem, skrótem, pomysłem tyleż syntetycznym, co w jakimś sensie analitycznym. Tak powstała koncepcja „4 X Paryż”. Paryż w czterech przybliżeniach, Paryż na czte-ry pas. Tu jedna uwaga: otóż od wielu już lat, niemal jak bezrefleksyjny slogan, powta-

rza się zdanie, że Paryż prze-stał być stolicą artystyczną świata, że centra sztuki decy-dujące o jej ewolucjach prze-sunęły się za ocean albo je-szcze gdzieś indziej. Może i to prawda, jednak prawdą jest i to, że nic o rodzi się w sztuce na całym świecie, nie mo-że pominąć paryskiej premie-ry. Tam musi uzyskać swoje im-primatur i stać się może być w pełni zauważone. Zresztą nawet jeśli powiemy, że okre-slenie „artystyczna stolica świa-ta” dzisiaj nie znaczy nic, to i tak Paryż w kulturze świa-towej wciąż jeszcze się liczy. Przekonuje o tym też war-szawska wystawa.

Jak powiedziałem, organiza-torzy prezentują dwudziesto-wieczną sztukę francuską w czterech zbliżeniach, w czterech charakterystycznych i wyraź-nych zawiązaniach: około roku 1913, 1925, 1947 i 1972, włą-cząc te daty odpowiednio z sym-bolizną topografią artystycznych ruchów w stolicy Francji, a więc najpierw z Montmartrem, potem z Montparnassem, z Saint-Germain-des Près i z rejonem Hal, gdzie rozpoczęto budowę Centrum Sztuki i Kul-tury Im. Georges Pompidou. Znając dzieje sztuki francuskiej obecnego stulecia trzeba podkreślić zarówno prostotę, jak i trafność takiego zamysłu. Nie sposób go w tym omówieniu szczegółowo zrekonstruować. Dłatego też ograniczyć się do zwrócenia uwagi na to, co jest — moim zdaniem — na wy-stawie w „Zachęcie” najważ-niejsze.

Rok 1913 i Montmartre. Po-czątek dwudziestowiecznej no-woczesności. Paryż a za nim cała Europa poznali już futu-rystów i kubistów. Picaso i Juan Gris, Léger i Jacques Lipchitz, Marcel Duchamp i Georges Braque, Chagall, De-rajn, Matisse. A w literaturze Apollinaire, Cendrars, debiutu-jący Breton i Max Jacob. Ko-niec belle époque i tryumfalny wymarsz awangardy.



Pablo Picasso — Głowa kobiety (1929—1930)

Rok 1925 i Montparnasse. Narodziny i ugruntowanie się surrealizmu, najbardziej wpły-wowego w wieku XX nurtu sztuki nowoczesnej. Rok Mię-dzynarodowej Wystawy Sztuki Dekoracyjnej. Konstruktywne pokłosie dadaistycznej puryfi-kacji. Czasopismo „L'Esprit Nouveau”. Obrazy Massona, Soutine'a, Ernsta i Magritte'a. Awangarda filmowa.

Rok 1947 Saint-Germain-des-Près. Egzystencjalizm. „Les Temps Modernes”, Juliette Greco i Jacques Prévert. Teatr absurdu i Artaud. Twórczość Wolsa, Duchampa i Michaux. Malarstwo abstrakcyjne.

I wreszcie data w porówna-niu z poprzednimi najbardziej dyskusyjna: 1972 i Hale-Beau-bourg. Lata po kontestacji ma-ja 1968 roku. Nowy realizm i Yves Klein. „Spokojne obrazy” Rayss'e'a. César i Tinguely. „Geometria poetycka” Morelle-ta. W literaturze Roland Barthes, Jacques Derrida, Michel Foucault. Czasopismo „Tel Quel”.

To skróć tego, co zapada w pamięć, co jest uświadomie-niem znanym skądinąd faktów i nazwisk, związków między nimi i wzajemnych oświeleń. Jednocześnie różnorodność technik i tworzyw, idei i ar-tystycznych wizji. Jedno je-szcze w tej wystawie jest wa-żne: otóż pomijając kilka a mo-że kilkanaście obrazów, grafik i rzeźb — by tak powiedzieć — opatrzonych już dzięki re-produkcjom, albumom i filmo-wym dokumentom, cała reszta należy do dzieł, jeśli nie za-pomnianych, to do znanych tylko koneserom i historykom sztuki współczesnej. Dobrze więc, że wystawa daje okazję do uzupełnienia całościowego obra-zu sztuki francuskiej XX wie-ku.

Wystawa „4 X Paryż” wraz z towarzyszącą jej dokumen-tacją (jeszcze raz chwałę wspaniały katalog) jest ważnym wydarzeniem kulturalnym o-statnich lat. Niechby była za-powiadką kolejnych inicjatyw tego rodzaju.

A swoją drogą szkoda, że jej nie zorganizowano w łódz-kim Muzeum Sztuki!

GRZEGORZ
GAZDA

„4 X Paryż (Paris en quatre temps). Galeria „Zachęta”. Warszawa, 15 października 1986 — 12 stycznia 1987.

Co piąta książka ze znaczkiem KAW

Rozmowa z JERZYM WAWRZAKIEM, dyrektorem i redaktorem naczelnym Oddziału Łódzkiego Krajowej Agencji Wydawniczej.

— W tym roku przypada po raz dwudziesty dekada książki społeczno-politycznej „Człowiek — Świat — Polityka”. Firma, którą kierujesz, niejako statutowo jest zobligowana do prezen-tacji pozycji książkowych określonych jako literatura zaangażo-wana. Z czym wychodzi Oddział Łódzki KAW w tym roku?

— Krajowa Agencja Wydawnicza jest jedną z najmłodszych oficyn wydawniczych, bo jej historia datuje się zaledwie od dziesięciu lat. A więc: firma jest młoda, ale rozwijająca się bardzo dynamicznie. Aktualnie co piąta książka ukazująca się w kraju jest sygnowana przez KAW. Może większą aktywność niż cały KAW, odrabiając pewną stagnację w przeszłości, wykazuje nasz łódzki oddział, o czym mogą świadczyć dwie liczby: w 1980 r. wartość produkcji wynosiła 30 mln zł, a w roku bieżącym zbliżyła się do 200 milionów. Nawet mimo pewnego ruchu cen widać, iż produkcja zwiększyła się kilkakrotnie, tym bardziej, że zatrudnienie zmniejszyło się o 30 procent.

— Mielibyśmy mówić o książkach...

— Naszą dewizą jest: wszystko dla wszystkich. I tak: wydaje-my książki dla dzieci, dla młodzieży, literaturę piękną, społeczno-polityczną, popularnonaukową, pamiętniki, a także science fiction. Właściwie poza poezją są u nas reprezentowane wszystkie rodzaje piśmiennictwa, bo nawet wydajemy druki bibliofilskie. Kwalifikując książki do druku, inspirując autorów staramy się, by książki były ciekawe dla czytelnika, by zawierały walory poznawcze i intelektualne. Jest to trudne, bowiem nielato po-godzić te dwie sprawy. Ale możliwe.

Mamy także świadomość pewnej misji politycznej, jaka nam towarzyszy od chwili narodzin firmy. Jesteśmy: wydawnictwem zrzeszonym w koncernie RSW „Prasa — Książka — Ruch”, gdzie największym udziałowcem jest Polska Zjednoczona Partia Robot-nicza. Ma to określone konsekwencje, które świadomo realizuje-my poświadczając wiele uwagi np. książce społeczno-politycznej, plakatowi politycznemu, innemu drukom akcydensowym.

— Łódzki Oddział KAW, mimo iż istnieje dopiero od dziesięciu lat, mocno wrósł w mapę kulturalną Łodzi...

— Bardzo ważną sprawą jest fakt, że nasz oddział łączy się w Łodzi, że jesteśmy obok Wydawnictwa Łódzkiego drugą ofi-cyną wydawniczą w mieście. Ma to określone konsekwencje do-tyczące tak dnia dzisiejszego miasta, jak i jego historii. I tak, dla przykładu, jeśli chodzi o historię wydaliśmy książki: Edwarda Szustera „Jedenaste dni”, Antoniego Rydliewskiego „Tygiel” (de-biut pisarza-robotnika o narodzinach Łodzi przemysłowej), Lucjusza Włodkowskiego „Kamieniem i brauningiem”. W przy-gotowaniu mamy książki dotyczące życia środowisk artystycznych miasta np. Andrzeja Gruna „Łódzkie środowisko plastyczne”, dr Tadeusza Błażejewskiego pracę nad obszerną monografią Łodzi li-terackiej, Jerzy Wilmański kończy antologię „100 lat satyry łódz-kiej”, zespół autorów pracuje nad albumem poświęconym Teatrowi Wielkiemu w Łodzi. Skierowaliśmy do druku duży album o Łodzi autorstwa Antoniego Szrama, Andrzeja Wachy i Janusza Wiktorowskiego. W przygotowaniu znajduje się album poświę- cony starej Łodzi w fotografii Biblioteki K. Pfeiffera. Książki te będą naszym wkładem do „Włókiennicy Łódzkiej”, która jest realizowana wysiłkiem wszystkich łódzkich wydawnictw. Chociaż chciałbym być dobrze zrozumiany: nasza „łódzkość” jest wyróż-nikiem, ale nie nakazem. Wydajemy wartościowe książki autorów z całej Polski, chociażby K. T. Topczyńskiego, C. Kuriaty, D. Sidor-skiego, R. Miernika i wielu innych.

— Pora wrócić do obchodzonej w dniach 20—30 listopada 1986 r. dekady książki społeczno-politycznej. Co zaprezentuje w tym roku kierowana przez ciebie oficyna wydawnicza?

— Jak co roku przystępujemy do tej dekady, z tym, że nasza oferta jest bogatsza w porównaniu do lat ubiegłych. I tak: w Domu Kultury ZPJ „Ortal” organizujemy wystawę pt. „KAW prezentuje”, na której na czterdziestu wielobarwnych planszach pokażemy cały dorobek naszej agencji. Zapraszamy także czytel-ników „Odgłosów” na mój odczyt na temat: „Działalność KAW i rola propagandowa wydawnictwa w realizacji polityki PZPR”, który odbędzie się w sali KMPiK 20 listopada 1986 r. o godzi-nie 18.

Chciałbym również serdecznie zaprosić na spotkanie z auto-rami książek wydanych przez KAW w ostatnim okresie, które to książki aktualnie są do nabycia w księgarniach. I tak: przede wszystkim zapraszam 24 listopada br. o godz. 12 do Wojewódzkiej Biblioteki Pedagogicznej na spotkanie z prof. Stefanem Dziecielską-Machnikowską i dr Grzegorzem Matuszakiem współautorami pracy „Postawy i wartości w okresie konfliktu społecznego”. Jest to praca zbiorowa łódzkich socjologów dotycząca pamiętnych wy-darzeń politycznych i ich odbicie w społecznej recepcji. Zap-raszam także na spotkanie z szefem „Odgłosów” red. Lucju-szem Włodkowskim, na którym odbędzie się dyskusja o jego książ-ce — reportażu historycznym poświęconym życiu codziennemu Łodzi na przełomie wieków. Książka nosi tytuł „Kamieniem i brauningiem”. Posiada ona walory dokumentu historycznego, uderzenie połączone z walorami warsztatu dziennikarskiego. Jes, pożyteczna i ciekawa. Spotkanie z red. Lucjuszem Włodkowskim odbędzie się 25 listopada 1986 r. o godzinie 12 w Bałuckim Domu Literatury i Filmu.

Do Pałacu Młodzieży zapraszam 27 listopada 1986 r. o godzi-nie 16.30, na spotkanie z dr Karolem Józefem Stryjskim — auto-rem popularnie napisanej książki „Czas przeszły niedoskonały”, którą opublikuje na wewnętrzny użytek naszego wydawnictwa na-zwamy: „Historia PRL w pigułce”. Książkę tę gorąco polecam, zwłaszcza młodemu czytelnikowi, którego wlede o naszej naj-nowszej historii, delikatnie mówiąc, jest na ogół skromna.

Mieszkańcy Pałacu także będą mieli okazję spotkać się 20 listopada 1986 r. o godzinie 16 w tamtejszym KMPiK z tymże autorem tj. Karolem Józefem Stryjskim.

— Od siebie dodam, że niedawno w konkursie na powieść z dzieł ruchu robotniczego otrzymałeś nagrodę za „Gwiżdżąc na śmierć”. Tę książkę także wydał KAW. Czy spotykasz się wobec tego z Czytelnikami.

— Rzeczywiście, Książka ukazała się w 100-tysięcznym nakła-dzie i jeszcze funkcjonuje na rynku. W związku z tym mam kilka spotkań z młodzieżą w szkołach.

Korzystając z okazji chcę także zaprosić czytelników na spotka-nie w Klubie Nauczycieli 26 listopada 1986 r. o godzinie 17.30, poświęcone głównie jego znakomitej książce „Uczeń czarnoksięż-ników”. Wprowadzenie do rozmowy, która jest pomyślana jako spotkanie z cyklu „Wydawca i jego autot” będzie moje i dr Ta-deusza Błażejewskiego.

— Dziękuję za rozmowę

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

Było dobrze po północy i dobrze w czubach. Zapach palonej „trawy” gryzi ostrą woń potu. Albo odwrotnie. Zaspany cieć nerwowo trząsł pekiem kluczy, co miało znaczyć, że są jakieś granice. Granicą był próg. Za progiem drzemała galareta ciemnych ulic, równiutko pulsowały niebieskie od telewizorów szyby. Przed progiem ktoś powiedział, że zegar jest jak kajdanki, dlatego lepiej inwestować w wygodne buty.

Było dobrze po sobocie, a maraton Young Blues Meeting szedł północnym kursem. Średnio wypity koleś czeplając się mikrofonu wyczerpnął trzeźwo alkoholem public, że teraz be-

spojrzeń. Ten najwyższy idzie przodem, bo dźwiga tylko piętno długich do ramion włosów. Małą ustną harmonijkę niesie w kieszeni marynarki.

Są dwa bardzo różne światy. W drugim świecie czterech długowłosych chłopców wkracza na estradę. Wchodzą tam pewnym, odważnym krokiem. Tłum zerka na nich ciekawie, patrząc świdrującymi oczami. A długowłosi delikatnie otwierają czarne pudła. To nie są już czterej nieśmiali z ulicy, choć ci sami. Bo ołtarz estrady może odmienić człowieka. Szczególnie, gdy muzyka to życie. Więc ci czterej zaczynają żyć. Rozchylają skorupki ochronnych pancerzyków, unoszą głowy. Patrzą na Roberta: ta sama pustelnicza spokojna twarz.

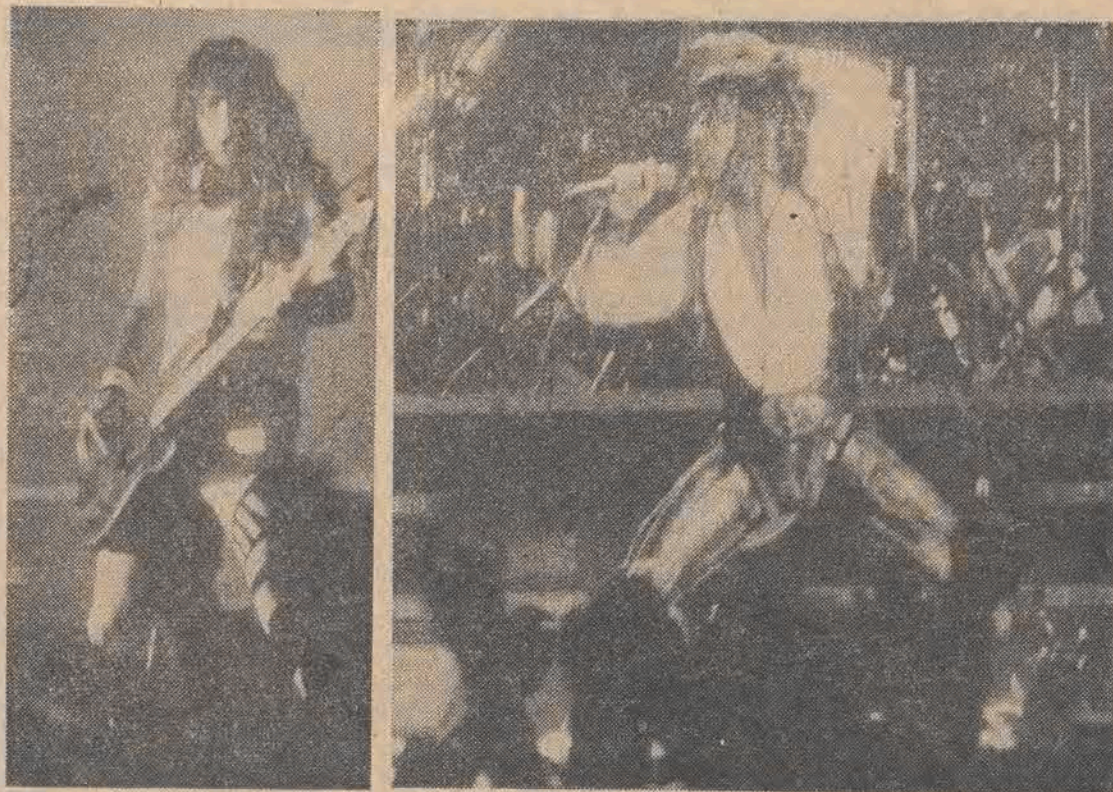
na strach. Na krzywe myśli, na głodny żołądek. Rano budzi się, a swój strach wyłazi z kąta między szafą i oknem. Wybałusza puste ślepią i znów natrętnie pyta: co dalej? Co z tobą będzie jutro, pojutrze, na starość? Wtedy dobrze jest sięgnąć po gitarę, żeby zagłuszyć ten strach. I po co tu pieprzyć o natchnieniu.

Jeden sięga po gitarę, a drugi po flaszkę. Jeden sięga po gitarę, a drugi po strzykawkę, po sznurek, po kurek od gazu. Bo muzyka, flacha albo sznurek, to są lekarstwa na swój strach. Lekarstwem tych czterech jest blues.

Mówi Blue Haze:
— Zdarzyło się też, że narozrabialiśmy. Może to jakieś fatalum? Rozbiliśmy rodziny, za-

IRON MEIDEN w Łodzi

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI



ROMAN KUBIAK

„Blue Haze”- płomień we mgle

da oni — Blue Haze. I dodał, że oni są najlepsi. Napitemu gościowi można wybaczyc wiele, ale nigdy mylenia chleba z ląnem. Wtedy należy gwizdać długo i przestronnie, bo milczenie oznacza policzek.

Więc średnio napity koleś wyczerpnął, że są najlepsi. Pierwszym można być na tartanowej bieżni, albo w robieniu skarpetek. W życiu wystarczy być dobrym, w muzyce też. Szczególnie, gdy życie to muzyka. Lecz nie było ani jednego długiego i przestronnego gwizdu. Tylko cisza skupienia. Ktoś powiedział, że w te kloki nie da rady wstawić kitu. Albo się jest dobrym, albo czesć. Zadnego prowincjonalnego aktorstwa. Bo szminka i puder można wyczuć w deszczu pod wiatr. Te kloki nazywają się blues.

Mówi Blue Haze:
— Wiesz, kiedy śladasz i myślisz, możesz poczuć, że wyrosły ci jakby skrzydła. I wtedy odlatujesz wysoko. Zostawiasz brudne interesy, labirynty, w które byłeś uwikłany... I może nam wyrosły skrzydła?

Są dwa bardzo różne światy. W pierwszym świecie czterech długowłosych chłopców przemysł skrajem. Gwary tłum wali środkiem deptaka, nerwowo przyspieszonym krokiem. A długowłosi bezzwłocznie idą poboczem. Nieśmiało. Jakby przepraszała, że żyją. Tłum dźwiga pekatę siatki, wielkie urzędnicze teczki ze świetlonej skóry. A długowłosi kurczowo ścisnąją podłużne czarne pudła. W nich są instrumenty, które jeszcze mileją. Tłum ciekawie zerka na czarne pudła, potem na długie kudły długowłosych. Wtedy długowłosi najchętniej zapadliby się w te swoje pudła, żeby nie czuć świdrujących

Lecz nie te same oczy. Jasne, dziecięco wesołe oczy. Ta twarz po raz pierwszy uśmiecha się, gdy ręka pieści struny ukochniej gitary. Ci czterej zaczynają żyć.

Mówi Blue Haze:
— Nie wiadomo, czy nasza muzyka jest coś warta. Może lepiej byłoby napisać o naszych ojcach, matkach, rodzinach, przyjaciółach. Naprawdę to właśnie jest chyba najważniejsze. Chociaż wygląda to pewnie inaczej. Może jest tak, a może jeszcze inaczej. Zgadnij!

Ci czterej żyją. Żyją, bo grają. Robią muzykę, ona porusza nieśmiałe ręce, odmyka zduszone gardła, zapala oczy. Muzyka zrywa blokady. Grają tak, jakby nie chcieli nigdy przestać grać: takomnie, pazernie nawet. Pytam, co każdy z nich robiłby, gdyby nie ta muzyka. Robert milczy zaciskając powieki, Krzysiek gapi się na czubki własnych butów. Rysiek bezradnie otwiera usta, Darek zbiera cwałujące myśli. Powinien przemówić Darek. Zawsze kiedy trzeba przemówić inaczej, niż poprzez muzykę, wtedy zaczyna on. Ale teraz nie wie co odpowiedzieć. Na to straszne pytanie, którego woleliby nie słyszeć. Chyba — krztusi wreszcie — chyba nie może tak być... Bez muzyki? Nie ma świata bez muzyki. Nie ma życia, nie ma sensu...

Grają. Patrzą na swoje ręce. Takimi dłońmi nie da się dzierżyć steru, takimi pięściami nie wali się w stół, takimi palcami nie liczy się pieniędzy. I dalej: takie głowy nie potrafią dumać o sterze, o chlebie, o forsie. Więc ręce grają, a głowy śpiewają o tym, czego nie potrafią.

Bo muzyka to jest lekarstwo

braliśmy kilku facetom żony, dzieci. Czy jesteście teraz szczęśliwi?...

Pytam ich, skąd się wzięli. Skąd pewnego pięknego dnia spotkało się tych czterech nieprzystosowanych. W takim miasteczku, gdzie na piątą chodzą do roboty i nie kocha się długowłosych. Gdzie każdy punk to regularny idiota, a długowłosi to klient dzielnicowych. Idziesz sobie ulicą, a ludzie na twój widok krzywią się z odrazą. I życzą ci, żebyś wstał też o czwartej, płodził dzieci, stał w kolejkach i skończył przy kuflu. I wtedy trzeba mieć cholernie dużo siły.

Mówi Blue Haze:
— Rozglądasz się, słuchasz, próbujesz, zbierasz doświadczenia... A w końcu i tak, albo masz szczęście, albo go nie masz. Pewnych rzeczy nie warto tu rozstrząsać. Jeśli ktoś chce się zaprzyjaźnić, zapraszamy na lampkę wina.

Więc na swoje szczęście spotkali się pewnego pięknego dnia w takim miejscu, gdzie inność drażni jednakowość. To dobrze, że sobie podobni odnajdują się w końcu maku. Jedni mówią wtedy o przeznaczeniu, drudzy o szczęściu. A to była ostatnia może ich szansa na ciąg dalszy. Żeby sobie podobni zeszli się i żeby się dogadali. Tacy, którzy więcej czują i inaczej rozumieją. Dlatego szybciej giną.

Kiedy spotyka się czterech sobie podobnych, to jeszcze nie musi znaczyć, że coś z tego będzie. Coś dobrego. Wiele spraw można wydumać, wypracować w pocie rąk i czoła, a potem trafić w martwą pustkę. Można na przykład wydumać nuty i próbować je zagrać. A potem zobaczyć, że nikt tej muzyki nie słucha. Bo jest nieszczerza.

A do Blue Haze ludzie ciągną z Polski. Z Częstochowy, Kielc, Łodzi i z samej stolicy. Jadą nabitym nocnym pociągiem, śpią na schodowych klatkach, jedzą suchary. Żeby ich posłuchać przez pół godziny. Albo raczej żeby słuchać i widzieć ich przez pół godziny. Bo to i tamto jest nierozłączne. Bo jedno i drugie nazywa się Blue Haze.

Mówi Blue Haze:
— Zle jest się rozstawać, ile jest coś tracić. Ale trzeba umieć przegrywać. Gramy dla wszystkich. Ale tych, z którymi jesteśmy naprawdę razem, można policzyć na palcach. Mamy przyjaciół, z którymi nigdy nie rozmawialiśmy. Mamy też innych, którzy są naszymi przyjaciółmi, a nigdy nie słyszeli naszej muzyki. I wszystko jest w porządku.

To miała być rozmowa z laureatem Rockowiska. Z bluesowym fenomenem, który wygrał rockowe zawody. Ale oni nie chcieli mówić o pomnikach. Nie chcieli mówić chcieli grać. I dlatego każde gadanie o muzyce jest mało warte. Więc dość gadania.

Gra Blue Haze:
— Nieszczęśliwa kobieta płacze, nieszczęśliwy mężczyzna wstąpił do pociągu i odjeżdża. Kiedy wysiadziemy gdzieś na stacji, chcielibyśmy, żeby zawsze ktoś na nas czekał. Raz, dwa, trzy, cztery — boogie!

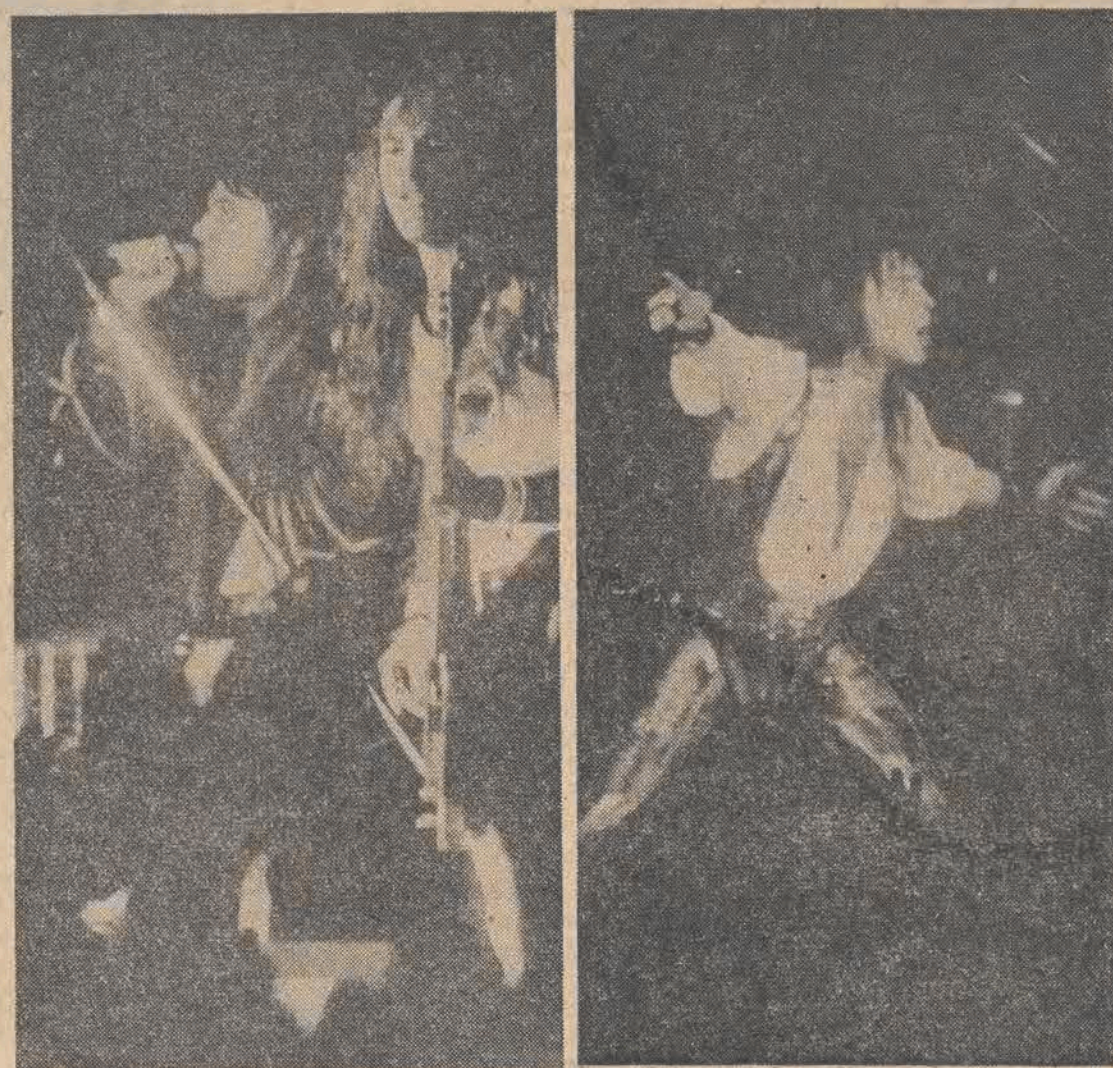


Foto: Bogusław Cholewa

Polemiki • Listy • Opinie

„KTO SIĘ BOI RELIGIOZNAWSTWA?”

Artykuły prasowe na ten temat — Andrzeja Grzegorzczaka w „Polityce”, Mikołaja Kozakiewicza w „Przeglądzie Tygodniowym” i Andrzeja Karolczaka w „Odgłosach” — budzą niedosyt i mają tonizujący, uspokajający charakter. Nie zamierzam podnosić tu sprawy taktyki i tolerancji, aczkolwiek mam dla nich zrozumienie i szacunek. Myślę, że wymienione artykuły powodują też dezorientację wśród osób prowadzących ten przedmiot w szkołach.

Wydajmy więc od pewnych pryncypów. Szkoła nasza jest świecka, laicka, a więc kształtuje światopogląd materialistyczny, naukowy czy też oparty na dorobku nauki. Obywa się on bez pojęcia Boga. Religioznawstwo winno więc być prowadzone z pozycji świeckich, akonfesyjnych.

Problem ateizacji zajmuje wiele miejsca w tych artykułach i on też jest owym rzekomym straszakiem. W moim odczuciu skoro nie można uzasadnić naukowo ani teizmu, ani ateizmu (uważa się problem Boga za temat pozanaukowy, a wybitny francuski matematyk i fizyk z przełomu XVIII i XIX wieku P. S. Laplace głosił wręcz, iż hipoteza Boga nie była mu potrzebna), to lekcje religioznawstwa winny mieć charakter relacji, opisu, dyskusji. W stopniu możliwym, choć brzmie to paradoksalnie, winny być metafizyczne, tj. obywać się bez pojęcia Boga jako siły sprawczej.

Myślę, że takie tematy programowe jak społeczny charakter religii (problem genezy, źródeł i funkcji religii), oraz porównawcza historia religii są typową ilustracją powyższego i mogą prowadzić czy też wręcz prowadzą do postaw ateistycznych. Sądzę ponadto, że — w imię tolerancji choćby — nie wypada z tego tytułu rozdzierać szat. Efektom religioznawstwa, tj. dyskusji, rozważań, wyboru może więc być również ateizm. Godzi się zaznaczyć, że światopogląd marksistowski (marksizm) jest ateistyczny.

Jest rzeczą świadomą choćby z lektury kościelnej (m. in. opracowania Jana Hohnowskiego SCJ oraz ks. Władysława Piwowarskiego), że religijność w Polsce jest powierzchowna, a prawdy wiary i normy moralne nie są zinterioryzowane. Są też unikające głosy w tym środowisku (to nie „Katedry”, to „dwumiesięcznik poświęcony wychowaniu religijnemu”, to katechezy winna odbywać się poprzez świadomy wybór, a nie przez narzucanie poglądów jak jest w praktyce. Ktoż z nas tego nie zna? Oby lekcje religioznawstwa były wolne od zlej praktyki katechizacji. Jeśli ich efektem będzie ateizm — to choćby w imię podmiotowości ucznia, trzeba to uznać bez płaskich, katastroficznych leków, głównie natury moralnej.

JERZY RYDZIK

KONKURS DLA DZIENNIKARZY

Zarząd Główny Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego ogłasza kolejną edycję konkursu dziennikarskiego na prace o tematyce przeciwalkoholowej, które zostały opublikowane w prasie, nadane w PRiTV oraz w prasie i radiowalach zakładowych w 1986 r.

W tegorocznym konkursie preferuje się następującą problematykę:

1. Realizacja ustawy o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi z dnia 26 października 1982 r. ze szczególnym uwzględnieniem zakładów pracy.
2. Wychowanie dzieci i młodzieży w duchu trzeźwości.
3. Kobiety a alkohol.
4. Ruch samopomocowy.

Do konkursu mogą być zgłaszane publikacje z okresu 1.01. — 31.12.86 r. nie publikowane dotąd w periodykach SKP („Problemy Alkoholizmu”, „Zdrowie i Trzeźwość”). Prace należy nadsyłać: autorzy publikacji, kolegia redakcyjne, jury konkursu.

Jury wyłoni najlepsze prace w następujących grupach:

1. Prasa centralna i terenowa,
2. PRiTV,
3. Radiowęzły i prasa zakładowa.

Dla każdej z wymienionych grup ustala się następujące nagrody: I nagroda — 25 tys. zł, II nagroda — 20 tys. zł, III nagroda — 15 tys. zł. Jury zastrzega sobie prawo nie przyznawania poszczególnych nagród oraz innego ich podziału w ramach ogólnej kwoty.

Termin nadsyłania prac upływa 1987.02.20. Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w terminie do 1987.03.31. Prace należy nadsyłać do ZG Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego, 00-328 WARSZAWA, ul. M. Kopernika 36/40.

DLA TYCH PRZED DEBIUTEM

Wydawnictwo Łódzkie i Ośrodek Kultury Młodych Łódzkiego Domu Kultury zwracają się do związanych z naszym miastem autorów będących przed debiutem książkowym o nadsyłanie swych propozycji do kolejnej edycji „Biblioteki Debiutów”. Prace o objętości minimum:

1. artykuł autorski o poezji, tj. 700 linijek,
2. 5 artykułów autorskich, tj. ok. 120 stron znormalizowanego maszynopisu lub odpowiedniej do podjętego tematu ilości stron pracy krytycznoliterackiej należy nadsyłać w 3 egz. maszynopisu pod adresem: Wydawnictwo Łódzkie, 90-447 Łódź, ul. Piotrkowska 171/173 z dopiskiem na kopercie „DEBIUTY” do 30 stycznia 1987 roku

KONKURSY

Rada Krajowa PRON oraz Krajowa Agencja Wydawnicza ogłaszają konkurs otwarty na plakat związany z II Kongresem PRON, który odbędzie się w maju 1987 r.

Celem konkursu jest uzyskanie plakatów o wysokich walorach ideowych i artystycznych, odzwierciedlających udział Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego w życiu kraju i popularyzujących idee odrodzenia narodowego oraz program PRON. Plakat winien zawierać odpowiednie hasło związane z tym ruchem (organizatorzy przygotowali 10 takich haseł, ale projektant może zaproponować inne), być tak pomysłowy, by można było wykonać plakat techniką offsetową, natomiast liczba użytych kolorów nie może być większa niż sześć.

Każdy autor ma prawo nadesłać dowolną liczbę projektów. Termin składania prac upływa 15 stycznia 1987 r. (decyduje data stempla pocztowego).

Konkurs przebiegać będzie w dwóch etapach: pierwszy — rozstrzygnięty zostanie w terminie do 31 stycznia 1987 r. równoległe w centrach i oddziałach KAW współpracujących z radami wojewódzkimi PRON. Sądy konkursowe przyznają po jednej nagrodzie w wysokości 30 tys. zł.

Etap drugi — to sąd konkursowy na szczeblu centralnym oceniający prace nagrodzone podczas etapu pierwszego. Jego zakończenie nastąpi do 15 lutego 1987 r. Będą przyznane następujące nagrody: I w wysokości 50 tys. zł, II w wysokości 30 tys. zł, dwie nagrody po 20 tys. zł.

Organizatorzy w obwody etapów przewidują możliwość wprowadzenia dodatkowych nagród funduszy oraz zakup prac. Zastrzegają także sobie prawo przedstawienia prac nadesłanych na konkurs na specjalnych wystawach oraz prawo wydania ich drukiem.

Prace oznaczone godłem (w dołączonej kopercie, należy podać imię i nazwisko oraz adres autora) należy przysłać pod adresem:

Oddział Krajowej Agencji Wydawniczej w Łodzi, Sienkiewicza 3/5 lub Rady Wojewódzkiej PRON w Łodzi, ul. Piotrkowska 232.

Pod tymi adresami można uzyskać także dodatkowe informacje związane z konkursem. Telefony: KAW — 36-47-20, PRON — 36-00-75 lub 36-01-66.

BIUROKRACJA W SZKOLE

Nie dość tego, że materialne zabezpieczenie oświaty coraz gorzej, to jeszcze — jak słusznie zauważyła Maria Łopatkowa w artykule „Czego życzyć sobie kontrolerzy oświaty” zamieszczonym w „Tygodniku Kulturalnym” z 28.09.86 r. — szkoła coraz bardziej staje się biurom, gdzie najmniej istotną rolę odgrywa dziecko, jego naukowe potrzeby i problemy opiekuńczo-wychowawcze. Natomiast najważniejsze stają się plany i planiki, programy i harmonogramy, różnorodne zestawienia statystyczne i sprawozdawczość. Gdy do tego dorzucimy jeszcze jedynie słuszny, mój zdaniem, obowiązek pisania rozkładów i konspektów lekcji przez nauczycieli młodych, to powstanie nam obraz instytucji, w której na pierwszym planie, ślepych nad kolejnym sprawozdaniem. Czyż nie wylewamy w tym miejscu dziecka z kąpielą?

Przecież jak świat światem nie do takich zadań powołana jest szkoła i różnej maści decydenci oświatowi powinni jak najrychlej zdać sobie z tego sprawę. Oczywiście jest stwierdzenie, że powołaniem nauczyciela jest nauczanie i wychowanie, a nie zabawa w planistę i statystyka. Paradozem w tej całej sprawie jest fakt, że wszyscy niby, łącznie z kontrolerami oświaty, zgodnie stwierdzają, że to jest bezsens, aby szkoła, poza dobrze opracowanym planem dydaktyczno-wychowawczym i opiekuńczym, posiadała jakikolwiek inny plan, z drugiej zaś strony — tłumacząc się jakimś „odgórnym” i tajemniczymi zarządzeniami władz oświatowych wymagają rzeczy, o których się filozofom nie śniło. I tak oto, kwitnie w szkołach „radosna twórczość”, gdyż nie tylko od dyrektora, ale także opiekuna organizacji szkolnej, wychowawcy klasy i nauczyciela przedmiotu wymaga się, aby każdy swój „krok” w szkole udokumentował na piśmie. W przeciwnym razie nie ma podstaw do uznania, że dany problem został naprawdę zrealizowany.

Znam z autopsji kilka przykładów, które przytoczę ku rozba- wieniu, ale niesłusznie, nie ku pokrzepieniu serc.

Otóż był czas (na szczęście to już przeszłość), że kierownik szkoły zobowiązany był do sporządzenia planu urlopow... macierzyńskich. Robił to w ten sposób, że po wakacjach wzywał do siebie — bez względu na stan cywilny — wszystkie panie od najmłodszej do tej około 45 lat i pytał, czy dany nauczycielka nie jest przypadkiem w ciąży. Następnie aktualizował plan poprzez comiesięczne „rozmowy intymne”. Owe plan miały zapewnić szkole wzorową organizację zajęć i miał stanowić podstawę do sporządzenia planu zastępstwa.

Innym przykładem absurdalności było sporządzenie rocznego planu zbioru surowców wtórnych przez dzieci, w rozbiu na zbiorke gazet i czasopism w kg, książki, opakowania szklane, złom w tym kolorowy i coś tam jeszcze, czego już dokładnie nie pamiętam.

Kolejnym przykładem, czego mogą sobie życzyć kontrolerzy oświaty, była prawie całonocna dysputa z wizytatorem podczas jednej z kompleksowych wizytacji. Zrodziła się ona w wyniku zarzutu, że zapis w rubryce: „zadania” posiada więcej linijek niż zapis w rubryce: „środki realizacji”. Była przy tym ani słowa o merytorycznej stronie zagadnienia.

Ma więc niewątpliwie rację Maria Łopatkowa, która we wspomnianym już artykule stwierdza, że „w oświacie kontroluje się i ocenia papiery, a nie żywa, złożona i trudna praca wychowawcza”.

Oczywiście urzędowi optymiści, a także piewcy sukcesu i postępu... pedagogicznego, mogą mnie chorem zakrzyczeć, że czepiam się jak rzep psiego ogona, bo skoro dziś już w szkole nie ma obowiązku sporządzania planów urlopow macierzyńskich czy zbioru surowców wtórnych, to jednak nastąpiły dynamiczne przeobrażenia w kierunku usprawnienia organizacji pracy szkoły i walki ze zbędną biurokracją.

Być może, że nie we wszystkich sprawach mam rację, jednak dość długi staż na stanowisku kierowniczym i dość spory dystans czasu dzielący mnie od tamtych niefortunnych lat, pozwala mi w miarę obiektywnie ocenić sytuację i znów w pełni podzielić zdanie Marii Łopatkowej, że żaden z nich, wizytatorów „nie pyta i nie ustosunkowuje się do problemów wychowawczych dziecka i sposobu ich rozwiązywania”.

Jak Polska długa i szeroka, czy to szkoła filialna z liczbą dzieci poniżej stu, czy wysoko zorganizowana szkoła w mieście, prowadzone są organizacje uczniowskie od samorządu szkolnego poczynając, poprzez drużynę zuchową, harcerską, LOK, LOP, POK, SK PTTK, SKS, Spółdzielnię Uczniowską, na SKO skończywszy. Obok wymienionych wyżej organizacji powołanych jest do życia 5-7 kół zainteresowań przedmiotowych, w pracy których realizuje się również określone założenia wychowawcze. Opiekunowie organizacji uczniowskich, jak i kół zainteresowań, mają oczywiście bezwzględny obowiązek opracowania szczegółowych planów pracy, harmonogramów, a także składania na piśmie okresowych sprawozdań z działalności.

Wystarczy? Ależ skąd! Tak naprawdę to dopiero plany, planów, które obowiązują. Jest jeszcze plan apeli i uroczystości, orientacji zawodowej uczniów, hospitacji zajęć przez dyrektora szkoły, zabezpieczenia mienia przed kradzieżą i to też jeszcze nie koniec. Gdy do tego dodam, że istnieje jakieś zarządzanie, w myśl którego sporządzone i podpisane przez nauczyciela sprawozdanie nie przedstawia wagi dokumentu i nie może stanowić np. załącznika do protokołu z rady pedagogicznej, tylko musi być obowiązkowo do tego protokołu „wmałowane”, mamy prawie pełny obraz biurokracji w szkole. Piszę „prawie”, bo przykłady nadal można mnożyć.

W pierwszym rzędzie uważam, że należy uczynić wszystko, aby zlikwidować w szkołach przerosty pisanie i objęgu różnego rodzaju dokumentów: karkołomnych analiz, wyników nauczania, planów, harmonogramów, sprawozdań, różnorodnych informacji itp. Obowiązującym planem powinien być plan pracy dydaktyczno-wychowawczej i opiekuńczej szkoły sporządzony na dany rok, w którym znalazłyby się i wytyczne do pracy organizacji uczniowskiej, działalności pełnomocników do spraw orientacji zawodowej uczniów, bhp i innych. Jedynymi sprawozdaniami tylko te, które są zatwierdzone przez GUS. Korzystać: ujednolicienie działań wychowawczych, poważne oszczędności papieru i czasu nauczyciela.

Podstawową dokumentację pracy wychowawcy klasowego i nauczyciela winny stanowić: rozkłady materiału nauczania, przez pierwsze trzy lata pracy konspekty lekcji, dalej — dzienniki lekcyjne i arkusze ocen.

Zarządzenia resortu oświaty regulujące pracę szkół i nauczycieli powinny być tak „czytelne”, aby nie było wątpliwości co do ich jednolitej interpretacji. Trzeba w tym miejscu jednoznacznie stwierdzić, że to poletko jest wyjątkowo zachwaszczone i sprzyja różnorodnej interpretacji tego samego przepisu.

Zeby nie być gołosłownym przytoczę przykład. Bodaj w kwietniu 1986 roku wystąpiłem z kilkoma pytaniami w sprawie zasad zatrudniania i wynagradzania nauczycieli do Biura Prasowego Urzędu Rady Ministrów. W ciągu dwóch miesięcy sprawa przyjęła dla mnie dość nieoczekiwany obrót. Co kilkanaście dni byłam informowana kolejnymi pismami, że sprawa została przesłana do rozpatrzenia przez Ministerstwo

Oświaty i Wychowania, następnie przez kuratorium, dalej wydział oświaty aż do dyrektora szkoły i krąży się zamknął.

Pytania nie dotyczyły tylko mnie, ale ogółu nauczycieli, np. w jakiej maksymalnej wysokości należy się nauczycielowi dodatek za sprawozdanie i ocenianie prac pisemnych z języka polskiego? Czy wychowawcy zatrudnionemu na koloniach należy się dodatkowe wynagrodzenie za konwój dzieci? I wreszcie — czy nauczycielowi, który ma zagwarantowany w Karcie Nauczyciela pięciodniowy tydzień pracy, przysługuje dodatkowe wynagrodzenie za pracę w wolną sobotę?

Odpowiedź otrzymałem, ale mnie interesowała wykładnia ministerstwa, szczególnie w sprawie wynagrodzenia za pracę w wolne soboty. Prawo niech prawo znać. Ciągłe odnośne wrażenie, że w niektórych sprawach rozmawiamy ze sobą różnymi językami.

Doskonalenie pracy dydaktycznej, wychowawczej, opiekuńczej i przywrócenie szkole funkcji, do jakich została powołana, nie może być tylko hasłem propagandowym i czczą gadaniną. Jest nakazem chwili bez względu na pękające się trudności.

STANISŁAW SOWIŃSKI

PRZEPRASZAMY

Przepraszamy panią Barbarę Baron, autorkę recenzji „Historia jako bał” z filmu pt. „Bał”, za zniekształcenie nazwiska.

GOŚĆ Z KOPENHAGI

Instytut Teorii Literatury Teatru i Filmu Uniwersytetu Łódzkiego gości w dniach od 24 do 30 listopada 1986 r. panią dr. Marguerite Engberg, dyrektora Instytutu Wiedzy o Filmie Uniwersytetu w Kopenhadze. Cel wizyty roboczej, Łódzki Zakład Wiedzy o Filmie pragnie rozwinąć współpracę z duńskim instytutem nawiązaną wstępnie rozmowami w Kopenhadze i wstępną wymianą doświadczeń.

Mala Dania miała przed pierwszą wojną światową taką pozycję w rozwoju kinematografii, jaką zyskał potem Hollywood. Pierwszy film duński powstał już w 1897 roku, a więc zaledwie w dwa lata po narodzinach filmu a już w 1909 roku produkuje ich Dania około 100. Jeszcze jeden szczegół świadczy o tej niezwykle potęgze wczesnego, niemieckiego jeszcze kina malej Danii. Otóż była pierwszym krajem świata, który rozwijał produkcję filmów pełnometrażowych. Ba, a jedną z pierwszych „gwiazd” kina była wielka tragiczka Asta Nielsen (1883—1972). Nazywano ją Eleonorą Duse ekranu i jej twórczość oddała niewątpliwie usługi w rozwoju aktorstwa filmowego.

Stąd też piękny rozwój duńskiego Instytutu Wiedzy o Filmie i prac z historii kina jego dyrektora — dr. M. Engberg. Stąd też nasza radość z jej odwiedzin i nadzieja na współpracę m.in. w zakresie badań nad kinematografią narodową i jej metodologią.

POLA WERTOWA

JUBILEUSZ STAREJ SZKOŁY

Jubileusz, o którym chcę czytelnikom „Odgłosów” opowiedzieć, dotyczył jednej z najstarszych łódzkich szkół. Popularnej „Trójki” (Trzeciego Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Kościuszki w Łodzi). Szkoła ta powstała w r. 1916, a w 1926 powstało w niej Stowarzyszenie byłych Wychowanków. A więc szkole stuknęło 70 lat, a Stowarzyszeniu 60 lat.

Był to trzeci rok trwania I Wojny Światowej, wojny krwawej i okrutnej. Wojska niemieckie, posuwając się na wschód, zajmowały tereny Kongresówki, dokonując powszechnej i bezlitosnej grabieży. Niemcom zaczynało wszystkiego brakować: maszyn i urządzeń, uzbrojenia i żywności, a nade wszystko — ludzi. Jak wówczas mówiono „armatniego mięsa”. Utworzyli Królestwo Polskie zależne całkowicie od okupanta w nadziei, że ono jako twórczość da rekrutę dla armii niemiecko-austriackiej. Ale tu czekał ich srogi zawód. Niemiecki front wschodni rozciągnięty niesamowicie od Dąwiny na północ po wschód rumuńską i Morze Czarne na południu trzeszczał w szwach. Królestwo Polskie otrzymało wprawdzie pewne uprawnienia, które miały oznaczać niepodległość: sądy, instytucje opieki społecznej, swoje finanse i — szkolnictwo, ale rekruta nie dało. Władzę najwyższą sprawował przecież w Warszawie generał gubernator von Bessler.

Pomimo to społeczeństwo polskie postanowiło choćby w minimalnym zakresie nadane mu uprawnienia wykorzystać m.in. w dziedzinie opieki społecznej, zdrowotnej i szkolnictwa. Magistrat powołał do życia czteroklasową Szkołę Miejską, która po czterech latach przeobraziła się w Miejskie Gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego. Szkoła przyjmuje przede wszystkim dzieci najuboższe: bezrobotnych, drobnych rzemieślników i pracowników miejskich. Ten mocno proletariacki charakter zespołu uczniowskiego Szkoła zachowała do r. 1939. Czuwała nad tym zarówno Dyrekcja, jak i cała Rada Pedagogiczna. To była osobliwość tej Szkoły w całym dwudziestolecu, nie tylko w Łodzi, ale w całym kraju.

Drugą osobliwością była samorządność młodzieży, co z kolei zrodziło jej samodzielność, uspołecznienie i więź uczniową z byłymi wychowankami. Dyrektor Szkoły, Leon Starkiewicz, wyznawał w odniesieniu do uczniów zasadę: „Radź sobie sam!”. Był to człowiek mądry, skromny i serdecznie z uczniami związany. Zdając sobie doskonale sprawę, z jakiego środowiska przychodzi do Szkoły jego uczniowie i jak trudne życie czeka ich po maturze wysokim wymaganiom z różnych dyscyplin naukowych i artystycznych towarzyszyła głęboka troska o zdrowie młodzieży, organizację wypoczynku, jej dożywianie, rozwój samodzielności i zainteresowań ogólnie wielostronnych. Współpartnerami Szkoły były takie organizacje jak Stokro Rodziców, Towarzystwo Przyjaciół Młodzieży i Stowarzyszenie b. Wychowanków.

Świecono ten „Jubileusz” 18 i 19 października 1986 roku. Pierwszego dnia miały miejsce spotkania byłych wychowanków z młodzieżą obecnie do szkoły uczęszczającą. W „swoich” klasach, wieczorem w auli szkolnej odbyło się zebranie sprawozdawczo-wyborcze Stowarzyszenia. Nazajutrz — uroczyste złożenie kwiatów pod popiersiem dyrektora Leona Starkiewicza (przed gmachem szkolnym) i odsłonięcie portretu Zofii Karaszkowej, niedawno zmarłej nauczycielki fizyki (Galeria nauczycielskich portretów rośnie). Następnie uczestnicy obejrzeli wystawę prac byłych wychowanków, muzeum szkolne, pracownię (z najmłodszą — „komputerową”). Z kolei wszyscy przeszli do Pałacu Młodzieży przy ul. Moniuszki, gdzie w sali teatralnej odbył się uroczysty koncert z bardzo bogatym programem. Po koncercie wszyscy udali się na koleżeńską obiad w kasynie oficerskim przy ulicy Tuwima.

Szkoła wydała okolicznościową publikację, dzięki czemu każdy z uczestników koleżeńskiego zjazdu otrzymał mógł ciekawą i bogatą w treści pamiątkę. Na pewno i ten Zjazd, jak i wszystkie poprzednie, zapadnie głęboko w duszach i sercach obecnych i dawnych wychowanków.

M.W.

Nie państwo więc, lecz ludność odnoś-
ła największe korzyści z imprezy —
mówił Ramon E. Alatorre. — Zarobili
sklepiarze, taksówkarze, hotelarze.
Zarobili restauratorzy. Zarobili wy-
twórcy i sprzedawcy pamiątek. Zaro-
bili pacyficy, muzycy i politycy. Można
by rozszerzyć tę listę.

— Na czym w takim razie polegają korzyści
państwa?

— Państwo wraz z całym narodem odniosło
wielki sukces propagandowy. Osobiście na czo-
łowym miejscu stawiam fakt, iż dzień w dzień
przez okrągły miesiąc 150 krajów ze wszystkich
kontynentów świata oglądało w telewizji przed
każdym meczem krótkometrażowy film o Mek-
syku. Nie mniej ważny jest puchar Fair Play.
Po raz pierwszy w długiej historii mistrzostw
przynano to wyróżnienie publiczności i była to
właśnie publiczność meksykańska.

Wszedł goniec z telegramem.

Señor Alatorre przeczytał, mruknął: — FIFA
— i ciągnął:

— W gruncie rzeczy przynano dwa puchary
Fair Play. Pierwszy otrzymał zespół Brazylii za
dżentelmeńską postawę na boisku, za dyscypli-
nę, za to, że nie faulował, nie histeryzował, nie
dyskutował z sędzią i nie ścigał koszelek. Pu-
bliczność meksykańska natomiast otrzymała dru-
gi puchar za wzorowe zachowanie: nie było a-
gresji i gwałtów, była przeciwieństwo atmo-
sfera, radość, obiektywizm i gorący doping dla
lepszego. Nie powierzono nam organizacji munda-
liu ot, tak sobie, na piękne oczy. W 1985
roku odbyło się w Istambule światowe forum
prasy sportowej i ogół dziennikarzy uważał, że
Meksyk będzie najlepszym gospodarzem mistr-
zostw. Olimpiada w 1968 roku wysłała nam
na piątkę (pomijając tragedię studentów, świat
rzeczywiście uznał tę imprezę za wielki suk-
ces Meksyku — przyp. A.M.), podobnie zresz-
tą, jak mundial piłkarski w 1970 roku. Postanowi-
liśmy przebieć dwie piątki trzecią piątką i za te-
goroczne mistrzostwo otrzymaliśmy piątkę z
plussem.

Zgadza się z Ramonem E. Alatorre. W cią-
gu osiemnastu lat Meksyk był gospodarzem
trzech największych i najpoważniejszych imprez
sportowych, i wywiązał się ze swych obowiąz-
ków perfekcyjnie. Jeśli ktoś powie: żadna sztuka,
przypomnę mu ostatnie amatorskie mistrzo-
stwa świata w boksie, zorganizowane przez A-
merykanów. Transmisja telewizyjna rozpoczę-
ła się nierzaz z półgodzinnym opóźnieniem.
Pięściarz wchodził na ring albo nie wchodził,
jak był jeden, nie było drugiego, odstępy między
walkami ciągnęły się jak guma do żucia; roz-
gardiasz zamieszanie; jednym słowem: czysta
amatorszczyzna.

2.

Zwykle pisarz i reporter uciekają się do re-
trospekcji. Ja natomiast wyprzedziłem kilkakrot-
nie czas meksykańskiego sprawozdania. Postą-
nawiam ponownie ten błąd. Skoro jesteśmy już
przy sporcie, należy wyczerpać temat. Otóż w
niedzielę 17 sierpnia, w pięć dni po budzącej
rozmowę z señorem Alatorre, byłem świadkiem
małej wojny futbolowej, która wybuchła na sta-
dionie Azteca 2000 pomiędzy zespołem stołecz-
nej Ameryki i drużyną Guadaluajary.

Wielka wojna futbolowa toczyła się, jak wie-
my, pomiędzy Hondurasem i Salvadorem. Opi-
sał ją brawurowo znakomity polski pisarz i
najlepszy bezsprzecznie polski reporter, Ryszard
Kapuściński. Pozwól sobie przytoczyć skrót:

„Obie drużyny walczyły o prawo udziału w
mistrzostwach świata, zapowiedzianych na lato
1970 roku w Meksyku. Pierwszy mecz odbył się
w Hondurasie 8 czerwca 1967 roku. Drużyna
Salvadora przyjechała do Tegucigalpy i spędziła
w hotelu bezsenne noce. Tymczasem kamieniarz
w szubry, tłukł kijami w błachy i w puste be-
czki. Raz po raz wybuchali halasyne petardy.
Przerastające wbył kłokosy ustawionych przed
hotelem aut. Kibice awizdali, wrzeszczeli, wzno-
sili wrocie okrzyki. Trwało to przez całą noc.
Drużyna polsi, nie wyspana, zdenerwowana,
zmęczona, przegrała mecz 1:0. Klęka napastnik
Hondurasu strzelił w ostatniej minucie zwycięską
bramkę siedząc w Salvadora przed telewizjo-
rem. 18 letnia Amelia Bolaños stępnęła po pi-
stolecie ojca i popełniła samobójstwo. Młoda dzie-
wczyna, która nie mogła znieść, że jej ojciec
został zraniony na kolano — pisał nazajutrz
dziennik Salvadora „El Nacional”. W nocze-
bie Amelia Bolaños, transmitowanym przez ra-
dio, została udzielać całą stolicę. Na czele
konduktu maszerowała kompania honorowa
wioska ze sztandarem. Za trumną okrytą fla-
ga narodowa szedł prezydent republiki w oto-
czeniu ministrów. Za rządem kroczyła piłkar-
ska jedynostka Salvadora, która tego dnia rano,
wyznaczona, wysłana i opłuta na lotnisku w
Tegucigalpie, wróciła specjalnym samolotem do
kraju.

Ale po tygodniu w stolicy Salvadora odbył
się rewolt. Tym razem drużyna Hondurasu spę-
dziła bezsenne noce wrzeszczącym tłum kibiców
wbił wszystkie okna w hotelu, wrzucając do
środku tony żwiru, żelaznych sznurów i
cuchnących szmat. Zawodnicy zostali przewie-
żeni na stadion w wozach nancernych. Wokół
boiska stały karolony żołnierzy z rozpalaczami
gotowymi do strzału. W czasie odgrywania
hymnu Hondurasu stadion wylł i awizdł. Nastę-
pnie zamiast flagi narodowej Hondurasu, która
stała spłona na oczach oszalałych ze szczeni-
stwa, gospodarze wieszczyli na maszy brudną,
podartą ściertkę. W tych warunkach zawodnicy
z Tegucigalpy nie musieli grać. Myśleli, czy
widać stąd tył. Prezent 3:0.

Prosto z boiska w tych samych wozach pan-
cernych odwieziono drużynę Hondurasu na lot-
nisko. Gęsty tłum spotkał ich kibiców. Bici i
konania uciekali w stronę granicy. Dwie osoby
poniosły śmierć. Kilkadzieśiat trafiło do szpi-
tala. Gościom spalono 150 samochodów. W kilka
godzin później granica między obu państwami
została zamknięta.

Następnego dnia rano byłem w Tegucigalpie
— pisał Ryszard Kapuściński którego za do-
konane samowolnie skróty serdecznie przepra-
szam — O zmierzchu nadciął nad miasto sa-
molot i rzucił bombę. Miasto ogarnęła panika.
Ludzie uciekali do bram, kupcy zamknęli skle-
py. Porzucone samochody stały na środku ulicy.
Jakaś kobieta przebiegła chodnikiem wolając:
— Moje dziecko, moje dziecko! Potem umilkła
i zrobiło się cicho. Zapadła taka cisza, jakby to
miasto już nie żyło. Za chwilę zgasi światło

i cała Tegucigalpa pogrążyła się w ciemno-
ściach.

Pognałem do hotelu. Próbowalem napisać de-
peszę do Warszawy. Spieszyłem się, ponieważ
wiedziałem, że w tej chwili jestem tutaj jedy-
nym zagranicznym korespondentem i że mogę
być pierwszym, który przekaże światu wiado-
mość o wybuchu wojny w Środkowej Ameryce.

Tyle Ryszard Kapuściński. Mała wojna futbo-
lowa między meksykańskimi drużynami nie była
tak strasza w skutkach. Ale na boisku wygła-
dała upiornie.

Drużynę Guadaluajary łączy takie stosunki ze
stołeczna Ameryką, jak na przykład Widzew z
Legią albo Real Madrid z Barceloną. Są od-
wiecznymi rywalami. Nienawidzą się piłkarze,
działacze i kibice. Wygranie meczu z wrogiem
jest ważniejsze niż zdobycie mistrzostwa kraju.

Ale uczucia przykryte są maską. Guadaluajary
przyjechała do stolicy i spała dobrze. Zawodni-
cy obydwo drużyn udzielali przed meczem wy-
wiadów prasie i wystąpili w telewizji. Mówi-
li:

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Chwyt odwetowy

(Korespondencja z Meksyku)

(10)

— Będzie piękne widowisko. Będzie zacięty
pojedynek. Zwycięży lepszy!

Zaczęło się grzecznie. Chivas Rayadas, Pasa-
ste Kozy z grzecznością odpierały ataki Las
Aguilas de America. Aguila to orzeł, symbol ho-
noru i męstwa. Jeden z Orłów, Eduardo Bacas,
zdobył bramkę i do 72 minuty Ameryka pro-
wadziła 1:0. Wtedy inny Orzeł, Carlos Hermo-
sillo, sfaultował brutalnie środkowego obroń-
cę Guadaluajary, Fernando Quirarte.

Incydent pokazywała później setki razy tele-
wizja. Wszystko biegnie z początku ospale jak
na zwolnionej taśmie. Quirarte leżał. Zawodnicy
snuli się ze spuszczonej głowami po boisku
pograżeni jakby w zadumie. Dopiero po chwili
upadł jakiś Orzeł. Podniósł się i zastósował
chwyt odwetowy. Teraz Koziół rzucał na trawę
wyjąc z bólu i przyciskając ręce do twarzy. Sa-
dzia biegł w tę i z powrotem wrzeszcząc coś
i gestykulując. Ale nikt na niego nie zważał.
Akcja z wolna nabierała gazu. Bili się już
cztery pary, wkrótce sześć. Wreszcie siedem,
dziewięć, jedenaste. Komplet dwudziestu
dwóch zawodników nie wyłączając bramkarzy,
demonstrował oniemiałej z przerażenia i za-
chwyty publicznie mieszaninę boks, karate i wol-
nej amerykanki. Gryźli, tłukli kolanami i pię-
ściami gdzie popadnie; w serce, w zębra, w
twarz. Kopali w głowę jakby to była piłka, sto-
sując od czasu do czasu fachowe piłkarskie
zwoady i fachowe bokserskie uniki.

Sędzia spleśniał aż się kurzył. Trenerzy
i rezerwowi opuścili ławki. Wpadli z dzikim
wraskiem na murawę i włączyli się do rozróby.
Stadion huczał. Zarzuciło się od policjantów i ki-
biców. Gdzieś w dali zawodziły już karetki
pogotowia.

Mecz został oczywiście przerwany. Kilku za-
wodników trafiło na chirurgiczny stół. Kilku s-
resztowano. Sędzia podał się nazajutrz do dy-

misji. Ponadziałkowe gazety zamieściły zdjęcie
nieszczęsnego Fernanda Quirarte z rozwalonym
łukiem brwiowym i roztraskaną kością policz-
kową. Prawa strona twarzy była wgnieciona na
głębokość kilku centymetrów i przypominała
krater. Inni zawodnicy: Javier Ledez, Pillo Da-
valos i Adrian Camacho, mieli polamane ręce i
nosy. Najlepiej kontuzją było bodajże wstrzą-
śnienie mózgu. Carlos Hermosillo (Piękny Karo-
tek), od którego zaczęła się bójka, oddany został
do dyspozycji Ministerstwa Spraw Wewnętrz-
nych. Guadaluajary, przy poparciu stanowych
władz, zaczęła grozić „Ameryce” procesem. Ze-
brał się na nadzwyczajnym posiedzeniu Meksy-
kański Związek Piłki Nożnej. Zawieszono w pra-
wach zawodniczych wszystkich dwudziestu
dwóch piłkarzy. Niektórzy otrzymali roczne dy-
skwalifikacje. Wiadomo było, że przez długi czas
obydwie drużyny będą grały wyłącznie w skła-
dach rezerwowych. Środki masowego przekazu
sugerowały, iż ze względu na kryminalny chara-
kter zajścia powinien odbyć się proces przed są-
dem publicznym.

naftowej i tragiczne trzęsienie ziemi, nikt go
specjalnie nie będzie kochał. Nie zmienia to
faktu, iż w ciągu sześćdziesięciu prawie lat pa-
nowania PRI zapewniła Meksykowi spokój we-
wnętrzny i prestiż na arenie międzynarodowej.
Nie było puców wojskowych, nie było wojny
domowej, takie incydenty, jak przed Olimpiadą
w 1968 roku, nie powtórzyły się nigdy. Coś ta-
kiego w przeciągu sześćdziesięciu lat nie udało
się żadnemu innemu krajowi w Ameryce Łaciń-
skiej.

Dodajmy, iż Meksyk poradził sobie wielokrot-
nie z presją Stanów Zjednoczonych, a jest to
presja przemożna, potrafiąca dać się we znaki
nawet krajom socjalistycznym. Uznał rewolucję
kubańską, potępił Pinocheta, przegarnął uchodź-
ców chilijskich, nie zerwał stosunków z sandy-
nistyczną Nikaragwą, zawsze bronił suwerenno-
ści innych państw, zawsze był za przyjaźnią i
pokojem, a ostatnio jednoznacznie popierał po-
kojowe inicjatywy Gorbaczowa.

PRI to Meksyk, a Meksyk to PRI. Przyna-
mniej jeśli chodzi o politykę zagraniczną i spra-
wowanie władzy w kraju.

Oto piątek, 15 sierpnia 1986. Pierwszy ma-
datariusz, prezydent licencjato (magister) Migu-
el de la Madrid przebywa w USA na rozmow-
ach z Ronaldem Reaganem. Wieczorem mówią
o tym w dzienniku telewizyjnym. Pięknie, ślicz-
nie. Przywódcy dwóch wielkich narodów ubiją
może jakiś drobny interes. Ale żeby się ni-
komu nie zdawało, że Jankesi mogą robić w
Meksyku, co chcą, spiker podaje zaraz po tym,
że policjanci w Guadaluajary przytrzasnęli w a-
reszcie i dali tęgi wycisk amerykańskiemu agen-
towi od narkotyków, który niby miał współdzia-
łać z Meksykanami w tropieniu i zwalczaniu
przemytłników, ale coś jak gdyby wpełznął now-
za głęboko i trzeba było go ostudzić.

Wybuchnął skandal. Agenta puszczono, ale
kiedy przyjechał do USA, stwierdził przed ka-
merami TV, że był maltretowany. Gubernator
i chłopaki z Guadaluajary zaprzeczili przed tele-
wizją meksykańską. Skąd! Nikt go nawet nie
tknął palcem! Cała Ameryka trzęsła się jednak
z oburzenia. Jakże to tak!? Spotkanie na naj-
wyższym szczeblu, a te dranie masakrują nam
agenta!

Miguel de la Madrid wrócił. Oświadczył na
lotnisku, że wizyta była owocna. Nazajutrz in-
teresowały go już wyłącznie problemy rozbroje-
nia, a w kilka tygodni później miał przyjąć
radzieckiego ministra spraw zagranicznych, Ed-
warda Szewardnadze.

Wskazówka cyka jak metronom: raz w lewo,
raz w prawo. Każdy gest na zachód równoważo-
ny jest momentalnie gestem na wschód. I od-
wrotnie. Godzi się dodać, bez związku oczywi-
ście między obydwoiema faktami, że po wizycie
Miguela de la Madrid w Waszyngtonie pewna
amerykańska agentka od narkotyków zderzyła
się na meksykańskiej drodze z wozem o nie-
znanej rejestracji i poniosła śmierć na miej-
scu.

4.

Wielkie narody, mające u steru wielkich przy-
wódów, bronią się przed zarazą. Jedno super-
mocarstwo wypowiedziało wojnę alkoholizmowi,
drugie narkotykom. USA gotowe są pomóc
Meksykowi gospodarzo, chciałyby jednak spa-
tać trochę jego politykę zagraniczną (poczyna-
jąc z „Grupie Sześciu” i w „Contador”) oraz
zająć się osobiście meksykańską mafią narkoty-
czną.

Al Meksyk mówi uparcie: nie! Tak było w
każdym razie do chwili mojego wyjazdu. Ame-
rykańskie helikoptery patrolowały nocą i dnem
Rio Bravo, nie przekraczając jednak granicy. Ma-
fia tymczasem stosowała chwyt odwetowy.
Nie tylko zresztą na wścibskich agentach ame-
rykańskich. „Excelsior”, czołowy dziennik Mek-
syku, donosił na pierwszych kolumnach o krwa-
wych porachunkach międzymafijnych i morder-
stwach. Podczas gdy w Guadaluajary policja u-
jęła kilku dystrybutorów marihuany: Genaro
Fuentes Hernandez, Juarez Carrillo i Fran-
cisco Villareal, w Zacatecas trzech uzbrojonych
w pistolety automatyczne osobników zabiło w
domu Edmunda M. Flores, jego żonę Glorie de
la Rosa Quevedo oraz teściową Marię Queve-
do.

Gloria de la Rosa umierała najdłużej i zdąży-
ła zidentyfikować jednego z morderców. Okto-
rzy skądinąd byli w maskach i przyjechali
samochodem bez numerów) jako niejakiho Ju-
ana Estrada. Policja szuka. Policja goni. Lecz
mafia w krytycznych momentach jest solidarna
i milcząca. „Excelsior” przyznaje, iż mimo usil-
nych zabiegów specjalistów od przestępstw nie
zdołali wyśledzić w Guadaluajary ani słowa z a-
resztowanych narcotraficantes: Hernandez, Ca-
rillo i Villareal. Owszem, handlarze wzięli na
siebie winę, ale to wszystko. Nie nie wiemy,
nikogo nie znamy — powtarzali z uporem. —
Jesteśmy w biznesie dopiero od sześciu miesię-
cy.

5.

Ambasada załatwiła mi spotkanie z profes-
orem Miguelem Wionczkiem, specjalistą od nafty,
ekonomii i problemów pokoju. Jest wielkim au-
torytetem moralnym i naukowym. Pochodzi z
Polski. Przyjął mnie w Colegio de Mexico,
gdzie pracuje. Rozmowa nie biegła wedle mo-
jego scenariusza. Prosił, abym najpierw opo-
wiedział mu o sobie. Potem oświadczył, iż nie
poda mi recepty na meksykański kryzys, bo
musiałby mówić bez przerwy dwadzieścia go-
dzin. Jeśli chodzi o polsko-meksykańskie, nie
najlepiej układające się stosunki handlowe, też
wolałby nie zabierać głosu, aczkolwiek nie ule-
ga kwestii, iż wina leży po obydwu stronach.
Handel w Meksyku polega na dotarciu do wła-
ściwych osób i przekusztwie. Ale co sześć lat
zmienia się rząd, prezydent i średnia kadra kie-
rownicza, w związku z czym Polacy nie bardzo
wiedzą gdzie szukać owych właściwych osób.

Prawdziwą pasją profesora Migueła Wionczka
jest mimo wszystko rozbrojenie. Tuż przed wy-
jazdem do USA prezydenta De la Madrid, pro-
fesor brał udział w spotkaniu „Grupy Sześciu”
w Meksyku (Ixtapa-Zihuatenejo), ale nim za-
czął mówić na ten temat (notowałem), powie-
dział, żeby otworzył nawias.

C.D.N.

Ta ponura historia, która od roku pasjonuje Amerykanów, mogłaby stanowić wątek kolejnego „Dallas” czy „Powrotu do Edenu”. Bogata wdowa, trójka nieudanych dzieci, olbrzymi spadek. Tylko tym razem nie jest to fikcja.

NA POZĄTKU BYŁ DZIADEK.

Harry Hitchcock, żywcem wzięty z legendy o pionierach amerykańskich. Z niczego stworzył w ciągu ćwierć wieku największą firmę importującą tytoń w USA, Lancaster Leaf Tobacco. W 1965 roku w wieku 68 lat wycofał się z biznesu i przepowiadając, iż pieniądze nie przyniosą szczęścia, poświęcił się religii, a cały majątek przepisał na swą jedyną córkę.

Margaret jest przystojną blondynką, elegancją i wysportowaną. Poślubiła Edwarda Bensona, zdolnego agenta handlowego, który stał na czele firmy tesci. Rodzi im się dwoje dzieci, Carol, równie ładna jak matka, i Steven. Wychoją w luksusowej, 17-pokojowej siedzibie w Lancaster w Pensylwanii. W łazienkach krany z 14-karatowego złota. W olbrzymim parku, o który dba armia ogrodników, w olimpijskim basenie i trzypoziomym garażu z dziesięcioma samochodami.

Dzieciom nie brakuje niczego: mają guwerantki, szofera, ubrania prosto z Paryża, pieniądze kieszonkowe i własne samochody, gdy tylko osiągną wiek odpowiedni do posiadania prawa jazdy. Rodziców widują rzadko, a jeśli już, to, aby usłyszeć, że cały majątek będzie kiedyś do nich należał, pod jednym warunkiem, że będą grzeczni. A więc Carol i Steven starają się być grzeczni, mimo że uczą się raczej marnie.

Współczesna część historii przenosi się na wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych. Na Florydzie, w jednej z bogatych dzielnic prywatnych nad brzegiem morza w miejscowości Naples osiedliła się Margaret, aby w słońcu i słodkim far niente spędzić lata starości. Ma 64 lata, po śmierci męża odziedziczyła 10 mln dolarów, które zamierza podzielić między trójkę dzieci: Carol Lyna 40 lat, była cover girl, obecnie mężatka, mieszkająca w Bostonie, Steven 34 lata, dwukrotnie żonaty, osiedlił się niedaleko w jednej z willi, prezent od mamy, i Scott 21 lat, który marzy, aby stać się mistrzem tenisa, a spędza czas na wychowaniu białego proszku w towarzystwie uroczych blondynek.

9 LIPCA 1985 ROKU

zebrali się wszyscy w domu matki w towarzystwie adwokata, Wayne'a Kerra, które Margaret zatrudniła specjalnie, aby miał oko na poczynania starszego syna. Steven przyjechał rano, półciężarówką, którą zaparkował obok chevroleta mamy. Na procesie Carol powie: — Spędziłem sporo czasu kręcąc się koło samochodów, ale nie widziałem co robił.

Rodzinną zebranie było dość burzliwe. Margaret oskarżała Stevena o przywłaszczenie so-

Hotel w pobliżu morza i... sali sądowej

bie jej dochodów z akcji na giełdzie w wysokości 2 mln dolarów. W pewnym momencie Steven opuścił zebranie.

— Idę kupić kawę i ciastka. Za pięć minut wracam.

Carol zauważyła, że nie wziął ciężarówki, tylko chevrolet i wrócił po drugiej godzinie proponując wszystkim — prócz adwokata — zwiedzenie jednej z posiadłości, nowy nabytek matki. Nikt nie miał specjalnej ochoty na przejażdżkę, zwłaszcza że było bardzo gorąco, a przede wszystkim Margaret chciała wyjechać do końca sprawy tych 2 mln dolarów, ale widząc upór syna zgodziła się.

Steven rozmieszcza wszystkich w chevroletach: matkę z przodu, brata i siostrę z tyłu, a sam siada za kierownicą. W momencie kiedy ma przekroczyć kluczyki nagle oświadcza:

— Do diabła, zapomnieliśmy coś wziąć.

Wysiadła. Dziesięć sekund później samochód wybuchł. Dwie eksplozje, jedna po drugiej. Margaret i Scott giną na miejscu. Carol, która zostawiła drzwi otwarte z powodu upału, wyrzucona została na zewnątrz. Poparzona na całym ciele, spędziła parę miesięcy w szpitalu, ale uszła z życiem.

— Steve stał obok samochodu, z przerażoną miną, i nie rozumiał dlaczego nie spieszył mi na ratunek — powie na procesie.

Podczas pogrzebu Steven płacze nad grobem matki i brata, a następnie idzie do dziadka prosić go o 20.000 dolarów. Harry Hitchcock oburzone jest jego brakiem taktu, ale podpisuje czek.

Miesiąc później Steven oskarżony został o

podwójne zabójstwo: matki i brata, o usiłowanie zabójstwa siostry. Kiedy Steven zwraca się do rodziny o zapłacenie kaucji na zwolnienie warunkowe, dziadek odmawia i z obawy o własne życie poleca sędziemu nie wypuszczać wnuka na wolność pod żadnym pozorem.

Prokurator ma w ręku obciążające dowody, mimo iż oskarżony zapewnia o swej niewinności. Policja znalazła rachunki świadczące o zakupie przewodów, podobnych do tych, które zostały do skonstruowania dwóch bomb domowej roboty i na których ponadto widnieją odciski palców Steva. Sklepiak, który je sprze-

dał, opisał osobnika, zadziwiająco podobnego do Steva.

Pewien robotnik, który reperował dach rodzicielskiego domu w 1983 roku opowiada taką historię:

— Steven był w ogrodzie bawiąc się przewodami, a następnie trzymając w rękach czarną skrzynkę naciskał na guziki, co powodowało eksplozje.

I wszyscy przypominają sobie, że ten dziwny chłopiec niezbyt zdolny do biznesu i pieniędzy, był geniuszem we wszystkim, co dotyczyło elektroniki. Jego matka opowiadała każdemu kto chciał słuchać, jak to Steve mając 10 lat zreperował telewizor. W wieku 16 lat, zmontował cały skomplikowany system elektroniczny w swym Triumphie, prezencie od ojca, którym jeździł do szkoły.

Ale prócz tej pasji był to raczej przeciętniak. Nieśmiały i niezręczny, dziewczyny śmiały się z niego. Na Uniwersytecie, gdzie studiował ekonomię, ledwo przetrwał rok. Pierwszy biznes, firma strzyżenia i konserwacji trawników, stworzona za pieniądze taty, skończyła się bankrutem. A nawet pewna spółka nawozów sztucznych wytoczyła mu proces, za niezapłacone rachunki w wysokości 3.000 dolarów. Kolejne próby utworzenia własnej firmy też okazywały się nieudane i matka, rozczarowana Stevenem, przeniosła swe uczucia na drugiego syna Scotta.

W czasie procesu, okazało się, że Scott w rzeczywistości

BYŁ JEJ WNUCZKIEM,

nieślubnym dzieckiem Carol, kiedy ta była jeszcze młodą dziewczyną. Aby uniknąć skandalu, Margaret zdecydowała zaadoptować dziecko. Ale pseudosyn nie był dużym wart. W wieku 18 lat został umieszczony w prywatnej klinice psychiatrycznej na mocy prawa istniejącego na Florydzie, które głosi, że rodzina ma prawo oddać do zakładu zamkniętego osobnika o skłonnościach samobójczych lub morderczych. Carol wyjaśnia:

— Mama się go bała i ja także. Ciągłe włóczył się z dziewczynami, które interesowały tylko jego pieniądze.

Scott opuścił szybko kliniki, aby przetrwać się na kokainę. Krążył plotki, że mafia chciała go zabić za nie zapłacone dostawy i zdaniami z wózków Stevena należałoby szukać mordercy wśród handlarzy narkotyków.

Tak więc, podczas gdy Scott wychował się w przelocie, podziwiał spojrzeniem matki, Steven trwał pieniądze na bezsensowne przedsięwzięcia. Po śmierci ojca myślał nawet o stworzeniu konkurencyjnej firmy importującej tytoń. Ale sprawa upadła po trzech miesiącach.

— Steven miał upadłe wspaniałe projekty, które kończyły się niczym — mówi jeden z jego byłych współpracowników.

W 1982 roku kupił teren wartości 250.000 dolarów, aby rozwinąć tam budownictwo mieszkalne. Tylko zapomniał o prawie do budowania, których te tereny nie posiadały ze względu na ukształtowanie powierzchni. I znowu matka musiała sięgnąć do kieszeni, aby pokryć bezkosztowo syna.

Na parę tygodni przed śmiercią Margaret Benson podjęła decyzję wydziedziczenia Stevena na rzecz Scotta i Carol. W tym czasie Steven kierował spółką elektroniczną zajmującą się zabezpieczaniem mieszkań od włamań i pożarów. Mimo że nie groziło mu jeszcze bankructwo, dowiedział się o intencjach matki, postanowił temu szybko i skutecznie zaradzić. Obrona twierdzi, że był bardzo dobrym synem. Jedno nie wykryła drugiego.

Stevenowi Bensonowi grozi kara śmierci, ale wciąż nie przyznaje się do winy.

Jeden z moteli w Naples rozesłał do biur podróży reklamówkę następującej treści: „Lukusowy motel, w zaciśniętym miejscu, kilka kroków od morza i sali sądowej, gdzie odbywa się proces w wieku”.

MARIA CHARRIERE-WŁODARSKA

Ameryka nie ma czasu na Horacego

Dwa całkiem niewspółmierne wydarzenia — jedno dramatyczne, drugie powszednie — skłoniły nas do zastanowienia się nad obecną sytuacją w Ameryce. Pierwsze wydarzenie to tragiczna katastrofa Challenger, znana całemu światu. Drugie to konieczność zakupu jednego z nas regałów na książki.

Tragedia Challenger była bolesnym ciosem dla całego kraju. Ameryka, znajdująca się u szczytu pomyślności nagle jakby straciła twarz w oczach wielu ludzi. Ta katastrofa zakwestionowała jak gdyby samą istotę tej pomyślności. Wstrząśnięci Amerykanie czuli się tak jak wówczas, gdy zabity został John Kennedy.

Znamienne jest, że Amerykanie odebrali tragiczną śmierć astronautów jako symbol. Odczuć to potęgował fakt, że lot pomyślny był jako demonstracja korzystnych stron demokracji. Niepowodzenie tego piękniego wysiłku nie tylko rzuciło cień na kraj, ale także zmusiło do zastanowienia się nad przyczynami katastrofy — nie tylko na szczegółami technicznymi, zrozumiałymi tylko dla eks-

pertów, ale także nad głębszymi i bardziej zasadniczymi czynnikami społecznymi.

Krótko mówiąc, wypadek pojazdu kosmicznego wniósł jakiś olbrzymi dysonans w ogólną atmosferę ekstatycznego zachwytu nad gospodarczymi i politycznymi sukcesami Ameryki Ronald Reagana.

Może się wydać cyniczne i bezwzględne porównanie tej tragedii narodowej z drobnymi powszednimi kłopotami, ale naszym zdaniem istnieje pewien związek między katastrofą kosmiczną a tym, czego doświadczaliśmy dokonując zwykłego zakupu.

Pewnego dnia postanowiliśmy kupić kilka regałów na książki. Podobnie jak wielu innych klientów uznaliśmy, że lepiej będzie zamówić je bezpośrednio w fabryce. Wybraliśmy model, materiał, kolor lakieru, zapłaciliśmy i uzgodniliśmy termin dostawy.

Gdy nadszedł ów dzień wszystko było gotowe. Książki zostały zdjęte ze starych półek i złożone w bezładnych stosach na podłodze. Domownicy co chwila potykali się o nie, zaś pan domu zasiadł wygodnie w fotelu czekając na moment, kiedy będzie mógł poukładać

swój księgozbiór na nowych regałach.

O oznaczonej godzinie nikt się nie zjawił. Gdy zadzwoniliśmy do fabryki, dowiedzieliśmy się, że ludzie, którzy mieli dostarczyć regały zostali w ostatniej chwili skierowani do innej roboty. Gdy w trzy godziny później zadzwoniliśmy, znowu ten sam głos oznajmił, że jest pora obiadu i dostawcy są też ludźmi. Pod koniec dnia pracy zadzwoniliśmy jeszcze raz i wówczas politywaną sekretarkę oświadczyła, że trzeba być wariatem, aby ciągle zwracać się do telefonistów, skoro wiadomo, że dzisiaj regały nie mogą być dostarczone. W końcu jednak ustąpiła przed naszą natrącością i poszła się dowiedzieć, jak sprawy wyglądają. Okazało się, że regały są w ogóle nie gotowe i będą skończone dopiero po wakacjach. Nie sprzecywała jednak po jakich wakacjach.

Powinniśmy byli żądać wyjaśnień, domagać się satysfakcji, ale za słabo znaliśmy angielski. Nie pozostawało nic innego jak czekać.

Mineły dwa tygodnie, stopy książek pokrywały się kurzem, domownicy kleili. Wreszcie regały dostarczono. Ludzie, którzy je przynieśli przed naszymi oczami, żądali zapłacenia reszty należności, a dopiero potem zaczęli wносить części regałów.

Wystarczyło jedno spojrzenie, aby się przekonać, że owe części pasowałyby raczej na trumnę — każda bowiem była innym rozmiarów. Po zastawieniu przypominały ścięty stół. W dodatku otwory do umocowania gwóźdź były rozmieszczone w różnych miejscach w artystycznym nieładzie — mogło się wydawać, że producent zupełnie zlekceważył zasady geometrii Euklidesa.

Można by dalej ciągnąć to opowiadanie, ale wystarczy powiedzieć, że po 12 rozmowach telefonicznych regały zostały częściowo wymienione, częściowo podzielone na mniejsze części, a częściowo wyrzucone na śmietnik.

Ze złością słuchaliśmy relacji innych poszkodowanych. Dowiedzieliśmy się ponadto, że obniżenie jakości wyrobów amerykańskich ma ogromne reperkusje społeczne i ekonomiczne. Etykieta „Made in USA” nie ma już tego prestiżu co dawniej.

W połowie lat 70 dumni szefowie amerykańskiego przemysłu nawoływali „kupujcie wyroby amerykańskie”. Nie dlatego, że wyróżniały się lepszą jakością, lecz dlatego, że zostały wyprodukowane w kraju. Jeśli się zaś odrzuca wyroby amerykańskie, pozabawia się tym samym pracy ame-

rykańskich robotników, podważa się siłę i wpływ Ameryki.

Ale Amerykanie są zapanoowani, aby włączyć patriotyczne mogły wpływać na ich budżet rodzinny. Wywieszają na domach flagi z gwiazdami i pasami, ale telewizory mają japońskie. I czy można im mieć za złe, skoro japońskie telewizory są znacznie lepsze?

Szczególnie upokarzająca jest sytuacja przemysłu samochodowego. Właśnie samochód jest głównym symbolem amerykańskiego stylu życia. Samochód uczynił ten kraj tym czym jest obecnie. W historii kultury Stanów Zjednoczonych samochód odegrał taką samą rolę jak koń w okresie panowania Mongołów i Tatarów w Rosji. Nie jest to tylko środek transportu, ale część duszy narodu.

A mimo to niewdzięczni Amerykanie przesłaniają się do innych samochodów niż amerykańskie.

Jeszcze przed kilkoma laty małe, niedrogi samochody japońskie zwycięsko konkurowały z okazalymi Fordami i Chryslersami. Dzisiaj samochody japońskie są kosztowniejsze i luksusowe, ale mimo to zachowały konkurencyjność.

Małe samochody zostały obecnie zastąpione południowo-koreańskimi Liliputami, a także — o dziwo — jugosłowiańskimi Jugo, które zrobiły prawdziwą furorę na rynku. Po samochodach Jugo trzeba stać w kolejkę. Jeśli zaś ktoś chce sprawić sobie coś naprawdę luksusowego, może nabyć niemieckiego Mercedesa, szwedzkie Volvo lub włoskie Ferrari.

W każdym razie jest faktem bezspornym, że Amerykanie wolą wyroby pochodzenia zagranicznego od swoich własnych. Wytworzyła się pewna nieufność w stosunku do rodzimych produktów. Ta nieufność pogłębia katastrofy podobne do awarii Challenger. Pamiętamy doskonale jak to trzy spośród ośmiu śmigłowców wysłanych do Iranu w celu odbicia zakładników zepsuły się niemal natychmiast. Zwykły klient ma prawo zakładać, że jeśli nie można polegać nawet na specjalnie wyselekcjonowanej technologii wojskowej, to czegoż się spodziewać po takich urządzeniach jak np. maszyna do robienia grzanek czy system stereo?

W dzisiejszych czasach Amerykanie rozpaczliwie starają się zrozumieć jak doszło do tego, że Stany Zjednoczone straciły swój prestiż ekonomiczny. Niemal wszystkie wielkie przedsiębiorstwa studiują japońskie wzorce produkcji. Ale żadne z nich nie może odpowiedzieć na pytanie — w jaki sposób Amerykanie utracili sekret wyrobiania dobrych i pięknych rzeczy?

Niektórzy socjologowie szukają przyczyny w technologii. Dlaczego, mówią, płacimy dotatkowo za wyroby noszące etykietę „robione ręcznie”? Ponieważ proces montażu obniża jakość wyrobu.

Zamiast ulepszać jakość, wielkie przedsiębiorstwa stosują inną metodę — reklamę. To prostsze i tańsze niż wprowadzenie kontroli jakości w zakładzie. Ale, jak powiedział Abraham Lincoln, „nie można cały czas oszukiwać wszystkich ludzi”. I niezależnie od tego, ile nam pokazują w telewizji bezgłuche i głuche, że konsumenci w kawiarni Maxwell House, i tak wiemy, że włoskie espresso jest lepsze.

Revolucja technologiczna ponosi wielką winę za klęskę amerykańskiego systemu ekonomicznego. Niewinny ręczny kalkulator pozbawił ludzi zdolności liczenia. W sklepie sprzedawca potrzebuje automatycznego urządzenia, aby dodać 10 do 10. Sekretarki mają ułatwioną pracę dzięki procesom przetwarzania słów. Dzięki komputerom pracownicy biur podróży nie muszą już znać geografii.

Sadziemy jednak, że obniżenie jakości produkcji w Ameryce jest przede wszystkim spowodowane upadkiem etyki amerykańskiej (...)

Styl amerykański wyklucza jak się wydaje intelektualną stronę życia. Jest tam miejsce na dobrobyt, wolność i sprawiedliwość. Założyciele Stanów Zjednoczonych sądzili, że ludzie posiadający te zalety automatycznie staną się intelektualistami, którzy będą mogli czytać Horacego w oryginale.

Mylił się jednak. Ameryka nie ma czasu na Horacego, przeciętna rodzina amerykańska ogląda telewizję mniej więcej przez osiem godzin dziennie. Ośmiem godzin! Jedną trzecią doby poświęca się na spanie, jedną trzecią na pracę, a jedną trzecią na oglądanie telewizji, która nie konkuruje już z innymi formami rekreacji, lecz zastępuje ją.

Telewizja musi być zrozumiała dla każdego. Jest to medium całkowicie zależne od wielkości widowni. Ponieważ głównymi odbiorcami telewizji amerykańskiej są najmniejsza wykształcona warstwa społeczeństwa, telewizja nie może tracić czasu na intelektualne smaczki.

W ostatnich czasach sztuka w Stanach Zjednoczonych stała się bardzo prymitywna. Krytycy filmowi narzekają, że Hollywood obniża jakość proporcjonalnie do ilości. W ubiegłym roku Oscara zdobył „Amadeusz”, film zrobiony przez Czecha Milosa Formana. Ale widowiec woli Rambo 1

filmy Spielberga, które są przyjemne, ale absolutnie pozbawione jakiegokolwiek myśli (...)

Amerykańska kultura masowa stworzyła bardzo nieatrakcyjny wizerunek Amerykanina. Czyni go nieobecny, zasmakowany złym smakiem, jaki kojarzy się z etykietą „Made in USA”.

Francuzi domagają się usunięcia amerykańskiego slangu ze swego słownictwa. Wiosną protestują przeciwko otwieraniu barów McDonalda w Rzymie. Nawet zaoferowali Trzeci Świat starych powstrzymanych zalew amerykańskich seriali na ekranach telewizji. Niemal w całym świecie słowo „amerykańskie” stało się synonimem złego gustu.

Jak wiadomo religia przeżywa obecnie renesans, co mogłoby być dla społeczeństwa amerykańskiego wielką rekompensatą w dziedzinie intelektualnej, jako że religia jest podstawowym źródłem myśli.

Alle wystarczy posłuchać czym karmią swe 30-milionowe audytoria kaznodzieje telewizyjne — proście Boga o pieniądze i On wam je da. W Kalifornii istnieje nawet sekta pod nazwą „Pragnę być bogaty”. Wystarczy, że wierni powtarzają będą te słowa, a pieniądze same spadną im z nieba.

Tajemniczy związek między serialami telewizyjnymi a spadkami jakości produkcji staje się widoczny, gdy spojrzymy na młodzież amerykańską. Młodzi ludzie wybierają obecnie nie zawód, lecz wynagrodzenie — niezależnie od tego czy będzie to pensja lekarza, prawnika czy prezentera telewizyjnego. Znamy matematykę, który zrezygnował z wykładowania na uniwersytecie i otworzył biuro wynajmu videokaset. Inny nasz znajomy socjolog, porzucił uniwersytet i prowadzi obecnie chińską restaurację.

Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że nasza ocena Ameryki jest tendencyjna. W tym kraju jest wiele wspaniałych muzeów, orkiestr symfonicznych i wydawnictw. Wielu Amerykanów jest laureatami Nagrody Nobla. Ameryka posiada wyrafinowaną i nawet egzotyczną kulturę w wielu dziedzinach. Ale za każdym razem, gdy włączymy telewizor, gdy konniemy hamburgera lub przejdziemy listę nainowoczesnych bestsellerów — przypomni nam sobie, co ponurą idealista Hesse mówi o roli kultury intelektualnej w roku 1943.

„THE GUARDIAN”
z 21 VI 1986 r.



Sanders, zdziwiony odruchem Oxtierna, krzy- czy doń, by się bronił.

— Nie uczynię tego i, jeśli nie posłuszysz się żelazem, które trzymam — odpowiada zdecydowanie Oxtiern kierując w swą pierś broń Sandersa — jeśli nie posłuszysz się nim, by wydrzeć mi życie, zapowiadam ci, pułkowniku, przebiję się nim na twoich oczach.

— Hrabio, trzeba krwili... trzeba, trzeba, mówię ci.

— Wiem — mówi Oxtiern — i dlatego podaję ci mą pierś, spiesz się ją otworzyć... tylko z niej powinna popłynąć.

— Nie mogę zachować się w ten sposób — mówi Sanders usiłując uwolnić swą klingę, za twe zbrodnie chcę cię ukarać jedynie zgodnie z prawami honoru.

— Nie jestem godny, by je przyjąć, czcigodny człowieku — odpowiada Oxtiern — a skoro nie chcesz należnego ci zadośćuczynienia, oszczędź ci zatem starą...

Mówi i, rzucając się na szpadę pułkownika, której ten nie przestał trzymać w dłoni, sprawia, że krew tryska z jego wnętrza, lecz pułkownik natychmiast cofa szpadę.

— Dość tego, hrabio — krzyczy — Popłynęła twa krew, jestem usatysfakcjonowany... Niech Bóg cię ukarze, nie chcę służyć ci za kąt.

— Uściśnijmy się zatem, panie — mówi Oxtiern, który stracił wiele krwi.

— Nie — mówi Sanders — mogę wybaczyć twe zbrodnie, ale nie mam ochoty być twym przyjacielem.

Pospieszyliśmy opatrzyć ranę hrabiego; czcigodny Sanders pomagał nam.

— Idź — mówi wówczas do senatora — idź cieszyć się wolnością, którą ci zwróciłem; staraj się, jeśli to możliwe, jakimś pięknym czynem naprawić wszystkie zbrodnie, jakie popełniłeś; w przeciwnym razie będę odpowiadał przed całą Szwecją za zbrodnie, jakie sam dokonałem oddając jej potwora, od którego się już uwolniła. Panowie — kontynuował Sanders, spoglądając na Falkenheima i na mnie — za- troszczyłem się o wszystko, pojazd znajdujący się w oberży, ku której się kierujemy, przeznaczony był tylko dla Oxtierna, ale może odwiedzić was obu, moje konie czekają z drugiej strony, żegnaj was. Żądam od was słowa honoru, że zdam sprawę królowi z tego, co widzieliście.

Oxtiern chce raz jeszcze rzucić się w ramio-



Rys. Janusz Szymański-Glane

Ernestyna

Nowela szwedzka (7)

D. A. F. DE SADE

na swego wyzwoliciela, błaga, by zaoferował mu swą przyjaźń, by zamieszkał w jego domu, by podzielił z nim fortunę.

— Panie — mówi pułkownik odsuwając go — mówię ci, nie mogę przyjąć od ciebie ani dobrodziejstwa, ani przyjaźni, ale żądam od ciebie cnoty, bym nie żałował tego, co uczyniłem... Zechciej, jak mówię, pocieszyć mnie w moim smutku; najpewniejszym sposobem jest zmienić postępowanie; każdy twój piękny czyn, o ja-

kim dowiem się w mej samotni, zatrzą, być może w mej duszy najgłębsze uczucia bólu, jakie odcisnęły tam twe zbrodnie. Jeśli pozostaniesz zbrodniarzem, nie popełnisz ani jednej zbrodni, która by nie postawiła mi przed oczami obrazu tej, która skazała cię na śmierć z mej ręki, i pograżysz mnie w rozpacz. Zegnaj, rozstałmy się, Oxtiernie, i lepiej byśmy nigdy się nie widzieli...

Na te słowa pułkownik oddala się. Oxtiern

ze łzach chce iść za nim, kierując się ku niemu... zatrzymujemy go, niemal zardzewiałego wnosimy do powozu, który odwozi nas wnet do Sztokholmu.

Nieszczęśliwie przez miesiąc walczył ze śmiercią; pod koniec prosił nas, byśmy towarzyszyli mu u króla, któremu mieliśmy zdać sprawę ze wszystkiego, co się zdarzyło.

— Oxtiernie — mówi Gustaw do senatora — widzisz jak zbrodnia upokaja i poniża człowieka Twą krew... fortuna... urodzenie, wszystko to czyniło cię wyższym nad Sandersa, ale jego cnoty wyniosły go tam, gdzie ty nigdy nie sięgniesz. Ciesz się względami, jakie dzięki niemu odzyskałeś, Oxtiernie, zgodziłem się na to... Zapewne, po takiej lekcji, nim dowiem się o twoich nowych zbrodniach, albo sam siebie ukarzesz, albo nie będziesz już na tyle podły, by jeszcze je czynić.

Hrabia pada do stóp swego monarchy i składa przysięgę nienagannego zachowania.

Dotrzymał słowa: tysiące czynów, z których jeden szlachetniejszy był i piękniejszy od drugiego, naprawiło jego błędy w oczach całej Szwecji; i jego przykład wywarł temu mądrym narodom, że pobawiać ludzi i sprawadzić na właściwą drogę można nie tylko za pomocą tyranii i straszliwej zemsty.

Sanders powrócił do Nordkoping, dokonał życia w samotności wylewając co dzień łzy nad swą nieszczęsną, uwielbianą córką, i pocieszając się tylko pochwałami, jakie słyszał co dzień o tym, którego uwolnił z kajdan.

— O cnoto! — wykrzykiwał kilkakrotnie — czy to możliwe, by spełnienie tego wszystkiego było konieczne, aby przywrócić Oxtierna do twej świątyni! Jeśli tak, pocieszam się, zbrodnie tego człowieka tylko mnie dotknęły boleśnie, jego dobrodziejstwa przeznaczone będą dla innych.

Przekład:
BOGDAN BANASIAK

KONIEC

Autor książek, które były w piekle

W Bibliotece Narodowej w Paryżu znajduje się 1730 książek, przechowywanych w najbardziej tajemnym schowku, „piekle książek”, utworzonym na polecenie Napoleona Bonaparte. Początkowo były to książki skazane na spalenie. Później — dzięki przeznaczeniu i zapobiegliwości niektórych pracowników Biblioteki Narodowej — ocalały i do dziś dnia zachowały się jako świadectwo dawnych obyczajów Francji. Są wśród nich przeważnie utwory o treści frywolnej, ukazujące bez żadnych osłonek i niedomówień świat osobliwych przeżyć erotycznych, zbrodni i zbrodni na tym tle popełnionych. Są tego rodzaju żartobliwe opowieści a nawet poematy poświęcone męskim i żeńskim narządom płciowym.

Trudny był początkowo dostęp do „piekła książek”. Wyznaczyli do jego ochrony stróż strzegący go jak oka w głowie. Nie dopuszczali doń nikogo. Guillaume Apollinaire musiał przezwyciężyć wiele trudności, zanim dotarł do tego osobliwego miejsca w bibliotece, przejrzał zakazane książki i sporządził przedmowę do ich katalogu.

Dopiero od 1913 r. wrota „piekła książek” zostały na oścież otwarte. Każdy, kto interesował się bibliotekarstwem, zwłaszcza naukowym i pisarzem, mógł obejrzeć ten najbardziej tajemny zbiór książek i korzystać z nich.

Obok takich pisarzy i ich wyselekcjonowanych książek jak André de Narciat („Afrodyty”), Evaryst Parny („Wojna bogów”), Piotr Aretino („Ragionamenti”), Giovanni Giacomo Casanova („Pamiętniki”), Paul Verlaine („Kobiety”), „Hombres”), Jean Arthur Rimbaud („Gwałty”), wzmiankowany Apollinaire („Ogród miłości”), „Orszak na cześć Priapa” i „11 tysięcy batów”), Jean Genet („Matka Boska Kwietna”), „Dziennik złodzieja”), Henry Miller („Różane ukrzyżowanie”) oraz potępione przez sąd w Lille utwory poetyckie Voltaire'a, Mirabeau'a i Baudelaire'a, znalazł się bodaj na najpocześniejszym miejscu w „piekle książek” markiz Donatien Alphonse Francois de Sade (1740—1814).

KIM BYŁ TWÓRCA „SADYZMU”?

Wychowywał się w Paryżu. Początkowo nauki pobierał w jezuickim kolegium Louis le Grand. Poświęcił się karierze

wojskowej i wziął udział w wojnie 7-letniej.

W 1763 r. — pod wpływem despotycznego ojca — ożenił się z nielubianą i brzydką panną Renatą Pelagią. Wkrótce rozwodził się z nią i zamieszkał z niejaką Marią Konstancją Quesnet, która otaczała go szczególną opieką aż do końca jego życia. Gdy znajdował się w więzieniu, czyniła starania o uwolnienie i pielęgnowała go w szpitalu więziennym w Charenton.

Miał troje dzieci: dwóch synów i córkę. Synowie Louis i Donatien Claude Armand nie interesowali się ojcem. Unikał go i nie przyznawali się nawet do pokrewieństwa z nim. Córką Laura Magdalena była również uprzedzoną do ojca. Opuściła go w starości.

24 LATA W WIĘZIENIU

D. A. F. de Sade miał wielu wrogów, którzy oskarżali go o wywołanie skandalu obyczajowych, popełnianie czynów kryminalnych, a przede wszystkim o uprawianie szkodliwej działalności politycznej i społecznej. W sumie przeszło 24 lata spędził w więzieniu.

Po raz pierwszy pozbawiono go wolności w 1763 r. za popełnienie bliżej nieokreślonego wykryku natury erotycznej. Miał wtedy 23 lata i był od kilku miesięcy żonaty. W 5 lat później — w 1768 r. — został ponownie uwięziony w Saumur za przeprowadzanie na niejaki Róży Keller niedozwolonych „doświadczeń naukowych”, polegających m.in. na okładaniu jej ciała gorącym roztopionym lakiem. Keller początkowo domagała się od sądu ukarania de Sade'a za zadawanie jej cierpień, ale kiedy otrzymała od niego 100 ludo-rów, wycofała oskarżenie. Mimo to markiz przesiedział 6 tygodni w więzieniu i po uwolnieniu zmuszony został do opuszczenia stolicy.

W 1772 r. sąd w Aix wydał na de Sade'a wyrok śmierci. Na jednym z przyjęć u markiza rozchorował się od rzekomo zatrutych czekoladek gospodarza kilka kobiet. Gdy lekarz stwierdził zatrucie ich organizmu, prokurator wydał nakaz aresztowania de Sade'a. Powiadomiony o tym markiz opuścił natychmiast Francję i udał się do Sabaudii, należącej wówczas do Włoch. Wobec ucieczki oskarżonego, sąd w Aix skazał zaocznie de Sade'a na śmierć, a przedstawicielstwo dyplomatyczne Fran-

cji w Sardynii zażądało wydania zbiegła. Wkrótce de Sade został aresztowany i osadzony w więzieniu w Milanie. Na żądanie żony markiza odbyła się ponowna rozprawa w Aix, na której — po przesłuchaniu świadków i po oświadczeniu biegłych sądowych, iż będące przedmiotem oskarżenia czeko-ladki nie zawierały żadnej trucizny, a zatrucie kobiet mogły spowodować jedynie niewłaściwe pokarmy, de Sade został uniewinniony.



Pobyt na wolności markiza nie trwał jednak długo. Teściowa de Sade'a, nienawidząca zięcia za rzekomo złe obchodzenie się z jej córką, wszczęła gwałtowną, nieprzebiegającą w środkach akcję przeciwko markizowi, oskarżając go o deprawowanie społeczeństwa amoralnym gwałtem i dobre obyczaje zarówno osobistym postępowaniem, jak i pełnym zbrodni, gwałtów i zabójstw jego książkami. Po długich usilnych staraniach mściwa kobieta dopięła swego celu. Przy wydatnej pomocy i poparciu wrogów markiza, zajmujących wysokie stanowiska w hierarchii państwowej i społecznej, uzyskała u Ludwika XVI tak zwany „lettre de cachet”, to jest opieczętowany rozkaz królewski aresztowania de Sade'a bez wyroku sądowego i osadzenia go w więzieniu na przeciąg 12 lat (1778—1790). Ten najbardziej upokarzający okres przeżył markiz w kilku więzieniach: w Vincennes, Bastylii i Charenton. W Vincennes spotkał się z uwięzionym tu również Honoré Gabriel de Mirabeau.

Po wyjściu z więzienia w 1790 r. de Sade zgłosił akces do utworzonej w okresie wielkiej rewolucji francuskiej tak zwanej „Sekcji Płk” pozostającej pod wielkim wpływem jednego z

jej przywódców Jean Paul Marata. Mimo aktywnego udziału w tej organizacji i wyglądzanych w niej częstych przemówień patriotycznych, de Sade nie ustrzegł się od dalszych prześladowań ze strony wrogów, które doprowadziły go do ponownego uwięzienia w 1795 r. Udało mu się wyostać z niego w rok później.

„PIEKIELNE” KSIĄŻKI DE SADE'A

Przyczyną cierpień i częstych uwięzień de Sade'a były jego utwory o treści — jak zapewniał wrogowie — „jedynym w swoim rodzaju wynaturzeniu erotycznym”.

W czasie pobytu w więzieniach w Vincennes i Bastylii napisał m.in. obszerny utwór: „Les 120 journées de Sodome” — „120 dni Sodomy”, w którym — zdaniem krytyków — zawarta została w dość dużym stopniu ówczesna wiedza z zakresu psychopatologii seksualnej. Książka ta ukazała się drukiem dopiero w 1904 r.

Następnym utworem de Sade'a była najbardziej atakowana i potępiana powieść: „Justine ou les malheurs de la vertu” — „Justyna czyli niepowodzenie cnoty” (1791). Treścią tej książki były dzieje młodej, pięknej dziewczyny, która postanowiła przejść przez życie w czystości i cnoty. Tymczasem losy sprzyściły jej na nią i sprawiły, że stała się ofiarą rozwodrzonych i bezwzględnych w swoim postępowaniu rozpustników i zbrodniców. Uzupełniał tę powieść utwór: „Juliette ou les Prosopées du vice” — „Julczka, czyli pomyślność występku” (1796), opisujący dzieje siostry Justyny utrzymaną w tej samej tonacji, co poprzedni utwór.

W innej powieści: „Aline et Valcourt” (1793) autor opowiada o swojej miłości do szwagierki i przytacza obraz swych młodzieńczych przygód, a w utworze „La Philosophie dans le boudoir” — „Filozofia buduaru” (1795) rozwija teorię występu i wychowania erotycznego.

Ostatnimi jego utworami były: tom opowiadań „Les Cimes de l'amour” — „Zbrodnie miłości” (z którego pochodzi drukowana w „Odgłosach”, „Ernestyna”, przetłumaczona po raz pierwszy na język polski przez Bogdaną Banasiak) i prawdopodobnie „Złote et ses deux acolytes” (1800).

DE SADE CONTRA NAPOLEON

W 1801 r. de Sade został znów aresztowany. Przyczyną uwięzienia był tym razem — jak fama głosiła — pamflet satyryczno-obyczajowy „Złote”, wymierzony m.in. przeciwko Napoleonowi i jego żonie Józefinie de Beaumarchais. Utwór ten ukazał się w 1800 r. anonimowo. Przez dłuższy czas nie wiadziło, kto jest jego autorem. Dopiero dwaj bibliografowie: Brunet i Querard przypisali jego autorstwo de Sade'owi. Na tej podstawie nastąpiło uwięzienie markiza. Po stwierdzeniu, iż „Złote” różni się zasadniczo w stylu i kompozycji od innych utworów, pisarz został zwolniony z więzienia.

„Uwięzienie markiza — pisał Jerzy Łojek w pracy: „W świecie libertynów” — wiązało się prawdopodobnie z ogólną polityką rządu Bonaparte'go, zmierzającą do unieszkodliwienia wszystkich realnych i potencjalnych wrogów nowego reżimu w świecie literackim i dziennikarskim, a jednocześnie do wciągnięcia rozluźnionych obyczajów społeczeństwa w karby dyscypliny, niezbędnej dla skierowania wszystkich sił Francji ku realizacji światoburczych planów politycznych i militarnych Pierwszego Konsula. „Demoralizatorzy” byli niebezpieczni, niebezpieczni był przede wszystkim osławiony autor „Justyny” — został więc niejako profilaktycznie ze społeczeństwa usunięty.”

W SZPITALU DLA OBLĄKANYCH

Jerzy Łojek przytacza też interesujące szczegóły z kilkunastoletniego pobytu de Sade'a w szpitalu dla obłąkanych w Charenton.

Czy markiz de Sade był rzeczywiście obłąkany w chwili osadzenia go w szpitalu? Wielu krytyków zaprzecza temu faktowi. Nie był umysłowo chory. Świadczy o tym dozwolenie władze więziennej działalności literackiej markiza. Tu — w przydzielonym osobnym pokoju — mając do dyspozycji 50-tomową własną biblioteczkę, papier i przybory do pisania, pisarz uzupełnił „Zbrodnie miłości” kilkoma nowymi opowiadaniem, przygotował nowy zbiór nowel: „Boccaccio francuski”. Największym jego dziełem, które powstało w Charenton, był 10-tomowy zbiór rozważań filozoficznych i opowiadań pod przydługim tytułem: „Dni w zamku Florbelle czyli Natura zde-maskowana, oraz pamiętniki księdza de Modose i przygody Emilii de Volnange...”. Rekopis-

tego dzieła, stanowiącego materialistyczne poglądy filozoficzne de Sade'a, po śmierci autora został spalony. Zachował się jedynie zwięzły konspekt dzieła i to w postaci fotokopii.

W szpitalu w Charenton de Sade zajmował się też teatrem. Organizował i reżyserował spektakle teatralne, oparte na jego własnych scenariuszach. Aktorami byli wybrani spośród licznych pacjentów szpitala — miłośnicy teatru. Przedstawienia były organizowane nie tylko dla pensjonariuszy zakładu, ale uczęszczali na nie także zaproszeni przez markiza widzowie z zewnątrz. Cieszyły się one uznaniem i były natchnieniem niektórych pisarzy, jak na przykład Niemca Petera Weissa, autora dramatu o „Męczeństwie i śmierci Jean Paul Marata, przedstawionej przez zespół teatralny szpitala w Charenton pod kierunkiem pana de Sade”. Sztuka ta była wystawiona również w warszawskim teatrze „Ateneum”.

Działalność de Sade'a, nie znalazła uznania przede wszystkim naczelnego lekarza szpitala, dra Antoniego Royer-Collarda. W 1808 r. zażądał on od ministra policji przeniesienia de Sade'a do innego miejsca odosobnienia.

Zdaniem Jerzego Łojki „zaczynając dr Royer Collard czuł się bardziej policjantem niż lekarzem. (...) Na szczęście markiz de Sade miał sprzymierzeńca w osobie dyrektora zakładu, pana de Coulmier, który odrzucił oskarżenia naczelnego lekarza i ze swej strony dowodził, iż udział w przedstawieniach pana de Sade ma zbawienny wpływ na stan umysłowy chorych”.

Mimo sprzeciwu dyrektora Coulmiera, Ministerstwo Policji w 1810 r. poleciło de Sade'a „dotkniętego najniebezpieczniej” umieścić w celi zupełnie odseparowanej od reszty zakładu i zawiesić wszelkie organizowane przez niego przedstawienia. W 4 lata później położenie de Sade'a znacznie się pogorszyło. Chroniący go przed atakami wrogów dyrektor Coulmier został usunięty ze szpitala, a miejsce jego zajął Rouillac de Maupas. Zażądał on od ministra policji natychmiastowego przeniesienia markiza z Charenton do innego miejsca odosobnienia. Ciężki stan zdrowia markiza i nagły jego zgon 2 grudnia 1814 r. położył kres życiu niewygodnego dla policji i dyrektora szpitala pensjonariusza. Został pochowany na cmentarzu przy szpitalnym w Charenton.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

Gdyby ktoś zapytał: Co napisał Julian Ursyn Niemcewicz? — podejrzałbym, że odpowiedź byłaby podobna. Większość odpowiadałaby: „Powrót poła”; wiadomo, to się przerabia w szkole. Wiele dodałoby „Śpiewy historyczne”, mniej „Pamiętniki czasów moich”. No, może jeszcze „Podróże po Ameryce” i to wszystko.

Siwy starzec (kojarzymy sobie jego wygląd z portretem namalowanym pod koniec życia, a zamieszczanym najczęściej w podręcznikach literatury) pisał nudno i w tej chwili nie nadaje się do czytania, mogą się nim zajmować co najwyżej historycy literatury. Wiele takich, delikatnie mówiąc, mocno uproszczonych poglądów funkcjonuje i to nie tylko w ogólnej opinii. Najczęściej dzieje się tak za sprawą szkoły. Tzw. „lektury” czyta się z obowiązku i więcej do pisarza już się nie zagląda. Poza tym biografowie pisząc o wielkich postaciach naszej historii i literatury umieszczają je od razu na piedestale, czyniąc z nich świętości, do których powinno podchodzić się na kolanach. Co, oczywiście, nie czyni im najlepszej reklamy.

Na szczęście, jeśli chodzi o Niemcewicza, istnieje książka (dość trudno dostępna, jedyne wydanie ukazało się w 1939 roku), która przedstawia tę wielce zasłużoną dla naszej historii i literatury postać ot, po prostu, normalnie, jako człowieka z jego wadami i zaletami, z jego miłościami i nienawidziami. Mowa tu o książce Karola Zbyszewskiego pt. „Niemcewicz od przodu i tyłu”. Stanisław Cat Mackiewicz pisze w słowie wstępnym, że autor książki o Niemcewicu, to jeden z najzdolniejszych publicystów „Słowa”, postać niezwykle oryginalna i, krótko mówiąc, książkę poleca. Zresztą, wystarczy tylko przekartkować tę pracę, by zorientować się w lekkości pióra Zbyszewskiego, w jego dość pikantnym, znakomitym humorze. Oto próbka tego stylu: „Julianek lubił balet: oberwał się w bufecie, obtańcowywał panienki, prawil im lekkie komplementy. Umizgi te nie doprowadziły nawet do skromnej macanki. Prawdziwego flirtu nauczyła go dopiero żona dobosza, jedyna Rzepicha, która bezinteresownie uświadamiała kolejno cały korpus; doboszowa pomyślała, że zgrabna, aż zgwałciła zgrabnego, 16-letniego chłopca Julianowi bardzo spodobała się ta nowa musztra i oddawał się jej z wielkim zapalem”.

Rozdział, w którym opisuje romans Juliana Niemcewicza z żoną posła pruskiego, od której przy okazji nasz bohater wyciąga informacje dla prowadzonej przez siebie „Gazety Narodowej i Obcej”, Zbyszewski zatytułował: „Niemcewicz kłeci syna”, i taki passus umieszcza na początku: „Nigdy jej nie było dość. W domu patrzyła żalostnie na swe puste łóżko bolejąc, iż nie ma w nim Jule’a pod koldrą; gdy

Julek lubił balet...

maż wyjeżdżał do Szyszowej, Reichenbachu czy Berlina, pędziła zaraz na Senatorską, do pałacu Błkitnego, skoro nie zastała Niemcewicza, w jego dwóch pokoiach, gryzła meble z rozpaczą — Jouchima nie było w Warszawie przez 16 dni, a myśmy się widzieli przez ten czas wszystkiego 35 razy! — wyrażała Jule’owi”.

A gdy z wizyt ówch na świat po dziewięciu miesiącach przyszedł chłopiec, Lucchesini zdziwił się tylko niezwykle, że urodziło się maleństwo „o wybitnie sarmackim typie”, ale „z właściwym dyplomatycznym zarozumiałstwem przypisał ten twór zręczności swych poczynani”.

Cytować można by tu jeszcze wiele, zainteresowanych jednak odsyłam do źródła. Dodać przy tym trzeba, że Zbyszewski postać Niemcewicza umieszcza na barwnie przedstawionym tle epoki. Opis, na przykład, uczy o Radziwiłłach, Panie Kochanku, to popis wspaniałego humoru, ale nie tylko, to także jakby analiza upadającej Rzeczypospolitej.

I jeszcze jedno, autor, by napisać tę książkę, musiał przetworzyć mnóstwo rękopisów i prac dotyczących XVIII i początków XIX wieku. Dzieło swoje zaopatrzył w liczne przypisy i obszerną, liczącą 193 pozycje bibliografię, pisał je przez 7 lat. Jak więc widać, nie są to fantazje literata, a rzetelna praca, może trochę ubarwiona, co zresztą dodaje jej tylko uroku. A żeby było śmieszniej powiem, że książkę swą Zbyszewski żartobliwie zadedykował młodemu historykowi, aby wiedzieli jak powinni pisać prace doktorskie. I rzeczywiście, można się z niej wiele nauczyć, przede wszystkim, jak pisać, by nie było nudno, by książkę mogło przeczytać jeszcze kilku ludzi poza wąską grupą specjalistów.

Wracając do Juliana Niemcewicza, otóż był czas, że zajmowałem się bliżej tą postacią i przy tej okazji odkryłem książkę, którą uważam za najlepszą, jaką wyszła spod jego pióra. Niestety praca ta jest bardzo mało znana, a powodem tego (pomijam względy, o których mówiłem na początku), jest fakt, że ukazała się w Poznaniu w roku 1876. Tak, tak, nie pomyliłem daty. Mówię tutaj o dwóch tomach „Dziennika pobytu za granicą 1831—1832”. Znakomita to lektura, wiele w niej do dziś aktualnych problemów i celnych bardzo spostrzeżeń natury politycznej. Poza tym Niemcewicz przy okazji opisywania swoich zabiegów dyplomatycznych (przypomnę, że został wysłany na Wyspy Brytyjskie pod koniec Powstania Listopadowego, jako przedstawiciel Rządu Narodowego) opisuje także Londyn, jego okolice i dłuższe podróże, jakie odbywał w głąb Anglii.

Wacław Borowy napisał o „Dzienniku”:

„Niemcewicz uszłako różnił się tym od większości pozostałych naszych pisarzy z emigracji (...), że chociaż wytrwale sprawie polskiej służby i przejęty nią był do głębi, żył jednak równocześnie życiem kraju, w którym przebywał. (...) Mickiewicz i Słowacki latami całymi mieszkali w Paryżu, ale jakże mało tego Paryża w ich pismach. Natomiast z pośpiesznych, z dnia na dzień pisanych notatkach Niemcewicza wylania się rozległy obraz Londynu jego czasów”.

Poza tym w „Dzienniku” widać walkę Niemcewicza — racjonalnie myślącego polityka z Niemcewiczem — artystą, który kieruje się głosem serca, uczuciem, a nie politycznymi realiami. Czytając zapiski widzimy momenty, w których jego działania i odbywane rozmowy wykazywały dużą naiwność, ale już po chwili otrząsał się, by spojrzeć na sytuację okiem wytrawnego polityka. Walka tych dwóch postaw dodaje „Dziennikowi” napięcia, podsyca go jakby dodatkową energią. Bo trzeba powiedzieć, że nie jest „Dziennik” książką nudną. To się czyta! Jestem przekonany, że ktoś, kto nie zna tej książki i zasiadłby do jej czytania, a w głowie oczywiście miałby wbitą opinię, że Niemcewicz to nuda, spoglądałby, co i raz na stronę tytułową: czy to, aby na pewno ten nudziarz? Okazuje się po prostu, że autor „Powrotu poła” był najlepszy w zapiskach czynionych na gorąco, z dnia na dzień. Tutaj dopiero mógł się wyżyć, tutaj dopiero widać jego ogromny temperament. Szkoda tylko, że książka nie może doczekać się nowego opracowania i wydania, z pewnością wielu po jej przeczytaniu zmieniłoby pogląd na tego, jak sądzi, ciekawego pisarza.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

NR 47 (1495), XXIX, 22 LISTOPADA 1986 R.

1 Spojrzenie znad szachownicy

Pół porno-pomysłu

1.

Donoszę, iż posiadam na zbyciu pół porno-pomysłu, a dla tego tylko pół — i to drugie pół — ponieważ pierwsze pół zostało już wcześniej przez kogoś innego wymyślone. Zawsze sprawiał nam jednak pewną trudność wdrożenie nabytej licencji, a także opakowanie wyprodukowanych już towarów, odważyłem tedy pracę myślową w tej mierze, zostawiając właściwym osobom oraz instytucjom banalną część realizacyjną.

Otóż tak: obejrzałem film, powiedzmy, półpornograficzny. Był to taki sobie film, raczej kiepski, opowiadający o pewnej pani — zgrabnej, śniadej i z temperamentem — która wólczać się po świecie przeżywa mnóstwo przygód, w tym erotycznych. Miłośne oblatpianki zostały pokazane dość szczegółowo, sądząc po wprawkach naszych reżyserów podobne kawałki zdołalibyśmy jednak bez większego trudu nakręcić również i w Polsce. Przebiecie jest całkiem inne, rzeczona pani nie tylko bowiem kocha się z tym i owym, ale także sobie wyobraża. Widzi na przykład muskularnego dzikusa kręcącego się po obozowisku rozbitym gdzieś w dżungli i natychmiast wyobraża sobie, co ona mogłaby z tym dzikusiem. A reżyser śmiało to pokazuje i zauważamy, że pani rzeczywiście może dużo, w porównaniu zaś jeszcze więcej.

2.

I to jest pierwsze pół pomysłu. Każdy człowiek, nawet na pozór przywykły, może sobie wyobrazić różne bezczeszczenia, żaden trybunał go za to nie skaza, chyba że niebiański. Wolno nam więc bezkarnie uwieść w myślach cały balet Teatru Wielkiego, obrabować skarbiec dowolnego banku, albo też dać w mordę prelegentowi, który podczas narady zwołanej oczywiście w godzinach pracy truje i truje, że czas pracy należy szanować.

Odskładając prelegenta na inną okazję, jest to bowiem motyw banalnie realistyczny, wróćmy do spraw damsko-męskich. I zapytajmy, czy taki na przykład Władysław Jagiełło nie mógł tuż przed rozpoczęciem bitwy pod Grunwaldem powrócić myśłami do lat młodzieńczych, kiedy to hen w litewskich borach napotkał hożą dziewczynę, która okazała się być tak bardzo miła dla przyszłego króla, jak tylko proste dziewczyny miały być potrafią?

Oczywiście, że Jagiełło mógł sobie coś takiego pomyśleć, czy pomysł, nie wiadomo, skoro jednak mógł, my to odważnie nakręcimy, angażując wszelkie dublery, raz przez szacunek dla króla, dwa — żeby się starsza osoba nie fatygowała.

Podobną metodą da się przyozdobić każdy dosłownie film — już istniejący, a także będący w produkcji — w tym filmy z dziełkami bohaterami, jeden z drugim pętał bardzo lubi sobie bowiem wyobrazić, co on takiego nie zrobi, kiedy już będzie dorosły. Przepytany będzie wprawdzie tłumacz, że chciałby zostać nowym Bonikiem, albo nawet marynarzem, ale my czytaliśmy Freuda i wiemy: marynarz nie marynarz, pitka nie pitka, a zawsze chodzi o jedno i to samo.

3.

Teraz pozostaje rzecz wdroyć i opakować.

Rozgrzamy taki wariant: filmy w naszej nowej, wspaniałej wersji przeznaczamy wyłącznie na eksport, swojakom zaś pokazujemy filmy bez dokrętek, żeby ich przedwcześnie nie rozpaskudzić.

Będzie może ktoś coś od nas kupi, ciekaw, jak też wypadłoby w nowej konkurencji, odmowa zakupu nie przejmujemy się jednak wcale, mieści się ona bowiem w naszym planie strategicznym. Filmy składujemy i odtajniamy stopniowo, udając

oczywiście, iż ulegamy naciskom opinii publicznej, a że odrzuty z eksportu były, są i długo pewno będą w ogromnej wręcz cenie, podrożeń biletów, pięć do dziesięciu razy nie okaże się z pewnością przesadą.

Tak postępujemy z dziełami, które nie bardzo się udają, na przykład gdy doangażowana w kawiarni p.o. artystka okaże się jakąś krościatą, bez biustu, słowem do niczego. Jeżeli trafi się prawdziwie mocny kawałek, skierujemy go na eksport wewnętrzny, twierdząc, że wsad dewizowy (cokolwiek by to nie oznaczało) był znaczny i po prostu nie możemy inaczej.

Filmy za złotówki wyświetlać będziemy w wielkich salach, za dewizy — w jak najmniejszych. Kryje się tu kolejna chytrkość, skoro bowiem jeden z drugim dewizowy cwaniak nie dopcha się ze swoimi parszywymi dolarami do kasy, nazajutrz będzie się pchał jeszcze zacieklej, ale właśnie od jutra podniesiemy ceny. Jeżeli poleci do koników, też się nie wzmieni, jako że koników będziemy mieli w ilościach zangażowanych na procent bądź umowę-zlecenie.

Tek wydobyciowy film polski z tarapatów finansowych będzie w przyszłości mógł dawać każdemu reżyserowi tyle milionów do wydania, ile tylko wydać lubi i potrafi, a czyż jest coś piękniejszego nad spełnianie ludziom drobnych pragnień?

JERZY P.

2

Nagle zastępstwo

Cytuję z pamięci

Telewizja nasza, nasze na świat okienko, obchodzi — skromnie jakoś — swoje trzydziście. Właściwie tylko „Szpilki” uczciły godnie ten jubileusz poświęcając mu cały numer. A w tym numerze: ho ho! Lapidarna, lakoniczna, ale także dosadna monografia historyczna, ze szczególnym uwzględnieniem charakterystyk wszystkich kolejnych szefów Radiokomitetu. Któż ach ktoż spośród prezesów zasłużył sobie na najsurowszą ocenę?

Nie, proszę państwa, jesteście w błędzie, to nie Maciś, któremu zresztą w swoim czasie „Szpilki” doszły, o doszły. Teraz się okazało, że najgorszy był jednak szef ostatni, Wielki Reorganizator i Reformator, który narobił w TV i w radiu tyle bałaganu, że strach... A gdzie były „Szpilki” za prezesury Mirosława Wojciechowskiego? Gdzie się podział błędy satyry i bezkompromisowej krytyki, kiedy prezes był w łaskach?

No cóż. W tychże „Szpiłkach” wyczytałem niedawno taką maksymę: „...są oczywiście odważni, którzy podskakują i pokrzykują, ale to krzyki jawne udane, zaplanowane na to, żeby ktoś ważniejszy i znacniejszy odnotował te piskliwe istnienia (...) Merdniecie ogonkiem dla władzy, by zauważyła, szczeniaki na boki, by inni odnotowali. Tyle że jako przykład na odwagę dosyć groteskowe!”

Hm. Rzeczywiście. Jako przykład na odwagę, dosyć groteskowe...

Bicie leżące u nas rzeczniowa. Było tego, było w niedawnych latach. A i nadal się zdarza (vide: ataki na byłego ministra finansów, byłego redaktora naczelnego „Poezji” itp.) Ja otóż, skoro już o telewizji piszę, nikogo leżące nie atakuję. Wprost przeciwnie, mnie się akurat nie podobają w telewizyjnym okienku ci, którzy się tam dobrze mają, wyglądają na szczęśliwych i zadowolonych, jak choćby redakcja sportowa in corpore. Co wieczór radosne buźki, a już w poniedziałek, w „Echach stadionów” to wprost do rozpuku Tymczasem stan naszego spor-

tu jest ogólnie taki, że gdyby w TV obowiązywała jakaś adekwatność treści i formy to prezydent wiadomości sportowych winni występować we włosienicach, nie ogoleni i zaplani...

Taki np. red. Andrzej F. Zmuda, zamiast robić konkurencję australijskim serialom w dziedzinie konfekcji męskiej mógłby założyć habit i przyjmować pozy, znane wszystkim z obrazu Jana Matejki pt. „Kazanie Skargi”. W pełni natomiast akceptuję red. Marię Bojarską. Ubrana to była jak, nie uczesane, paple jak Piekarski na mękach. I to jest właśnie to!

Do innych, najszcześliwszych ludzi na świecie, co zazdrość na nich patrzeć, zalicza się główny muzykolog TV, red. Bogusław Kaczyński. Jest to człowiek, który był — jak sądzę — genialnym dzieckiem. Wobec tego zastosowano wobec niego indywidualny tryb nauczania. Nauczają go muzyki i takich różnych, a na dodatek zastosowano wobec niego specjalny eksperyment. Nauczono go, mianowicie przymiotników wyłącznie w formie superlatyw i innych, o znaczeniu pejoratywnym, nie uczono go wcale. Toteż dla pana Kaczyńskiego każda miła, która tylko jako tako cłannie smyczkiem po instrumencie jest „wspaniała, znakomita artystką”. Dotyczy to również tenorów bieżących jak zarzynane barany i sopranów, brzmiających jak zrzuty grzebienia po szybie.

Wszyscy są „najwspanialszy, cudowni, niezapomniani” itp. itd. Inny gatunek moich telewizyjnych ulubieńców to „opowiadacze” TV nasza naidroźsza nie pozwoli obejrzeć filmu dokumentalnego bez wstępnej pogaduchy Jerzego Trunkwaltera, wznowienia spektaklu teatralnego bez stękania Jerzego Koeniga, ostatnio nawet kabaretu Ogi Lipińskiej bez snobistycznych pogaduszek aktorów z panią Olgą, do których wtrąca się jeszcze Mariusz Jeliński (miniaturka Kaczyńskiego, też mu się wszystko podoba).

Wszyscy tacy faceci „opowiadacze” właśnie, muszą przed właściwym programem coś istotnego wyjaśnić: Koenig obwieści wszem i wobec takie rewelacje, jak np. kto to był Brecht a kto Czechow, Trunkwalter wyjaśni, że film o wyspach Gula-Gula jest akurat właśnie o tych wyspach, a nie o wyspach Gula-Hula, które leżą nieco dalej.

A taki np. doświadczony dziennikarz telewizyjny jak Andrzej Bilik powie, że pomoc USA dla Egiptu nie ma wpływu na poprawę gospodarki tego kraju, bowiem jest to pomoc wyłącznie zbrojeniowa. I do brze, tylko że za dwie minuty, w tym samym programie mówi, że bez amerykańskiej pomocy gospodarka Egiptu rozchwiała by się dokumentnie... (Cytuję z pamięci. A.K.)

Niemniej jednak lubię telewizję i życie jej dalszych sukcesów, zarówno w pracy zawodowej i społecznej jak i w życiu osobistym.

ANDRZEJ KAROL

3

Padające drzewa

Dawno, dawno temu, gdy Mieczysław Cwikliński powrócił do Polski, jeździła po całym kraju ze sztuką „Drzewa umierają stojąc”. Była już w podeszłym wieku, a przecież chciała się jeszcze pokazać polskiej publiczności, która znała ją przeważnie z filmów i lubiła. Tytuł tej sztuki wydawał mi się niebywale trafny, gdyż rzeczywiście drzewa umierają stojąc. I byłbym pozostał o tym przekonany, gdyby nie kilka wizyt w parku, jaki znajduje się pomiędzy ulicami: Lecznica, Juliusza Słowackiego, I-

gnacego Łukasiewskiego, Kasowa.

Jest to piękny park. Mały, ale bardzo sympatyczny. Zasadzony okazami rzadkich drzew. Jest wśród nich młorząd. Jest to drzewo dwupienne, osiagające wysokość do 40 metrów. Rosnie głównie w południowo-wschodnich Chinach. W Polsce spotyka się to drzewo głównie — i chyba wyłącznie — w parkach. Ma rzadko spotykane liście, przypominające małe wachlarzyki. Rosną w tym parku różne odmiany klonów. Są piękne wierzby, topole i kilka japońskich wiśni. Jest — a właściwie była — pergola z dzikim winem. Pod tą pergolą, gdy była cała i dawała cieniu, i półmrok wieczorem, siadali na ławeczek zakochani. Latem ławeczki przed pergolą, wokół kłombów z pięknymi kwiatami różami, zajmowali emeryci i matki z małymi dziećmi. Wygrzewali się na słońcu i doglądali bawiących się dzieciaków. Ale ten sielankowy obraz staje się coraz bardziej przesiąknięty. Dziś park ten wygląda opłakanie.

Właśnie w tym parku przekonałem się, że prawda o drzewach, które umierają stojąc jest względna. Drzewa też padają. Padły już niemal wszystkie wiśnie japońskie, które wiosną przepięknie kwitły. Padają inne drzewa. Trawią je jakieś drzewne choroby. Zawalają się pod ciężarem dzikiego wina w kilku miejscach, nie remontowana, pergola. Nocni chuligani połamali ławki. Piękny park, w którym tak przyjemnie było odpoczywać, przedstawia dziś smutny, żalostny widok ginącego parku. Wydaje się być parkiem bez opiekuna.

Kiedyś parkami opiekowały się szkoły. Były nawet takie emaliowane tabliczki, na których pisało jaka szkoła opiekuje się jakim parkiem. Było to ładne. W pobliżu tego parku, o którym piszę, też jest szkoła: podstawowa i liceum. Uczniowie tych szkół wiosną i wczesną jesienią siedzą w kłombach na ławkach i albo zawiąże o czymś dyskutują, albo z czegoś śmieją się i żartują. Będ może park ten nadal do nich przynależny, kiedyś widziałem grupkę uczniów coś tam w parku sprzątających. Ale to nie zastąpi należytej opieki fachowców.

Parkiem tym powinni zainteresować się specjaliści z przedsiębiorstwa opiekującego się zielenią miejską, a także botanicy z Uniwersytetu Łódzkiego. Może rzadkie okazy drzew, którym grozi podcięcie, dalyby się jakoś uratować. Byłoby to z pewnością dla wszystkich. Nigdy bowiem za dużo zieleni.

Zastanawiam się nad tym, czy urbanizacja musi koniecznie stanowić koniec zieleni? Z przykrością patrzę na drzewa na ulicach Łodzi, które późną wiosną przeżywają już jesień, żółkną im i opadają liście. Czy nie ma jakiegoś sposobu na podtrzymanie życia tych drzew? W Moskwie na przykład skonstruowano specjalny samochód, który jeździ po ulicach tego wielkiego miasta i „dokarmia” drzewa. Zdjęcie takiego samochodu publikowało niedawno „Express Ilustrowany”. Moskwa jest wielkim miastem, dużo większym od Łodzi. Takiemu wielkiemu miastu potrzeba więcej zieleni. I stąd być może ta ogromna troska o zieleni. Ale czyż to ma usprawniwać Łódź tylko dlatego, że jest mniejsza, więc mniej musi dbać o zieleni? Nie sądzę. Łódź się ciągle rozrasta i będzie się rozrastała. Pod wieżowce, bloki, pawilony i ulice idą dziesiątki hektarów, na których spokojnie mogłyby rosnąć drzewa i krzaki. Dziś na szczęście nie postępuje się tak bezwzględnie z drzewami i krzakami, jak niegdyś, to co można zostawić się. Ale to początek. To mało. O te drzewa trzeba dbać. I wymagać, aby dbali o nie również mieszkańcy okolicznych domów.

Ludzie! Nie pozwólcmy, aby obok nas padały drzewa! Te padające drzewa bardzo źle o nas świadcza. Dowodzą, że nie potrafimy czuć się częścią przyrody, czym przecież faktycznie jesteśmy, że nie rozumiemy związku, jaki istnieje między nami a otaczającym nas światem. Ze daliśmy się obojętności przeciw sobie. Nie potrafimy zrozumieć, że padające drzewa — to produkt współczesnej cywilizacji, która stworzona przez człowieka i dla niego, przeciw niemu się w końcu obraca.

WITOLD BOROWY

ODGŁOSY 15

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(26)

Czyż nie jest to prosta droga do celu? Należy tylko użyć właściwego zaklęcia. Pochwała w rodzaju: „Uważam, że ten twór jest świetny” może swoim brakiem krytycyzmu budzić uzasadnioną nieufność, ale już wyartykułowana z udaną niechęcią i z udaną zawiścią opinią: „Co mi się spodobało w twoim opowiadaniu, to...” sprawia, że Doreen staje się przystępna i uległa.

— Nie zapomnij zgasić go w popielniczkę, Jerry.
— Oczywiście, Doreen. Dzięki.

I trzeba będzie w Valdosta koniecznie odkupić jej ten puder!

Jeremy zwolnił, bo dojeżdżał do Sylacauga. Z lewą dłonią, którą wspierał na kierownicy jak wieszak przytrzymujący w natchnięciu karty rozwarłej księgi, podjął:

— W porządku, posłuchaj. Mmm... taka nowelka o facie piszącym powieść. Jest już przy ostatnich rozdziałach, kiedy nagle gubi wątek. W głowie ma bezdenną pustkę. Siedzi nad czystym arkuszem papieru, mija jedna godzina, mija druga, mija trzecia, wreszcie facet traci cierpliwość i przez ramię zwraca się do swojej Muzy:

„Hej, no i co jest?”
„Pojęcia nie mam!” — odpowiada mu głos zza światów.

„Czekam, aż zaczniesz dyktować”.

„Wiem, ale Nadmuza milczy”.
„Jaka znowu nadmuza?” — piekili się facet.

„Nadmuza, czyli istota, która dyktuje mi nie. Przypuszczam, że zasnęła”.

„Nie zasnęłam, nie zasnęłam” — rozlega się inny głos, z jeszcze dalszych światów.

„Tylko ten idiota...”

Aha, bo musisz wiedzieć, że głównym bohaterem tej powieści jest pisarz. On także pracuje nad powieścią i jej treść poznajemy dzięki monologom wewnętrznym narratora. Facet dojechał akurat do miejsca, w którym jego bohater przeżywa kryzys i przestaje pisać. I właśnie ten inny głos, z jeszcze dalszych światów, powiada:

„Nie zasnęłam, nie zasnęłam, tylko ten idiota pozbawił możliwości tworzyć swojego bohatera, który z kolei dyktuje mi nie. Koło się zamknęło i jeżeli ktoś z nas czworga czegoś nie wymyśli, nie wybrniemy z tego do końca świata”.

— Trochę to jakby z wczesnych utworów Vonneguta i Howarda Schoenfelda — orzekła Doreen. Uniosła w palcach spod sukienki i powachlowała się nią, naganając powietrze między rozłożone nogi. — Nie mówiąc już o Borgesie czy Nabokowie.

Moje opowiadania — pomyślał Jeremy z gorczy — zawsze przypominają ci wczesne utwory Czyjeś-tam. Oświadczył jednak pogodnie:

— Spodziewam się, że w twojej maszynie do pisania nowelka ta nabierze świętych rumieńców. Pod wieloma względami jesteś niezastąpiona, kotku. — To było adresowane do jej próżności. Teraz wypada okazać współczucie i dżentelmeńską troskę. — Morderczy skwar, co? — Niezręczna odzywka, ale od czegoż trzeba przecieć zacząć. — Poprosimy jutro Ryana, żeby rzucił okiem na tę pieprzoną aparaturę klimatyzacyjną.

— Ryana? Kto to jest Ryan?
— Dawny mój znajomy. Ma warsztat samochodowy w pobliżu Lake City. — Diabła tam ma warsztat, zmarł kupe lat temu. Ale niech no Doreen spróbuje mnie powstrzymać, kiedy już wjedziemy na autostradę do Jacksonville. Popędzę na Wybrzeże z takim gazem, że nawet mój własny smród mnie nie dogoni. — To prawie po drodze.

Doreen zwilżyła językiem wargi. I z powątpiewaniem popatrzyła na swojego kolegę.

— Ten mechanik z Fort Smith powiedział, że naprawa potrwa cały dzień. A ja nie mam zamiaru tkwić tak długo

w jakimś Fort Smith czy Lake City tylko dlatego...

— I ten drań doskonale o tym wiedział — wtrącił Jeremy. — Myślał, że naciągnie nas na podwójną zapłatę za pospiech. Bo to jest robota na pięć minut, zapewniam cię. W każdym razie tyle zajmie ona Ryanowi. — Tam, gdzie on przebywa obecnie, zajęłaby mu jeszcze mniej. — I zrobi to dla mnie po kosztach własnych.

Doreen nadal miała wątpliwości.

— Pięć minut? — powtórzyła z roztargnieniem. — Wiesz, mnie się nie śpieszy i gwizdę na ponaglenia Dana. Tylko ta cisza wokół Eliasa nie daje mi spokoju. — Potrzęsła włosami. — Jego gadanie o złożeniu życia w ofierze jest zwykłym chwytym reklamowym, masz rację, Jerry. Ale na tym świecie nie brakuje wariatów. Ani rewolwerów. I ktoś może załatwić tę sprawę za niego. Zebymy przypadkiem nie przyjechali tam, kiedy słowo stanie się ciałem.

— A ja ogromnie na to liczę. Pomyśl o tym reportażu: „ELIAS ZAMORDOWANY — OSTATNIE GODZINY JEGO ŻYCIA”. Dla takiego tytułu sam bym chętnie ożenił skurwielą z kawałkiem ołowiu, rany boskie.

FRAGMENT EGZEGEZY Z „EWANGELIARZA ELIASA”

...stworzyła A i Energia 3 Niech światłość pierwszego okolicznych oślepiającym blask światła siwe, można by. materię i a. będzie Nikt atomowego na niebie została niż złote niebieskie gran, zobaczyć 1, się Czysta wybuchu i blaskiem potłudnie fioletowe szczelne pięknem, z początku materia, I stała, górach wielokrotnie, Oświeciło wyrazistością trzeba Czysta niekształtna w światłość zobaczył większym, pobliskiego, Na martwa wodoru, biały o purpurowe tańcucha mój i Czysta; tylko natężeniu i których, wypielniła się: odbłask wzgórek je była Energia na próżnie, i zobaczyli to opisać Było oślepiający ciemność obecnych, które unosiła, każdy 2 nie, próżnię okolica sobie z gór i nie Cała w atomach wyobrazić, słonca i. Energia oświeciła na rzekta błysku...

Z „EWANGELIARZA ELIASA”

Do siedemdziesiątej drugiej sekundy po godzinie „G”.

50 kilometrów od punktu „0”. Florence klęczała nad harcerskimi zwłokami swojego ojca...

— Pan Leinster... szlochając i pokwikuąc coraz ciszej, po raz ostatni przed dłuższą przerwą w nadawaniu wystąpił w eter swój sygnał rozpoznawczy:
— K u r-d e l!

Więc on myślał, że w końcu postawił na swoim, co? To się jeszcze okaże! Ona pójdzie na tę randkę — tak czy owak, pozwoli Murrayowi sięgnąć wszędzie, może nawet pozwoli mu na wszystko, i niech ten świat, cholera, się zawali!

Potem Florence znowu spojrzała za siebie. Daleko od niej i wysoko nad miastem skrytym za krancem wódnołęgu, w miejscu gdzie wczesniej królowała gasząca kula ognista, unosiło się burawo-szare cielsko gigantycznej meduzy. Skręcając w konwulsjach parło ono w górę po nieboskronie, wypuszczając spodem nitkowate, strzępiaste pseudopodia, jakby chciało uchwycić się ziemi. Gorącego, stężałego powietrza

nie macił najłżejszy powiew i żaden dźwięk nie zakłócał ciszy, ciszy absolutnej, która zapada nad światem tylko w ułotnych i rzadkich chwilach zwątpienia Wyższych Hierarchii Duchowych, a która panowała teraz wszechwładnie, chociaż Hierarchie owe już się otrząsnęły i działając w podległych im królestwach minerałów, roślin, zwierząt i ludzi, usiłowały ograniczyć rozmiary hekatomby.

Florence wyteńczyła słuch. Doznawała złudzenia, że w ciszy tej dolatują do niej odgłosy wyteżonej, szaleńczej pracy Pomocników Stwórcy. Brzmiały one niczym pogwar ludzkiej mowy, dalekiej i tak nikłej jak szmer przesypanywego piasku.

— Bo... ba... om... ba... bom... — Bomba? — powtórzyła. Jej oczy wciąż wpatrzone w gązową meduzę zaczęły otwierać się coraz szerzej i Florence nagle wrzasnęła.

Skoczyła na równe nogi i wrzasnęła po raz drugi.
— Bomba!

I tam, w zaroślach pod kępą drzew, kaleząc się o kłujące, sprężyste pędy i chropowate gałęzie, wykonała trwającą prawie dziesięć sekund weselny taniec. Tańcem tym było fandango Boże-co-ja-mam-robic.

Tak oto przez nieświadomą Florence dopelniony został rytuał posłubienia Tego, Który Ją Stworzył. Odtąd, mimo że podejmować ona będzie częste stosunki cielesne z rozmaitymi partnerami, nigdy nie spodzi zdrowego dziecka. Jej prawowicie posłubiony Małżonek zadrośnie zadda, by płodziła same potworki. Wiele z nich urodzi się martwych.

Pięcioletni Powell tymczasem maszerował po wertepach w kierunku szosy, wypatrując drogi przez fruwające rzęście białe i różowe płaty, które zastaniały mu widok. Dzielnie zachowywał hart ducha i nawet nie zdawał sobie sprawy, że dyszy i pojekuje — z powodu trapiących go obaw i rozpieranej własną odwagą. Mac-Oonagh uratował swoją mamę z pożaru i on pragnął także uratować swoją mamę z pożaru. Miał ekscytującą nadzieję, że pali się ona na cztery fajerki i potrzebuje jego pomo-

cy jak diabli. Ale chociaż rozglądał się bacznie dokoła, nigdzie nie widział żadnego ognia, bodaj jednej małej iskry, i był to fakt niepokojący.

Uszy do góry, Stephensonie Baden-Powell! Jest lepiej niż myślisz. To jednak dzieje się już gdzie indziej: trzydzieści osiem kilometrów od punktu „0”.

38 kilometrów od punktu „0”. Ntepokój Powella był nieuzasadniony, bo pani Leinster...

— Pani Leinster

...palila się rzeczywiście na cztery fajerki — płomieniem pełnym, żywym i trzaskającym. Ale nie potrzebowała już pomocy i nawet niespożyty Mac-Oonagh nie by tu nie wskórał. Była teraz bryłą zwięzłego mięsa o kształcie androidalnym, z której przez różne otwory tryskały smutki dymu i pary wodnej i wypływał stopiony tłuszcz, podsycając ogień.

Mniej więcej w tej samej odległości od punktu „0” co Margaret Leinster, tyle że bardziej na północ, Lucy zgubiła rytm i została wykluczona z kręgu tańczących w motelowym hallu. Robiąc piruet wpadła na nadbiegającą kobietę w szlafroku i w papilotach.

— Chcę stąd wyjść! — pisnęła. — Chcę stąd wyjść!

— Zamknij się! — rozkazała ta kobieta. — Zamknij się, psiamac, łalunia!

— Chcę stąd wyjść! Niech mnie pani wypuści! — Z nieświadomych powodów, ale całkiem słuszenie Lucy uznała, że ma przed sobą żonę właściciela motelu. — Chcę stąd wyjść, rozumie pani?

— No to jarda! Tam! — Silnym pchnięciem kobieta nadszła jej odpowiedni kierunek i pewną predkość początkową, znacznie jednak ustępującą predkości początkowej ułomka masztu telewizyjnej anteny, kiedy wyruszył on w konkury wyekspediowanej przez Atomową Swatkę. — I zamknij wreszcie tę swoją jadaczkę! Tam jest tylne wyjście.

— Nieustannie ginęli ludzie... Nieustannie ginący ludzie, rosła liczba osób... O, tutaj ktoś znowu. I tam. I tam! I tam i tam, i tam! I znowu tutaj jakichś dwóch

Jedną... Nie wiadomo, czy to intuicja, czy może dostrzeżona przez niego zmiana zachodząca w otoczeniu uprzedziła go o nadejście fali uderzeniowej. Dość, że kapitan McLorren rzucił się na ziemię, robiąc przedtem dwa długie skoki w stronę najbliższego domu, by znaleźć tam osłonę. Był to tragiczny błąd.

Zanim dosięgnął on bruchem chodnika — co trwało dłużej niż w warunkach normalnych, ponieważ front Macha wytworzył pod nim poduszkę powietrzną i opóźnił jego upadek o bez mała dwie sekundy — dom, który miał dać mu osłonę, zaczął się trząść i rozpadać. Wązacy dwie i pół tony dach zadalił nawietrzną swoją krawędź w górę, a następnie unosząc ją nieprzerwanie coraz wyżej, jakby to ktoś w oczekiwaniu niespodzianki otwierał wieko szkatuły (podczas gdy pozostałe części składowe w ogłuszającym trzasku odrzuwały się od szkieletu konstrukcji) — dach ten stanął sztorcem, po czym z hukiem runął na wznak i przgniół McLorrena. Siłą bezwładności i pchany podmuchem przesunął się jeszcze kilka metrów, szorując tylną potacją po chodniku, by wreszcie zniechęcić w centrum nawiatnicy.

Kapitan wojsk lądowych Norman McLorren został rozsmarowany po betonik jak pasztet po grzance.

— Kapitan wojsk lądowych Norman McLorren

Cztery przecznice... och, nie. Stąd będzie bliżej. No więc trzy przecznice od tego miejsca, w Świątyni Przeciwnatomowej Putkownika Dowda, z nie-

mał jednocześnie szczególnie-

Plaskając bosymi stopami (w rytmie: Plask!-plask!-plask!-plask!-plask! — i tak dalej) Lucy tagodnym zakolem obie-gła kontuar recepcji, minęła jedne drzwi, minęła drugie drzwi i już była na dworze.

Mniej więcej w tym samym momencie, w którym Florence w zaroślach pod kępą drzew wykonała pierwsze pas fandanga Boże-co-ja-mam-robic, Lucy na podjeździe za motelem także puściła się w tany. Cztery susy w lewo, siedem susów w prawo, dwa susy w przód, dwanaście susów znow w lewo i...

26 kilometrów od punktu „0”. — Najważniejsze, żeby się znaleźć w schronie. — Kiedy kapitan wojsk lądowych Norman McLorren wypowiedział te słowa do siebie ponownie, zostało mu jeszcze osiem sekund życia...

Osiem... „jeśli nie liczyć jednej sekundy konania.

Siedem... Na razie, szczerze opatulony w płaszcz kąpielowy, jak dawny pielgrzym w burkę...

Sześć... „jeśli nie liczyć jednej sekundy konania.

Pięć... „szedł chwiejnym klusem środkiem alei...”

Cztery... „która przejęciowo nosiła miano Dziewięćdziesiątej Siódmej Wschodniej Alei Pożarowej i która nosić będzie jeszcze przez trzy sekundy...”

Trzy... „a wokół niego, wśród dymu, płomieni, rozpaczliwych nawoływani i oznak obłędu...”

Dwie... „nieustannie ginęli ludzie...”

— Nieustannie ginący ludzie, rosła liczba osób... O, tutaj ktoś znowu. I tam. I tam! I tam i tam, i tam! I znowu tutaj jakichś dwóch

Jedną... Nie wiadomo, czy to intuicja, czy może dostrzeżona przez niego zmiana zachodząca w otoczeniu uprzedziła go o nadejście fali uderzeniowej. Dość, że kapitan McLorren rzucił się na ziemię, robiąc przedtem dwa długie skoki w stronę najbliższego domu, by znaleźć tam osłonę. Był to tragiczny błąd.

Zanim dosięgnął on bruchem chodnika — co trwało dłużej niż w warunkach normalnych, ponieważ front Macha wytworzył pod nim poduszkę powietrzną i opóźnił jego upadek o bez mała dwie sekundy — dom, który miał dać mu osłonę, zaczął się trząść i rozpadać. Wązacy dwie i pół tony dach zadalił nawietrzną swoją krawędź w górę, a następnie unosząc ją nieprzerwanie coraz wyżej, jakby to ktoś w oczekiwaniu niespodzianki otwierał wieko szkatuły (podczas gdy pozostałe części składowe w ogłuszającym trzasku odrzuwały się od szkieletu konstrukcji) — dach ten stanął sztorcem, po czym z hukiem runął na wznak i przgniół McLorrena. Siłą bezwładności i pchany podmuchem przesunął się jeszcze kilka metrów, szorując tylną potacją po chodniku, by wreszcie zniechęcić w centrum nawiatnicy.

Kapitan wojsk lądowych Norman McLorren został rozsmarowany po betonik jak pasztet po grzance.

— Kapitan wojsk lądowych Norman McLorren

Cztery przecznice... och, nie. Stąd będzie bliżej. No więc trzy przecznice od tego miejsca, w Świątyni Przeciwnatomowej Putkownika Dowda, z nie-

mał jednocześnie szczególnie-

Plaskając bosymi stopami (w rytmie: Plask!-plask!-plask!-plask!-plask! — i tak dalej) Lucy tagodnym zakolem obie-gła kontuar recepcji, minęła jedne drzwi, minęła drugie drzwi i już była na dworze.

Mniej więcej w tym samym momencie, w którym Florence w zaroślach pod kępą drzew wykonała pierwsze pas fandanga Boże-co-ja-mam-robic, Lucy na podjeździe za motelem także puściła się w tany. Cztery susy w lewo, siedem susów w prawo, dwa susy w przód, dwanaście susów znow w lewo i...

26 kilometrów od punktu „0”. — Najważniejsze, żeby się znaleźć w schronie. — Kiedy kapitan wojsk lądowych Norman McLorren wypowiedział te słowa do siebie ponownie, zostało mu jeszcze osiem sekund życia...

Osiem... „jeśli nie liczyć jednej sekundy konania.

Siedem... Na razie, szczerze opatulony w płaszcz kąpielowy, jak dawny pielgrzym w burkę...

Sześć... „jeśli nie liczyć jednej sekundy konania.

Pięć... „szedł chwiejnym klusem środkiem alei...”

Cztery... „która przejęciowo nosiła miano Dziewięćdziesiątej Siódmej Wschodniej Alei Pożarowej i która nosić będzie jeszcze przez trzy sekundy...”

Trzy... „a wokół niego, wśród dymu, płomieni, rozpaczliwych nawoływani i oznak obłędu...”

Dwie... „nieustannie ginęli ludzie...”

— Nieustannie ginący ludzie, rosła liczba osób... O, tutaj ktoś znowu. I tam. I tam! I tam i tam, i tam! I znowu tutaj jakichś dwóch

Jedną... Nie wiadomo, czy to intuicja, czy może dostrzeżona przez niego zmiana zachodząca w otoczeniu uprzedziła go o nadejście fali uderzeniowej. Dość, że kapitan McLorren rzucił się na ziemię, robiąc przedtem dwa długie skoki w stronę najbliższego domu, by znaleźć tam osłonę. Był to tragiczny błąd.

Zanim dosięgnął on bruchem chodnika — co trwało dłużej niż w warunkach normalnych, ponieważ front Macha wytworzył pod nim poduszkę powietrzną i opóźnił jego upadek o bez mała dwie sekundy — dom, który miał dać mu osłonę, zaczął się trząść i rozpadać. Wązacy dwie i pół tony dach zadalił nawietrzną swoją krawędź w górę, a następnie unosząc ją nieprzerwanie coraz wyżej, jakby to ktoś w oczekiwaniu niespodzianki otwierał wieko szkatuły (podczas gdy pozostałe części składowe w ogłuszającym trzasku odrzuwały się od szkieletu konstrukcji) — dach ten stanął sztorcem, po czym z hukiem runął na wznak i przgniół McLorrena. Siłą bezwładności i pchany podmuchem przesunął się jeszcze kilka metrów, szorując tylną potacją po chodniku, by wreszcie zniechęcić w centrum nawiatnicy.

Kapitan wojsk lądowych Norman McLorren został rozsmarowany po betonik jak pasztet po grzance.

— Kapitan wojsk lądowych Norman McLorren

Cztery przecznice... och, nie. Stąd będzie bliżej. No więc trzy przecznice od tego miejsca, w Świątyni Przeciwnatomowej Putkownika Dowda, z nie-

mał jednocześnie szczególnie-

Plaskając bosymi stopami (w rytmie: Plask!-plask!-plask!-plask!-plask! — i tak dalej) Lucy tagodnym zakolem obie-gła kontuar recepcji, minęła jedne drzwi, minęła drugie drzwi i już była na dworze.

Mniej więcej w tym samym momencie, w którym Florence w zaroślach pod kępą drzew wykonała pierwsze pas fandanga Boże-co-ja-mam-robic, Lucy na podjeździe za motelem także puściła się w tany. Cztery susy w lewo, siedem susów w prawo, dwa susy w przód, dwanaście susów znow w lewo i...

26 kilometrów od punktu „0”. — Najważniejsze, żeby się znaleźć w schronie. — Kiedy kapitan wojsk lądowych Norman McLorren wypowiedział te słowa do siebie ponownie, zostało mu jeszcze osiem sekund życia...

Osiem... „jeśli nie liczyć jednej sekundy konania.

Siedem... Na razie, szczerze opatulony w płaszcz kąpielowy, jak dawny pielgrzym w burkę...

Sześć... „jeśli nie liczyć jednej sekundy konania.

Pięć... „szedł chwiejnym klusem środkiem alei...”

Cztery... „która przejęciowo nosiła miano Dziewięćdziesiątej Siódmej Wschodniej Alei Pożarowej i która nosić będzie jeszcze przez trzy sekundy...”

Trzy... „a wokół niego, wśród dymu, płomieni, rozpaczliwych nawoływani i oznak obłędu...”

Dwie... „nieustannie ginęli ludzie...”

— Nieustannie ginący ludzie, rosła liczba osób... O, tutaj ktoś znowu. I tam. I tam! I tam i tam, i tam! I znowu tutaj jakichś dwóch

Jedną... Nie wiadomo, czy to intuicja, czy może dostrzeżona przez niego zmiana zachodząca w otoczeniu uprzedziła go o nadejście fali uderzeniowej. Dość, że kapitan McLorren rzucił się na ziemię, robiąc przedtem dwa długie skoki w stronę najbliższego domu, by znaleźć tam osłonę. Był to tragiczny błąd.

Zanim dosięgnął on bruchem chodnika — co trwało dłużej niż w warunkach normalnych, ponieważ front Macha wytworzył pod nim poduszkę powietrzną i opóźnił jego upadek o bez mała dwie sekundy — dom, który miał dać mu osłonę, zaczął się trząść i rozpadać. Wązacy dwie i pół tony dach zadalił nawietrzną swoją krawędź w górę, a następnie unosząc ją nieprzerwanie coraz wyżej, jakby to ktoś w oczekiwaniu niespodzianki otwierał wieko szkatuły (podczas gdy pozostałe części składowe w ogłuszającym trzasku odrzuwały się od szkieletu konstrukcji) — dach ten stanął sztorcem, po czym z hukiem runął na wznak i przgniół McLorrena. Siłą bezwładności i pchany podmuchem przesunął się jeszcze kilka metrów, szorując tylną potacją po chodniku, by wreszcie zniechęcić w centrum nawiatnicy.

Kapitan wojsk lądowych Norman McLorren został rozsmarowany po betonik jak pasztet po grzance.

— Kapitan wojsk lądowych Norman McLorren

Cztery przecznice... och, nie. Stąd będzie bliżej. No więc trzy przecznice od tego miejsca, w Świątyni Przeciwnatomowej Putkownika Dowda, z nie-

mał jednocześnie szczególnie-

Plaskając bosymi stopami (w rytmie: Plask!-plask!-plask!-plask!-plask! — i tak dalej) Lucy tagodnym zakolem obie-gła kontuar recepcji, minęła jedne drzwi, minęła drugie drzwi i już była na dworze.

Mniej więcej w tym samym momencie, w którym Florence w zaroślach pod kępą drzew wykonała pierwsze pas fandanga Boże-co-ja-mam-robic, Lucy na podjeździe za motelem także puściła się w tany. Cztery susy w lewo, siedem susów w prawo, dwa susy w przód, dwanaście susów znow w lewo i...

26 kilometrów od punktu „0”. — Najważniejsze, żeby się znaleźć w schronie. — Kiedy kapitan wojsk lądowych Norman McLorren wypowiedział te słowa do siebie ponownie, zostało mu jeszcze osiem sekund życia...

Osiem... „jeśli nie liczyć jednej sekundy konania.

Siedem... Na razie, szczerze opatulony w płaszcz kąpielowy, jak dawny pielgrzym w burkę...

Sześć... „jeśli nie liczyć jednej sekundy konania.

Pięć... „szedł chwiejnym klusem środkiem alei...”

Cztery... „która przejęciowo nosiła miano Dziewięćdziesiątej Siódmej Wschodniej Alei Pożarowej i która nosić będzie jeszcze przez trzy sekundy...”

Trzy... „a wokół niego, wśród dymu, płomieni, rozpaczliwych nawoływani i oznak obłędu...”

Dwie... „nieustannie ginęli ludzie...”

— Nieustannie ginący ludzie, rosła liczba osób... O, tutaj ktoś znowu. I tam. I tam! I tam i tam, i tam! I znowu tutaj jakichś dwóch

Jedną... Nie wiadomo, czy to intuicja, czy może dostrzeżona przez niego zmiana zachodząca w otoczeniu uprzedziła go o nadejście fali uderzeniowej. Dość, że kapitan McLorren rzucił się na ziemię, robiąc przedtem dwa długie skoki w stronę najbliższego domu, by znaleźć tam osłonę. Był to tragiczny błąd.

Zanim dosięgnął on bruchem chodnika — co trwało dłużej niż w warunkach normalnych, ponieważ front Macha wytworzył pod nim poduszkę powietrzną i opóźnił jego upadek o bez mała dwie sekundy — dom, który miał dać mu osłonę, zaczął się trząść i rozpadać. Wązacy dwie i pół tony dach zadalił nawietrzną swoją krawędź w górę, a następnie unosząc ją nieprzerwanie coraz wyżej, jakby to ktoś w oczekiwaniu niespodzianki otwierał wieko szkatuły (podczas gdy pozostałe części składowe w ogłuszającym trzasku odrzuwały się od szkieletu konstrukcji) — dach ten stanął sztorcem, po czym z hukiem runął na wznak i przgniół McLorrena. Siłą bezwładności i pchany podmuchem przesunął się jeszcze kilka metrów, szorując tylną potacją po chodniku, by wreszcie zniechęcić w centrum nawiatnicy.

Kapitan wojsk lądowych Norman McLorren został rozsmarowany po betonik jak pasztet po grzance.

— Kapitan wojsk lądowych Norman McLorren

Cztery przecznice... och, nie. Stąd będzie bliżej. No więc trzy przecznice od tego miejsca, w Świątyni Przeciwnatomowej Putkownika Dowda, z nie-

mał jednocześnie szczególnie-

Plaskając bosymi stopami (w rytmie: Plask!-plask!-plask!-plask!-plask! — i tak dalej) Lucy tagodnym zakolem obie-gła kontuar recepcji, minęła jedne drzwi, minęła drugie drzwi i już była na dworze.

Mniej więcej w tym samym momencie, w którym Florence w zaroślach pod kępą drzew wykonała pierwsze pas fandanga Boże-co-ja-mam-robic, Lucy na podjeździe za motelem także puściła się w tany. Cztery susy w lewo, siedem susów w prawo, dwa susy w przód, dwanaście susów znow w lewo i...

26 kilometrów od punktu „0”. — Najważniejsze, żeby się znaleźć w schronie. — Kiedy kapitan wojsk lądowych Norman McLorren wypowiedział te słowa do siebie ponownie, zostało mu jeszcze osiem sekund życia...

Osiem... „jeśli nie liczyć jednej sekundy konania.

Siedem... Na razie, szczerze opatulony w płaszcz kąpielowy, jak dawny pielgrzym w burkę...

Sześć... „jeśli nie liczyć jednej sekundy konania.

Pięć... „szedł chwiejnym klusem środkiem alei...”

Cztery... „która przejęciowo nosiła miano Dziewięćdziesiątej Siódmej Wschodniej Alei Pożarowej i która nosić będzie jeszcze przez trzy sekundy...”

Trzy... „a wokół niego, wśród dymu, płomieni, rozpaczliwych nawoływani i oznak obłędu...”

Dwie... „nieustannie ginęli ludzie...”

— Nieustannie ginący ludzie, rosła liczba osób... O, tutaj ktoś znowu. I tam. I tam! I tam i tam, i tam! I znowu tutaj jakichś dwóch

Jedną... Nie wiadomo, czy to intuicja, czy może dostrzeżona przez niego zmiana zachodząca w otoczeniu uprzedziła go o nadejście fali uderzeniowej. Dość, że kapitan McLorren rzucił się na ziemię, robiąc przedtem dwa długie skoki w stronę najbliższego domu, by znaleźć tam osłonę. Był to tragiczny błąd.

Zanim dosięgnął on bruchem chodnika — co trwało dłużej niż w warunkach normalnych, ponieważ front Macha wytworzył pod nim poduszkę powietrzną i opóźnił jego upadek o bez mała dwie sekundy — dom, który miał dać mu osłonę, zaczął się trząść i rozpadać. Wązacy dwie i pół tony dach zadalił nawietrzną swoją krawędź w górę, a następnie unosząc ją nieprzerwanie coraz wyżej, jakby to ktoś w oczekiwaniu niespodzianki otwierał wieko szkatuły (podczas gdy pozostałe części składowe w ogłuszającym trzasku odrzuwały